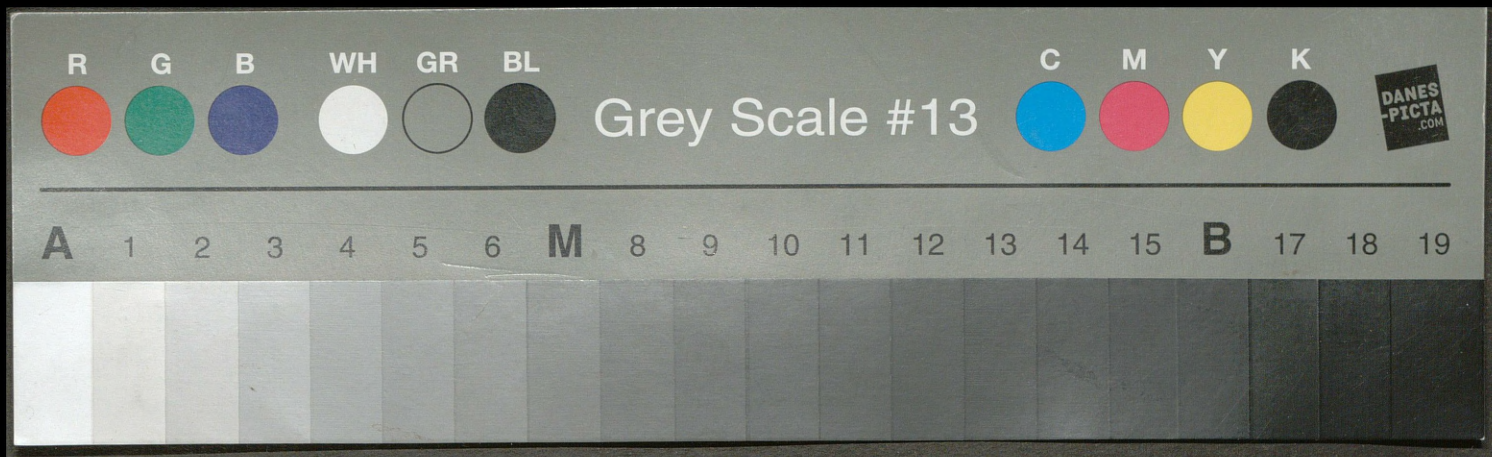

K. MARKS

NĘDZA FILOZOFII

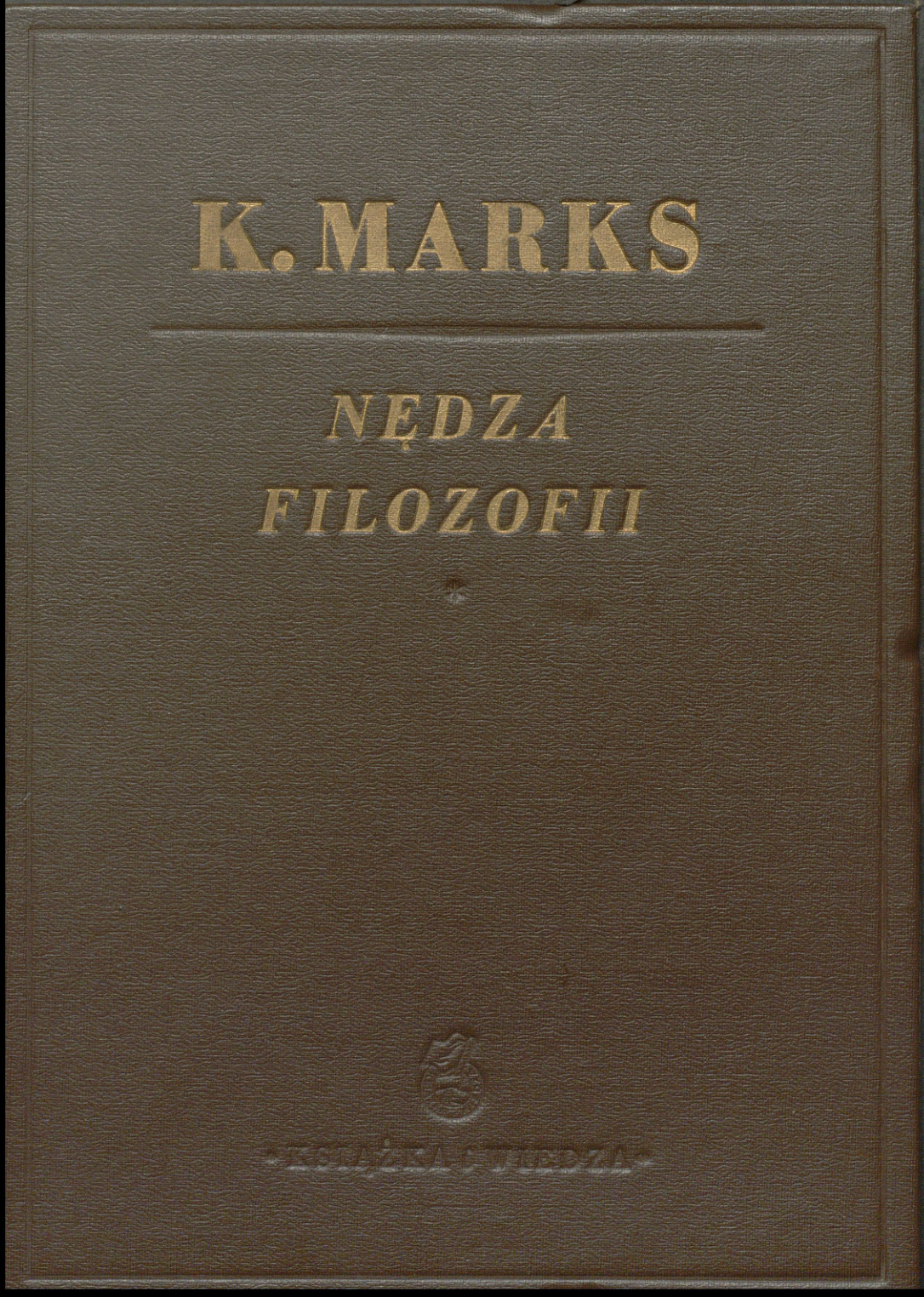

K. MARKS

NĘDZA FILOZOFII

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

KAROL MARKS

NĘDZA FILOZOFII

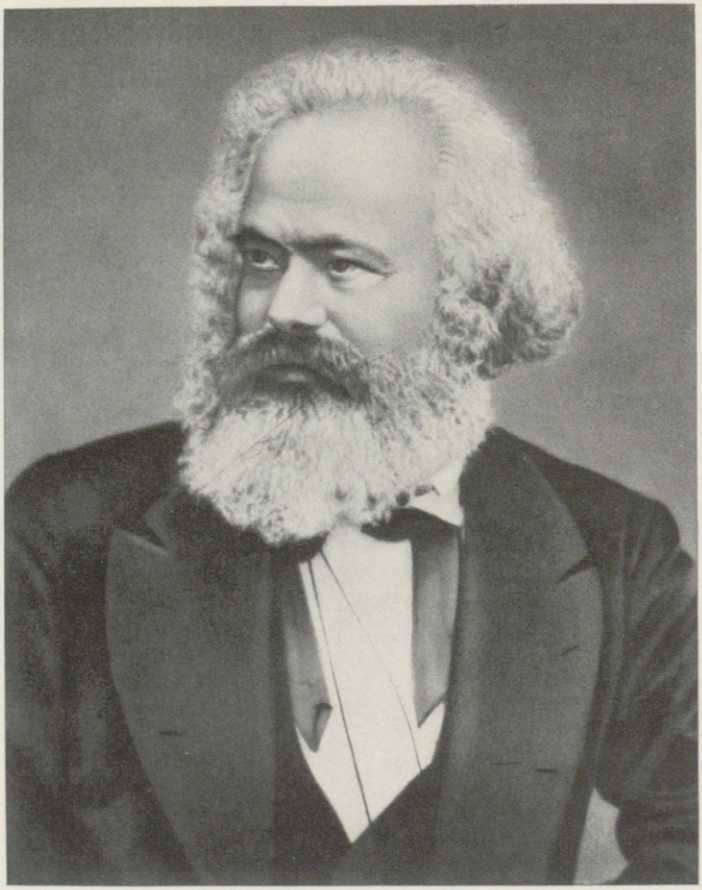

Karl Marx.

KAROL MARKS

NĘDZA FILOZOFII

Odpowiedź na «Filozofię nędzy» p. Proudhona

·KSIĄŻKA i WIEDZA·

Warszawa 1949

5235/2

B-68016
•Książka i Wiedza•
Printed in Poland
Wrzesień 1949 rok
Tłoczono 25.000 egz.

OD WYDAWNICTWA

«Nędza filozofii» pisana była w języku francuskim. Pierwszy przekład polski ukazał się w Paryżu w 1886, nakładem Librairie Kèva (Biblioteka dzieł treści społeczno-ekonomicznej. Karol Marx, Pisma Pomniejsze. Seryja pierwsza) a następnie przedrukowany został tamże w r. 1907.

Niniejsze wydanie przełożone zostało z pierwszego francuskiego wydania 1847 r. («Misère de la philosophie». Réponse à la philosophie de la misère de M. Proudhon. Par *Karl Marx*. Paris, A. Frank, 69, rue Richelieu. Bruxelles, C. G. Vogler, 2, petite rue de la Madeleine, 1847) według tekstu zamieszczonego w VI tomie I działu zbiorowych dzieł Marksa i Engelsa w języku niemieckim, z uwzględnieniem poprawek, o których mówi Engels w drukowanej tu przedmowie.

Przed tekstem «Nędzy filozofii» zamieszczamy w niniejszym wydaniu (po przedmowie Engelsa) dwa listy Marksa: List do Annenkowa i list do Schweitzera, a w «Dodatku» — zgodnie z engelsowskim wydaniem 1884 r. — dwie prace Marksa: fragment z «Przyczynka do krytyki ekonomii politycznej» oraz przemówienie «O zagadnieniu wolnego handlu».

Nowego przekładu «Nędzy filozofii» dokonał *Kazimierz Błeszyński*, który przetłumaczył również prace zamieszczone w «Dodatku». Listy do Annenkowa i Schweitzera tłumaczył *Paweł Hoffman*.

Po raz pierwszy w Polsce, a po raz trzeci w języku polskim «Nędza filozofii» ukazała się nakładem «Książki» w r. 1948. Niniejsze, *czwarte* polskie wydanie drukujemy z nieznacznymi poprawkami według wydania 1948 r.

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA NIEMIECKIEGO

Praca niniejsza powstała w zimie 1846/47 roku, w czasie gdy Marks już był ostatecznie ukształtował w ogólnych zarysach nowe swoje poglądy historyczne i ekonomiczne. «*Système des Contradictions Économiques ou Philosophie de la Misère*» («Systemat sprzeczności ekonomicznych albo Filozofia nędzy»), którą Proudhon właśnie wtedy niedawno był ogłosił, dała Marksowi sposobność rozwinąć szerzej swoje poglądy w przeciwstawieniu do zapatrywań człowieka, który miał zająć odtąd najwybitniejsze miejsce w szeregu żyjących wówczas socjalistów francuskich. Od czasu gdy obaj oni często po całych nocach prowadzili z sobą w Paryżu dyskusje o kwestiach ekonomicznych, drogi ich stopniowo rozeszły się zupełnie; praca Proudhona wykazała, że dzieliła ich już obecnie od siebie przepaść nie do przebycia; przemilczeć tę sprawę było wówczas rzeczą niemożliwą; Marks przeto w niniejszej odpowiedzi swojej stwierdził ten między nimi rozłam ostateczny.

Ogólny pogląd Marksa na Proudhona znajduje się w zamieszczonym po niniejszej przedmowie artykule, który ukazał się w nrach 16, 17 i 18 berlińskiego pisma «Sozialdemokrat» z 1865 r. Jest to jedyny artykuł, który Marks w owej gazecie napisał; usiłowania p. von Schweitzera, aby ją wkrótce potem skierować na wody feudalne i rządowe, zmusiły nas do tego, żeśmy publicznie z nim zerwali już w kilka tygodni później.

Dla Niemiec praca niniejsza ma właśnie w tej chwili [1884 r. — *Red.*] znaczenie, którego sam Marks nawet nie przewidywał nigdy.

Bo skądże mógł on wiedzieć, że bijąc w Proudhona uderzał jednocześnie w nieznanego mu podówczas nawet z imienia Rodbertusa, tego bożka karierowiczów dzisiejszych?

Przedmowa niniejsza nie jest miejscem odpowiednim do rozpatrywania stosunku Marksa do Rodbertusa; sposobność po temu znajdzie się bodaj wkrótce. Tu wystarczy powiedzieć, że kiedy Rodbertus oskarża Marksa, że ten go «ograbił» i w swym «Kapitale» nie wspominając o nim znakomicie korzysta z jego pracy «Zur Erkenntnis itd.», to Rodbertus pozwala sobie posunąć się aż do oszczerstwa, co może być wytłumaczone tylko zgryźliwością zapoznanego geniusza i zadziwiającą jego ignorancją we wszystkich rzeczach pozapruskich, a mianowicie też w literaturze socjalistycznej i ekonomicznej. Marks nigdy nawet na oczy nie oglądał ani tych oskarżeń Rodbertusa, ani jego powyżej wymienionej pracy; z Rodbertusa znał on w ogóle tylko jego trzy «Soziale Briefe» [«Listy społeczne»], a i te w żadnym razie nie przed rokiem 1858 lub 1859.

Bardziej uzasadnione jest twierdzenie Rodbertusa w owych jego «Listach», że już *przed* Proudhonem odkrył on był proudhonowską «ukonstytuowaną wartość»; przy czym co prawda znowu błędnie pochlebia on sobie, że jest jej *pierwszym* odkrywcą. Bądź co bądź jednak nasza praca krytykuje go pośrednio wraz z Proudhonem, a to mnie zmusza omówić pokrótce jego «podstawowe» dziełko «Zur Erkenntnis unserer staatswirtschaftlichen Zustände» [«Przyczynek do poznania naszych stosunków państwowo-gospodarczych»] 1842 r., o tyle przynajmniej, o ile — obok mieszczącego się w nim również (znowu nieświadomie) weitlingowskiego komunizmu — zawiera ono również antycypację Proudhona.

Socjalizm nowoczesny, wszelkich bez różnicy kierunków, jeśli tylko wychodzi z burżuazyjnej ekonomii politycznej, to nieomal bez wyjątku nawiązuje do ricardowskiej teorii wartości. Dwa twierdzenia, które Ricardo wygłasza w r. 1817 zaraz na samym początku swych «Principles» [«Zasady ekonomii politycznej i opodatkowania»], że 1. wartość każdego towaru określa się jedynie i wyłącznie ilością pracy potrzebnej do jego wytworzenia oraz że 2. produkt całokształtu pracy społecznej dzieli się pomiędzy trzy klasy: właścicieli ziemskich (renta), kapitalistów (zysk) i robotników (płaca robocza) — te dwa

twierdzenia zużytkowywano już poczynając od roku 1821 w Anglii, ażeby z nich wyciągać socjalistyczne wnioski, a czyniono to przy tym po części z taką siłą i przekonaniem, że cała ta dziś nieomal zupełnie zaginiona i po większej części dopiero przez Marksa na nowo odkryta literatura aż do czasu ukazania się «Kapitału» była pod tym względem nieprzewyższona. Lecz o tym kiedy indziej. Gdy więc Rodbertus w 1842 r. wyciągnął ze swej strony z twierdzeń powyższych wnioski socjalistyczne, to było to naówczas dla Niemca z pewnością ogromnym krokiem naprzód, ale mogło uchodzić co najwyżej w Niemczech za nowe odkrycie. Jak mało nowego miało w sobie takie zastosowanie teorii Ricarda, tego Marks dowodzi występując przeciwko Proudhonowi, który cierpiał na podobne urojenie.

«Ktokolwiek jest choć trochę obeznany z rozwojem ekonomii politycznej w Anglii, temu nie jest obcy ten fakt, że prawie wszyscy socjaliści w tym kraju w rozmaitych okresach proponowali *egalitarne* (tj. socjalistyczne) zastosowanie teorii Ricarda. Moglibyśmy tu przytoczyć p. Proudhonowi: «Ekonomię polityczną» *Hodgskina*, 1822 r.; Williama *Thompsona* «An Inquiry into the Principles of the Distribution of Wealth, most Conducive to Human Happiness» [«Badanie zasad podziału bogactwa w sposób najbardziej przyczyniający się do szczęścia ludzkiego»] 1824; T. R. *Edmondsa* «Practical, Moral and Political Economy» [«Praktyczna, moralna i polityczna ekonomia»] 1828 itd., itd., i jeszcze cztery strony takich «itd.». Poprzestaniemy na tym, że przytoczymy słowa tylko jednego komunisty angielskiego p. Braya z jego wybitnego dzieła «Labour's Wrongs and Labour's Remedy» [«Krzywdy pracy i lekarstwa pracy»], Leeds 1839. I wystarczy przytoczonych tutaj cytat z Braya, aby odeprzeć znaczną część uroszczeń Rodbertusa do pierwszeństwa.

W owych czasach Marks nie przestąpił jeszcze ani razu progu czytelni w Muzeum Brytyjskim. Oprócz bibliotek paryskich i brukselskich, oprócz moich książek i wyciągów przejrzał on tylko podczas wspólnej naszej sześciotygodniowej podróży do Anglii w lecie 1845 r. książki, które się dało znaleźć w Manchesterze. W latach czterdziestych przeto literatura, o której mówimy, nie była jeszcze bynajmniej aż tak niedostępna, jak się to może zdarzyć dzisiaj. Jeżeli pomimo to zawsze pozostawała ona nieznana Rodbertusowi, to winę ponosi tu

wyłącznie jego prusacka ograniczoność. Jest on właściwym założycielem specyficznego pruskiego socjalizmu, za jakiego nareszcie dzisiaj go uznano.

Wszelako nawet w swych ukochanych Prusiech Rodbertus nie miał zaznać spokoju. W 1859 r. wyszedł w Berlinie napisany przez Marksa «Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej, zeszyt pierwszy». Tutaj na str. 40 pomiędzy zarzutami, jakie ekonomiści czynią Ricardowi, podniesiono jako zarzut drugi:

«Jeżeli wartość wymienna jakiegoś produktu równa się zawartemu w nim czasowi pracy, to wartość wymienna jednego dnia roboczego równa się jego produktowi. Czyli płaca robocza musi się równać produktowi pracy. A rzecz się ma przeciwnie».

Do tego zaś uwaga następująca:

«Zarzut ten, wysuwany przeciwko Ricardowi ze strony ekonomistów, podjęli później socjaliści. Zakładając, że w teorii formuła ta jest słuszna, zarzucono praktyce jej sprzeczność z teorią i wezwano społeczeństwo burżuazyjne, aby praktycznie wyciągnęło rzekome konsekwencje z teoretycznej swej zasady. W ten sposób przynajmniej angielscy socjaliści obrócili ricardowską formułę wartości wymiennej przeciwko ekonomii politycznej». W tej samej uwadze jest odsyłacz do «Misère de la Philosophie» [«Nędzy filozofii»] Marksa, która wówczas była jeszcze wszędzie do nabycia w księgarniach.

Rodbertus miał więc aż za dużo sposobności samemu się przekonać, czy jego odkrycia z roku 1842 były naprawdę nowe. Zamiast tego głosi on je ciągle i uważa za tak bezprzykładne, że mu nawet na myśl nie przychodzi, aby Marks mógł równie dobrze samodzielnie wyciągnąć wnioski swe z Ricarda jak i on, Rodbertus. Czyste niepodobieństwo! Marks go «obrabował» — jego, któremu ten sam Marks dostarczył wszelakiej sposobności przekonania się, jak dawno przed nimi obydwoma wnioski te, przynajmniej w prymitywnej postaci, jaką one mają jeszcze u Rodbertusa, były już wypowiedziane w Anglii!

Otóż najprostsze zastosowanie socjalistyczne teorii Ricarda jest to, któreśmy powyżej dali. W wielu przypadkach doprowadziło ono do wglądu w pochodzenie i istotę wartości dodatkowej wychodzącego daleko poza Ricarda; tak jest pomiędzy innymi u Rodbertusa.

Nie mówiąc o tym, że nigdzie u niego nie spotykamy w tym względzie nic takiego, czego by już przed nim nie powiedziano co najmniej równie dobrze, jego przedstawienie rzeczy — tak samo jak i jego poprzedników — ten brak posiada, że kategorie ekonomiczne: praca, kapitał, wartość itd. przejmuje on, nie rozpatrując ich, od ekonomistów w tej surowej i powierzchownej formie, w której oni mu je przekazali, i treści ich nie bada. Przez to odcina on sobie nie tylko wszelką drogę do dalszego rozwoju — w przeciwieństwie do Marksa, który pierwszy dopiero coś zrobił z tych już dzisiaj oto od 64 lat częstokroć powtarzanych twierdzeń — ale otwiera też sobie, jak się to okaże, prostą drogę do utopii.

Powyższe zastosowanie teorii Ricarda, iż robotnikom, jako jedynym istotnym producentom, należy się cały produkt społeczny, *ich* produkt, prowadzi prosto do komunizmu. Ale jest ono, jak też Marks w przytoczonym miejscu napomyka, pod względem ekonomicznym formalnie fałszywe, gdyż jest zwykłym zastosowaniem moralności do ekonomii. Zgodnie z prawami ekonomii burżuazyjnej większa część produktu należy *nie* do robotników, którzy go wytworzyli. A gdy powiadamy: to niesprawiedliwe, tego być nie powinno — ekonomii ta sprawa zgoła nie dotyczy. My powiadamy tylko, że ten fakt ekonomiczny sprzeciwia się naszemu poczuciu moralnemu. Toteż Marks swoich komunistycznych żądań nigdy na tym nie opierał, tylko na konieczności załamania się kapitalistycznego sposobu produkcji, które z dniem każdym w naszych oczach coraz bardziej się dokonywa; powiada on jedynie, że wartość dodatkowa składa się z nieopłaconej pracy, co jest zwykłym faktem. Lecz to, co z punktu widzenia ekonomicznego jest formalnie fałszywe, z punktu widzenia historii powszechnej może być słuszne. Gdy moralne poczucie mas uważa jakiś fakt ekonomiczny, jak swego czasu niewolnictwo lub pańszczyznę, za niesprawiedliwy, to dowodzi to tylko tego, że sam ten fakt już się przeżył, że nastąpiły inne fakty ekonomiczne, w myśl których tamte stały się nie do zniesienia i nie do utrzymania. Pod formalną przeto ekonomiczną niesłusznością może się ukrywać bardzo realna treść ekonomiczna. Ale nie miejsce tutaj wdawać się w roztrząsanie znaczenia i dziejów teorii wartości dodatkowej.

Wszelako z ricardowskiej teorii wartości można prócz tego wyciągnąć jeszcze i inne wnioski i tak też uczyniono. Wartość towarów określa się potrzebną do ich wytworzenia pracą. Lecz oto tak się dzieje, że na tym nędznym świecie towary bywają sprzedawane to powyżej, to poniżej swej wartości, i to nie tylko wskutek wahań w konkurencji. Tak samo jak stopa zysku ma mocną dążność do wyrównywania się na tym samym dla wszystkich kapitalistów poziomie, tak też i ceny towarów zmierzają do tego, aby popyt i podaż sprowadzały je do wartości pracy. Stopa zaś zysku oblicza się według całości kapitału włożonego w pewien interes przemysłowy. Ponieważ teraz w dwóch różnych gałęziach przemysłu produkt roczny ucieleśniać może w sobie równe ilości pracy, a więc przedstawiać wartości równe, ponieważ i płaca robocza może być w obu tak samo wysoka, lecz awansowane kapitały mogą być i nieraz istotnie bywają dwa lub trzy razy większe w jednym niżli w drugim, przeto tu ricardowskie prawo wartości, jak to już sam Ricardo wykrył, wchodzi w sprzeczność z prawem równej stopy zysku. Gdy sprzedaje się produkty obu takich gałęzi przemysłu według ich wartości, to stopa zysku nie może być w nich równa; a gdy stopa zysku będzie w obu równa, to produkty obu tych gałęzi przemysłowych nie mogą być sprzedawane całkowicie według ich wartości. Mamy więc tutaj pewną sprzeczność, pewną antynomię dwu praw ekonomicznych; praktycznie sprawa rozwiązuje się według Ricarda (rozdz. I, część 4 i 5) z reguły na rzecz stopy zysku kosztem wartości.

Wszelako ricardowski sposób określania wartości, pomimo swoich fatalnych właściwości, posiada pewną stronę, która czyni go drogim sercu zacnego bourgeois. Apeluje z nieodpartą siłą do jego poczucia sprawiedliwości. Sprawiedliwość i równość praw — oto dwa kamienie węgielne, na których obywatel osiemnastego i dziewiętnastego stulecia pragnąłby wznieść gmach społeczeństwa swego na gruzach niesprawiedliwości, nierówności i przywilejów feudalnych. A określanie wartości towarów za pomocą pracy i dokonywająca się według tej miary wartości wolna wymiana produktów pracy pomiędzy równouprawnionymi właścicielami towarów są to, jak już Marks wykazał, podstawy realne, na których zbudowana została cała polityczna, prawna i filozoficzna ideologia nowoczesnej burżuazji. A skoro się już wie, że praca

jest miarą wartości towarów, to szlachetne uczucia zacnego bourgeois głęboko są dotknięte przez złość takiego świata, który nominalnie wprawdzie uznaje to podstawowe prawo sprawiedliwości, lecz w rzeczywistości bez ceremonii co chwila zdaje się usuwać je na bok. I zwłaszcza drobnomieszczanin, którego uczciwa praca — choć jest to tylko praca jego czeladników i terminatorów — codziennie coraz więcej traci na wartości wskutek konkurencji wielkiej produkcji i maszyn — zwłaszcza ten drobny producent tęsknić musi do takiego społeczeństwa, gdzie wymiana produktów według ich wartości pracy stanie się raz już wreszcie całkowitą i nie znającą wyjątków prawdą; innymi słowy, musi on tęsknić do takiego społeczeństwa, w którym obowiązywać będzie wyłącznie i w całej rozciągłości jedno jedyne prawo produkcji towarów, lecz usunięte są warunki, pod którymi ono w ogóle obowiązywać może, mianowicie też pozostałe prawa produkcji towarów i, szerzej mówiąc, produkcji kapitalistycznej.

Jak głęboko utopia ta zapuściła korzenie w umyśle nowoczesnego — realnego czy idealnego — drobnomieszczanina, dowodzi fakt, że została ona już w roku 1831 systematycznie rozwinięta przez Johna Graya, w trzydziestych latach w Anglii stała się przedmiotem prób praktycznych i teoretycznie szeroko była tam rozpowszechniona, w 1842 r. ogłoszona została przez Rodbertusa w Niemczech, a w 1846 przez Proudhona we Francji za najnowszą prawdę; w 1871 r. Rodbertus raz jeszcze uroczyście, niejako w charakterze społecznego testamentu, uznał ją za rozwiązanie kwestii społecznej, a w 1884 r. znowu znajduje ona zwolenników w klice karierowiczów, którzy posługując się imieniem Rodbertusa gotują się do wykorzystania pruskiego socjalizmu państwowego.

Marks dał tak wyczerpującą krytykę tej utopii, występując zarówno przeciwko Proudhonowi jak i przeciw Grayowi (por. II Dodatek do niniejszej książki), że ja ze swej strony poprzestać tu mogę na pewnych uwagach o specjalnie rodbertusowej formie jej przedstawienia i uzasadnienia.

Jak się to już rzekło, Rodbertus przyjmuje tradycyjne pojęcia ekonomiczne ściśle w tej postaci, w której przekazane mu one zostały przez ekonomistów. Nie podejmuje najlżejszej nawet próby ich zbadania. Wartość to dla niego «ilościowa ocena, walor (Geltung) jakiejś

rzeczy w stosunku do innych, biorąc ocenę tę za miarę». Definicja ta, delikatnie mówiąc, ogromnie niedbała, w najlepszym wypadku daje nam wyobrażenie o tym, jak wartość w przybliżeniu wygląda, ale zupełnie nic nie mówi o tym, czym ona jest. A że to już wszystko, co Rodbertus potrafi powiedzieć o wartości, rzecz przeto zrozumiała, że szuka on dla niej miary leżącej poza nią. Na trzydziestu stronicach przemieszawszy z sobą jak groch z kapustą wartość użytkową i wymienną, a uczyniwszy to z siłą myślenia abstrakcyjnego, którą p. Adolf Wagner podziwia nieskończenie, Rodbertus dochodzi do wniosku, że nie ma realnej miary wartości i że trzeba zadowolić się w tym względzie surogatem miary. Surogat ten mogłaby stanowić praca, ale tylko wtedy, gdyby zawsze wymieniać na siebie produkty równej ilości pracy, czy to w przypadku, gdzieby «tak już było samo przez się, czy też gdyby przedsiębrano odpowiednie środki», które by to zapewniły. Rzeczowo przeto wartość i praca pozostają bez żadnego z sobą związku, pomimo to że cały pierwszy rozdział na to został poświęcony, aby nam wyłożyć, że i dlaczego towary «kosztują pracę» i nic innego oprócz pracy.

Praca jest znowu wzięta bez rozpatrywania w tej postaci, w której się ją spotyka u ekonomistów. I nawet nie tylko to. Albowiem, jakkolwiek wskazuje się tu w paru słowach na różnice w natężeniu pracy, to jednakże na ogół przedstawia się pracę jako coś, co «kosztuje», a więc stanowi miarę wartości, niezależnie zresztą od tego, czy zużywa się ją w normalnych przeciętnych warunkach społecznych, czy nie. Czy producenci poświęcają dziesięć dni na wytworzenie produktów, które w ciągu jednego dnia wytworzyć można, czy też tylko jeden dzień; czy używają oni najlepszych narzędzi, czy najgorszych; czy obracają swój czas roboczy na wytwarzanie artykułów społecznie potrzebnych i w ilości społecznie pożądanej, czy też wyrabiają artykuły, których nikt nie żąda, lub pożądane w ilości za wielkiej albo za małej w stosunku do popytu — o tym wszystkim wcale się tu nie mówi: praca to jest praca i wytwór równej pracy wymieniony być winien na wytwór równej pracy. Rodbertus, który skądinąd zawsze, potrzebnie czy niepotrzebnie, gotów jest zająć stanowisko narodowe i z wysokości strażnicy ogólnospołecznej rozpatrywać stosunki poszczególnych producentów, tutaj unika tego skrupu-

latnie. Wprost dlatego tylko, że już od pierwszego zdania w swojej książce zmierza on prostą drogą do utopii bonów pracy [Arbeitsgeld] i wszelkie rozpatrywanie pracy jako wytwórczyni wartości musiałoby mu rzucać pod nogi kamienie, głazy, przez które przejść by nie mógł. Instynkt był w nim tutaj o wiele mocniejszy od zdolności do myślenia abstrakcyjnego, którą to zdolność — mówiąc mimochodem — można u Rodbertusa wykryć tylko posługując się jak najkonkretniejszą bezmyślnością.

Przejście do utopii dokonywa się w jednym mgnieniu oka. Owe «środki zapobiegawcze», które w charakterze zasady bez wyjątku zapewniają wymianę towarów według wartości pracy, Rodbertusowi żadnej trudności nie sprawiają. Wszyscy inni utopiści tego kierunku od Graya aż do Proudhona zadają sobie bardzo wiele trudu, aby wymyślić urządzenia społeczne, które by cel ten osiągnąć pozwoliły. Oni przynajmniej usiłują rozwiązać kwestię ekonomiczną na ekonomicznej drodze za pomocą samego właściciela towarów, który je wymienia. Dla Rodbertusa sprawa jest o wiele łatwiejsza. Jako dobry Prusak, odwołuje się on do państwa: dekret władzy państwowej każe dokonać reformy.

Wartość zostaje w ten sposób szczęśliwie «ukonstytuowana», ale bynajmniej nie pierwszeństwo owego konstytuowania, do czego rościł sobie pretensje Rodbertus. Przeciwnie, Gray jak i Bray — obok wielu innych — na długo przed Rodbertusem i często do znudzenia myśl tę powtarzali: wzdychali oni pobożnie do takich środków zapobiegawczych, które by sprawiły, że produkty wymieniałoby się zawsze, we wszystkich okolicznościach i tylko odpowiednio do wartości pracy.

A gdy państwo w ten sposób już ukonstytuuje wartość przynajmniej jakiejś części produktów — bo Rodbertus jest też i skromny — to wypuszcza ono swe papierowe bony pracy [Arbeitspapiergeld], daje w nich zaliczki kapitalistom przemysłowym na płacę roboczą dla robotników, a ci potem nabywają za to produkty i w ten sposób powodują odpływ powrotną falą pieniądza papierowego do punktu, skąd był wyszedł. A jak się to wszystko cudownie odbywa, o tym od samego Rodbertusa usłyszeć musimy.

«Co się tyczy tego drugiego warunku, to odpowiedni środek zapo-

biegawczy, zapewniający, że zaświadczona na kwicie wartość w rzeczy samej znajduje się w obiegu, osiągniemy w ten sposób, że tylko ten, kto rzeczywiście odda produkt, dostawać będzie kwit z dokładnym oznaczeniem ilości pracy zużytej na wytworzenie tego produktu. Kto odda produkt dwudniowej pracy, otrzyma kwit, na którym zaznaczy się «dwa dni». Przez dokładne zachowywanie tej zasady przy wydawaniu spełniany będzie niezawodnie i ów warunek drugi. Ponieważ bowiem zgodnie z naszym założeniem rzeczywista wartość towarów pokrywa się zawsze z tą ilością pracy, której wymagało ich wytworzenie, a ta ilość pracy znajduje dla się miarę w zwykłym podziale czasu, przeto ktoś oddający produkt, na który poszło dwa dni pracy, otrzymując zaświadczenie na dwa dni nie dostaje zaświadczenia czy też przekazu ani na większą, ani na mniejszą wartość, aniżeli faktycznie jej dostarczył; — i ponieważ dalej *tylko* ten otrzymuje takie zaświadczenie, kto w rzeczy samej dostarczył jakiegoś produktu do obiegu, jest też więc rzeczą pewną, iż zaznaczona w kwicie wartość ku zaspokojeniu społeczeństwa istnieje. Choćby tedy wyobrazić sobie jak największy krąg podziału pracy, to jednakże, gdy do prawidła tego dokładnie się stosować, *suma istniejących wartości* musi równać się *ściśle sumie wartości pokwitowanej*. Że zaś suma wartości pokwitowanej jest ściśle ta sama co i suma wartości przekazanej, to i ta musi się też z pewnością *pokrywać z wartością faktycznie istniejącą, wszystkie wymagania będą zaspokojone i likwidacji dokona się w sposób słuszny*» (str. 166/7).

Jeżeli dotąd Rodbertus zawsze miał to nieszczęście, iż z nowymi odkryciami swymi przychodził za późno, to tym razem ma on przynajmniej zasługę *jednego* rodzaju oryginalności: w takiej dziecięco naiwnej i przejrzystej, powiedziałbym, iście pomorskiej formie nie poważył się żaden z jego konkurentów wypowiedzieć głupstwa utopii pieniądza pracy. Ponieważ za każdy kwit papierowy dostarczony zostanie odpowiedni przedmiot wartościowy i żaden przedmiot wartościowy nie zostanie wydany inaczej jak tylko za odpowiednim kwitem papierowym, to suma kwitów papierowych musi zawsze znajdować pokrycie w sumie przedmiotów wartościowych; rachunek ten zgadza się bez najmniejszej reszty nawet co do sekundy pracy i nie zdoła wykazać w nim najdrobniejszej omyłki żaden

choćby najbardziej osiwiały na służbie starszy rachmistrz z głównej kasy urzędu długów państwowych. Czegoż tu więcej można żądać?

W dzisiejszym społeczeństwie kapitalistycznym każdy kapitalista przemysłowy produkuje na własną rękę, co, jak i ile chce. A społeczny popyt pozostaje nieznaną mu wielkością, zarówno co się tyczy jakości, rodzaju żądanych przedmiotów, jak i ich ilości. To, czego dziś niesposób dostarczyć dość szybko, jutro może być ofiarowywane w ilości przewyższającej popyt. Pomimo to popyt zostaje koniec końców tak czy inaczej, źle czy dobrze, lecz zaspokojony i produkcja w ogólnych zarysach dostarcza ostatecznie żądanych przedmiotów. W jaki sposób dokonuje się tutaj to wyrównanie sprzeczności? Przez konkurencję. A jak ona tę kwestię rozwiązuje? Po prostu obniżając wartość towarów z punktu widzenia popytu społecznego nieprzydatnych w danej chwili ze względu na jakość ich lub ilość, tak że spada ona popod ich wartość pracy i tą okólną drogą dając wytwórcom odczuć, że wyprodukowali artykuły albo w ogóle niepotrzebne, albo same przez się potrzebne, ale w niepotrzebnej, nadmiernej ilości. Stąd podwójny wniosek:

Po pierwsze, że nieustanne odchylenia cen towarów od wartości towarów stanowią konieczny warunek, dzięki któremu — i to wyłącznie dzięki niemu — wartość towarów może powstawać. Tylko przez fluktuację konkurencji, a stąd i cen towarów, prawo wartości wyzwala sobie posłuch w produkcji towarowej, a określenie wartości towaru za pomocą społecznie potrzebnego czasu pracy staje się rzeczywistością. Że przy tym postać, pod jaką wartość się pojawia: cena, z reguły wygląda cokolwiek inaczej niż ta wartość, to jest to los, który wartość dzieli z większością stosunków społecznych. Król wygląda też najczęściej zupełnie inaczej niż monarchia, którą reprezentuje. W społeczeństwie producentów, wymieniających pomiędzy sobą swe towary, chcieć ustalać wartość za pomocą czasu pracy zakazując konkurencji, ustanawiać tę wartość przez nacisk na ceny w jedyny sposób, w jaki ona w ogóle może być ustalona, jest to tylko składać dowód, że się przynajmniej w tej dziedzinie nauczyło zwykłej utopistycznej pogardy dla praw ekonomicznych.

Po drugie, w społeczeństwie producentów wymieniających pomiędzy sobą towary, konkurencja, wprowadzając w życie prawo

wartości produkcji towarowej, przez to samo właśnie urzeczywistni jedyną możliwą w tych okolicznościach organizację i porządek produkcji społecznej. Tylko wskutek zbytniego obniżenia lub nadmiernego wzrostu wartości produktów poszczególni producenci towarów przekonują się na własnej skórze, czego i ile z tych towarów społeczeństwo potrzebuje czy nie potrzebuje. Lecz właśnie ten jeden jedyny regulator pragnie znieść utopia, którą wraz z innymi reprezentuje i Rodbertus. A gdy zapytujemy, jaką rękojmię mamy, że wytwarzać się będzie każdego produktu ilość potrzebną i tylko potrzebną, że nie będziemy cierpieli na brak zboża i mięsa, a dusili się od nadmiaru cukru buraczanego i tonęli w wyrabianej z kartofli wódce, że nie będziemy mieli dosyć spodni do okrycia swej nagości, gdy tymczasem roić się będzie wokół od milionów guzików do spodni — to Rodbertus pokazuje nam z tryumfem swój słynny rachunek, z którego wynika, że na każdy zbyteczny funt cukru, na każdą niesprzedaną beczkę wódki, na każdy nie dający się przyszyć guzik do spodni wystawiono właściwy kwit, rachunek, który «zgadza się» dokładnie i według którego «wszystkie wymagania są zaspokojone i likwidacji dokonywa się w sposób słuszny». A kto nie wierzy, niech zwróci się do starszego rachmistrza z kasy urzędu długów państwowych X-a z Pomorza, który sprawdził rachunek i uznał, że dobrze jest zrobiony, a który to rachmistrz jest całkowicie godny zaufania, jako że nigdy jeszcze go nie złapano na niedoborze w kasie.

A teraz przyjrzyjmy się tej naiwności, z którą Rodbertus zamierza usunąć z pomocą swej utopii kryzysy przemysłowe i handlowe. Gdy tylko produkcja towarów przybierze rozmiary rynku światowego, odbywa się wyrównanie pomiędzy poszczególnymi producentami wytwarzającymi na swój prywatny rachunek a rynkiem, dla którego oni produkują, a który jest im mniej lub więcej nieznany pod względem ilości i jakości popytu; wyrównanie to dokonywa się przez burzę na rynku światowym, przez kryzys handlowy*. Otóż zabraniając konkurencji, aby za pomocą zwyżki i zniżki cen informowała

* Przynajmniej do niedawna tak się to odbywało. Od czasu gdy Anglia traci coraz bardziej swój monopol na rynku światowym wskutek udziału w handlu światowym Francji, Niemiec i zwłaszcza Ameryki, ma się bodaj ku temu, że powstanie nowa forma wyrównania. Okres powszechnej pomyślności poprzedzającej kryzys

poszczególnych producentów, jak stoi rynek światowy, zawiązuje im się oczy całkowicie. Tak urządzić produkcję towarową, ażeby producenci nic już dowiedzieć się nie mogli o stanie rynku, na który produkują — to bądź co bądź kuracja przeciw chorobie kryzysów, której by mógł pozazdrościć Rodbertusowi sam doktor Eisenbart.

Rozumiemy teraz, dlaczego Rodbertus określa wartość towarów po prostu przez «pracę» i przyjmuje co najwyżej różne stopnie natężenia pracy. Gdyby był zbadał, przez co to i jak praca stwarza wartość, a więc określa ją też i mierzy, to byłby doszedł do społecznie niezbędnej pracy — niezbędnej dla poszczególnego produktu zarówno w stosunku do innych produktów tego samego rodzaju jak i do całości zapotrzebowania społecznego. Stanąłby przeto wobec zagadnienia, jak odbywa się dostosowanie produkcji poszczególnych producentów towarów do całokształtu popytu społecznego, a wówczas cała jego utopia stawała się niemożliwa. Tym razem wolał on w rzeczy samej «abstrahować», mianowicie od tego, o co właściwie chodziło.

Teraz dochodzimy wreszcie do tego punktu, gdzie Rodbertus istotnie daje nam coś nowego; coś, co go różni od wszystkich tak licznych jego towarzyszy, zwolenników gospodarki wymiennej za pomocą bonów pracy. Wszyscy oni domagają się takiego urządzenia wymiany w tym celu, aby znieść wyzysk pracy najemnej przez kapitał. Każdy wytwórca powinien otrzymywać całkowitą wartość pracy swojego produktu. Na tym punkcie godzą się oni wszyscy, od Graya do Proudhona. Bynajmniej, powiada Rodbertus. Praca najemna i jej wyzysk pozostają.

Po pierwsze, w żadnym dającym się pomyśleć stanie społeczeństwa robotnik nie może otrzymywać do skonsumowania całkowitej wartości swojego produktu; z wyprodukowanego funduszu musi być zawsze pokrywany szereg gospodarczo nieprodukcyjnych, lecz nieodzownych czynności, a więc muszą być utrzymani również i odnośni ludzie. — Jest to słuszne jedynie dopóty, dopóki trwa dzisiejszy podział pracy. W społeczeństwie, gdzieby obowiązywała powszechna praca produk-

wciąż jakoś nie nadchodzi. Gdyby wcale nie nastał, to normalnym stanem przemysłu współczesnego musiałby się stać chroniczny zastój z niewielkimi tylko wahaniami. — *F. E.*

cyjna — a społeczeństwo takie jest też «do pomyślenia» — twierdzenie powyższe odpada. Pozostałaby natomiast konieczność społecznego funduszu rezerwowego i akumulacyjnego, a stąd wprawdzie i wtedy również robotnicy w ogóle, tj. wszyscy, pozostawaliby w posiadaniu i użytkowaniu całości swego produktu, ale nie każdy poszczególny cieszyłby się swoim «całkowitym wytworem pracy». Utrzymanie kosztem produktu pracy czynności ekonomicznie nieprodukcyjnych nie uszło uwagi i innych utopistów rojących o bonach pracy. Lecz oni zalecają, aby robotnicy sami opodatkowywali się w tym celu w zwykłej drodze demokratycznej, podczas gdy Rodbertus, którego cała reforma społeczna skrojona jest według modelu ówczesnego państwa pruskiego, pozostawia rzecz tę w ogóle do uznania biurokracji, która z wyżyn wielkości własnej wyznacza, jaki robotnik ma mieć udział w swym własnym produkcie, i takowy mu łaskawie przekazuje.

Po drugie zaś, renta gruntowa i zysk mają również zostać nieuszczuplone. Albowiem i właściciele ziemscy, i kapitaliści przemysłowi spełniają pewne, społecznie pożyteczne i nawet potrzebne, aczkolwiek gospodarczo nieprodukcyjne funkcje i otrzymują za nie w rencie gruntowej i zysku coś w rodzaju pensji — pogląd, jak wiadomo, nawet w 1842 r. bynajmniej nie nowy. Właściwie dostają oni dzisiaj o wiele za dużo za tę odrobinę, którą — a i to dość źle — spełniają; ale cóż, Rodbertus potrzebuje klasy uprzywilejowanej przynajmniej na najbliższe 500 lat, przeto obecna stopa wartości dodatkowej, wyrażając się poprawnie, ma pozostać, tylko podwyższać jej nie wolno. Tę obecną stopę wartości dodatkowej Rodbertus przyjmuje w wysokości 200 procent, tzn. przy dwunastu godzinach pracy dziennie robotnik ma otrzymywać pokwitowanie tylko za cztery godziny, a wartość wyprodukowana w pozostałych ośmiu godzinach ma być podzielona między właściciela ziemskiego i kapitalistę. Rodbertusowskie bony pracy kłamią więc bezpośrednio. Lecz trzeba być znowu tylko właścicielem dóbr szlacheckich na Pomorzu, by sobie wyobrażać, że klasa robotnicza pozwoli na to, aby pracowała dwanaście godzin, a otrzymywała zaświadczenie na cztery godziny pracy. Gdy się przełoży kuglarskie sztuczki produkcji kapitalistycznej na ten naiwny język, w którym występują one w charakterze jawnej grabieży, to się je uniemożliwia. Każdy bon wydany robotnikowi stanowiłby wręcz

wezwanie do buntu i podpadłby pod § 110 niemieckiego kodeksu karnego. Trzeba było nie widzieć nigdy innego proletariatu niż trzymany dotąd jeszcze na poły w poddaństwie proletariat wyrobników dziennych w dobrach szlacheckich na Pomorzu, gdzie jeszcze bat i kij rządzą, a wszystkie ładne kobiety wiejskie należą do haremu jaśnie pana, by wyobrażać sobie, że podobnie bezczelne rzeczy można proponować robotnikom. Lecz to już tak jest, że nasi konserwatyści są naszymi największymi rewolucjonistami.

Gdyby wszelako robotnicy nasi byli dość łagodnego ducha, aby dać wmówić w siebie, że w ciągu dwunastu godzin ciężkiej pracy przepracowali oni w rzeczywistości tylko cztery godziny, to w nagrodę za to mają otrzymać gwarancję, że ich udział w ich własnym produkcie przez wieki wieczne nie spadnie nigdy poniżej jednej trzeciej. Jest to zaiste muzyka przyszłości na trąbce dziecięcej, nie warto na to tracić ani jednego słowa. O ile przeto w utopii wymiany za pośrednictwem bonów pracy Rodbertus daje coś nowego, to ta nowość jego jest wprost dziecinna i stoi znacznie niżej od tego, co przed nim i po nim zrobili w tej sprawie liczni jego towarzysze.

Jak na te czasy, kiedy się ukazała praca Rodbertusa «Zur Erkenntnis itd.», była to rzecz bezwzględnie wybitna. Kontynuowanie w pewnym kierunku ricardowskiej teorii wartości był to początek, po którym można było dużo się spodziewać. A choć nowością było to tylko dla niego i dla Niemców, to jednak ta praca jego stoi na ogół na tym samym poziomie co i osiągnięcia jego lepszych angielskich poprzedników. Lecz był to właśnie zaledwie początek, z którego można było osiągnąć rzeczywistą korzyść dla teorii, tylko pracując dalej gruntownie i krytycznie. Wszelako ten ciąg dalszy sam on sobie odciął przez to, że poszedł dalej za Ricardem również w jego drugim kierunku, w kierunku na utopię. I wraz z tym utracił on pierwszy warunek wszelkiej krytyki — bezstronność. Pisał dla z góry określonego celu, stał się ekonomistą tendencyjnym. Gdy go raz wzięła w swoje władanie utopia, to wszelka możliwość postępu w nauce przed nim się zamknęła. Od 1842 r. aż do śmierci obraca się on w ciasnym kole, powtarza myśli wciąż te same, które wypowiedział albo napomknął o nich w pierwszej swojej pracy, czuje się zapoznany, uważa, że go ograbiono, chociaż nie było z czego, i bodaj

że umyślnie wreszcie zamyka oczy na to, że w gruncie rzeczy odkrył on tylko na nowo to, co od dawna już było odkryte.

* * *

Przekład ten odbiega w kilku miejscach od drukowanego oryginału francuskiego, a opiera się to na poczynionych przez Marksa zmianach w rękopisie, które to zmiany wprowadzone zostaną również do przygotowywanego nowego wydania francuskiego.

Byłoby rzeczą bodajże zbyteczną zwracać tutaj uwagę na to, że używane w tej pracy terminy niezupełnie zgadzają się z używanymi w «Kapitale». Mówi się tu jeszcze o *pracy* jako towarze, o kupowaniu i sprzedawaniu pracy zamiast *siły roboczej*.

Do wydania niniejszego dodano: 1. ustęp z pracy Marksa «Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej» Berlin 1859, dotyczący pierwszej utopii Johna Graya o oparciu wymiany na bonach pracy, tudzież 2. przekład brukselskiej mowy Marksa z 1847 r. o wolnym handlu, która należy do tego samego okresu rozwoju autora co i «Misère» [«Nędza filozofii»].

Fryderyk Engels

Londyn, 23 października 1884 r.

LISTY MARKSA

do P. Annienkowa i redakcji pisma «Sozialdemokrat»

MARKS DO P. ANNIENKOWA

Bruksela, 28 grudnia 1846 r.

Odpowiedź moją na Pański list z 1 listopada byłby Pan już dawno otrzymał, gdyby nie to, że mój księgarz dopiero w zeszłym tygodniu przysłał mi książkę pana Proudhona «Filozofia nędzy». Przewertowałem ją w dwa dni, żeby móc natychmiast zakomunikować Panu mój pogląd. Ponieważ czytałem książkę bardzo szybko, nie mogę się wdawać w szczegóły i mogę opisać Panu tylko ogólne wrażenie, jakie książka ta na mnie sprawiła. Jeżeli Pan sobie życzy, będę mógł w następnym liście zająć się szczegółami.

Muszę Panu wyznać otwarcie, że na ogół uważam tę książkę za złą, nawet za bardzo złą. Sam Pan żartuje w swym liście z «piętna filozofii niemieckiej», które pan Proudhon wystawia na pokaz w tym bezkształtnym i pretensjonalnym dziele, przyjmijmy jednak, że filozoficzny jad nie zatruł wywodu ekonomicznego. Jestem też daleki od przypisywania błędów w wywodzie ekonomicznym filozofii pana Proudhona. Nie dlatego daje nam pan Proudhon błędną krytykę ekonomii politycznej, że jest w posiadaniu śmiesznej filozofii, ale dlatego daje śmieszną filozofię, że nie zrozumiał stanu społecznego w jego powiązaniu, żeby użyć słowa, które pan Proudhon obok wielu innych rzeczy zapożyczył od Fouriera.

Dlaczego pan Proudhon mówi o bogu, o powszechnym rozumie, o bezosobowym rozumie ludzkości, który się nie myli, który zawsze był równy sobie samemu, o którym trzeba tylko mieć należyte pojęcie,

żeby posiąść prawdę? Dlaczego popisuje się słabiutkim heglizmem, ażeby grać rolę tęgiego myśliciela?

On sam daje Panu klucz zagadki. Pan Proudhon widzi w historii szereg społecznych ewolucji; w historii odkrywa urzeczywistnienie postępu; stwierdza wreszcie, że ludzie wzięci jako jednostki nie wiedzieli, co czynią, łudzili się co do własnego ruchu, tzn., że ich rozwój społeczny wydaje im się na pierwszy rzut oka czymś różnym od ich rozwoju indywidualnego, czymś odrębnym, niezależnym. Faktów tych nie umie wyjaśnić, a hipoteza o objawiającym się rozumie powszechnym jest czystym wymysłem. Nic łatwiejszego, jak wymyślać mistyczne przyczyny, tzn. frazesy pozbawione zdrowego sensu.

Ale przyznając, że nic nie rozumie z historycznego rozwoju ludzkości — a przyznaje to, skoro posługuje się górnolotnymi słowami, jak Rozum powszechny, Bóg itd. — czyż nie przyznaje pan Proudhon jednocześnie i nieuchronnie swej niezdolności do zrozumienia *rozwoju ekonomicznego*?

Co to jest społeczeństwo, niezależnie od jego formy? Produkt wzajemnej działalności ludzi. Czy ludzie mają swobodę wyboru tej lub innej formy społecznej? Bynajmniej. Proszę wziąć określony stan rozwoju ludzkich sił wytwórczych, a otrzyma Pan odpowiednią formę wymiany i konsumpcji. Proszę założyć określone szczeble rozwoju produkcji, handlu, konsumpcji, a otrzyma Pan odpowiednią formę ustroju społecznego, odpowiednią organizację rodziny, stanów czy klas, krótko mówiąc, odpowiednie społeczeństwo. Proszę założyć takie społeczeństwo, a otrzyma Pan odpowiedni stan polityczny, który jest tylko oficjalnym wyrazem tego społeczeństwa. Oto, czego pan Proudhon nigdy nie zrozumie; sądzi bowiem, że dokonuje czegoś wielkiego, gdy odwołuje się od państwa do społeczeństwa, tzn. od oficjalnego résumé społeczeństwa do oficjalnego społeczeństwa.

Zbędne jest dodawać, że ludzie nie panują swobodnie nad *swymi siłami wytwórczymi*, podstawą całej ich historii, gdyż wszelka siła wytwórcza jest siłą nabytą, wytworem poprzedniej działalności. Tak więc siły wytwórcze są wynikiem praktycznej energii ludzkiej, lecz sama ta energia uwarunkowana jest okolicznościami, w jakie ludzie są stawiani przez uzyskane już siły wytwórcze, przez istniejącą

przed nimi formę społeczną, której nie stwarzają, która jest produktem poprzedniego pokolenia. Dzięki prostemu faktowi, że każde następne pokolenie zastaje uzyskane przez poprzednie pokolenie siły wytwórcze, które służą mu za surowiec do nowej produkcji, powstaje w historii ludzi pewien związek, powstaje historia ludzi, która tym bardziej jest historią ludzkości, że rozwinęły się siły wytwórcze ludzi, a wskutek tego rozwinęły się ich stosunki społeczne. Stąd nieuchronny wniosek: społeczna historia ludzi jest zawsze tylko historią ich rozwoju indywidualnego, wszystko jedno, czy sobie z tego zdają sprawę, czy nie. Ich stosunki materialne tworzą podstawę wszystkich ich stosunków. Te stosunki materialne to tylko konieczne formy, w jakich urzeczywistnia się materialna i indywidualna działalność ludzi.

Pan Proudhon bierze idee za rzeczy. Ludzie nigdy nie rezygnują z tego, co osiągnęli, nie znaczy to jednak, że nigdy nie rezygnują z tej formy społecznej, w jakiej osiągnęli pewne siły wytwórcze. Wręcz przeciwnie. Żeby nie utracić osiągniętego wyniku, żeby nie utracić owoców cywilizacji, ludzie muszą — z chwilą gdy rodzaj i sposób ich commerce [stosunków] nie odpowiada już uzyskanym siłom wytwórczym — zmieniać wszystkie odziedziczone formy społeczne. Słowo «commerce» stosuję tu w najszerszym znaczeniu, tak jak po niemiecku mówimy «Verkehr». Na przykład: przywilej, instytucja cechów i korporacyj, średniowieczna reglamentacja — były to stosunki społeczne, które odpowiadały osiągniętym siłom wytwórczym i poprzedniemu stanowi społeczeństwa, z którego instytucje te się wyłoniły. Pod ochroną systemu korporacyjnego i reglamentacyjnego gromadziły się kapitały, rozwijał się handel morski, zakładano kolonie — i ludzie byliby utracili same owoce, gdyby spróbowali zachować formy, pod których osłoną owoce te dojrzały. Dlatego też dwukrotnie uderzył grom: w rewolucji z roku 1640 i w rewolucji z roku 1688. Wszystkie stare formy ekonomiczne, stosunki społeczne, które im odpowiadały, ustrój polityczny, który był oficjalnym wyrazem starego społeczeństwa cywilnego — zostały w Anglii zburzone.

Tak więc formy ekonomiczne, w jakich ludzie produkują, konsumują, wymieniają, *są przejściowe i historyczne*. Z uzyskaniem nowych sił wytwórczych ludzie zmieniają swój sposób produkcji, a ze sposo-

bem produkcji zmieniają wszystkie stosunki ekonomiczne, które były tylko koniecznymi stosunkami tego określonego sposobu produkcji.

Oto, czego nie zrozumiał, a tym bardziej nie dowiódł pan Proudhon. Niezdolny do prześledzenia rzeczywistego ruchu historycznego, pan Proudhon daje fantasmagorię pretendującą do tego, żeby być fantasmagorią dialektyczną. Nie odczuwa potrzeby mówienia o wieku XVII, XVIII, XIX, gdyż jego historia rozgrywa się w mglistej sferze jego wyobraźni, wyższa nad czas i miejsce. Słowem: to jest stara heglowska rupieciarnia, to nie jest historia. To nie jest historia świecka — historia ludzi, to jest historia święta — historia idei. W jego sposobie ujmowania człowiek jest tylko narzędziem, którym posługuje się idea czy wieczny rozum, żeby się rozwijać. *Ewolucje*, o jakich mówi pan Proudhon, pojmuje on jako takie ewolucje, które rozgrywają się w mistycznym łonie idei absolutnej. Jeżeli zerwać kurtynę tego mistycznego języka, okaże się, że pan Proudhon przedstawia nam porządek, w jakim kategorie ekonomiczne układają się we wnętrzu jego głowy. Niewiele trudu będzie mnie kosztowało wykazanie, że jest to porządek bardzo nieuporządkowanej głowy.

Pan Proudhon otwiera swą książkę rozważaniami o *wartości*, co jest jego ulubionym konikiem. Tym razem nie wdam się w badanie tych rozważań.

Szereg ewolucji ekonomicznych wiecznego rozumu zaczyna się od *podziału pracy*. Podział pracy to dla pana Proudhona sprawa całkiem prosta. Czy jednak ustrój kastowy nie był pewnym podziałem pracy? A ustrój korporacyjny czy nie był innym podziałem pracy? A podział pracy w systemie manufaktury, który zaczyna się w połowie wieku XVII, a kończy się w Anglii w drugiej połowie wieku XVIII — czy nie jest także całkiem odmienny od podziału pracy w wielkim przemyśle, w przemyśle nowoczesnym?

Pan Proudhon tak mało rozumie z istoty sprawy, że pomija nawet to, o czym pamiętają chociażby zwykli ekonomiści. Żeby mówić o podziale pracy, nie trzeba mówić o *rynku* światowym. Dobrze. Czy podział pracy w wieku XIV i XV, kiedy nie było jeszcze kolonij, kiedy Ameryka nie istniała jeszcze dla Europy, kiedy Azja wschodnia istniała tylko za pośrednictwem Konstantynopola, nie

musiał być z gruntu odmienny od podziału pracy w wieku XVII, kiedy istniały już rozwinięte kolonie?

To nie wszystko. Cała wewnętrzna organizacja narodów, wszystkie ich stosunki międzynarodowe — cóż to jest innego, jak nie wyraz pewnego podziału pracy? Czy rzeczy te nie muszą się zmieniać wraz ze zmianą podziału pracy?

Pan Proudhon tak dalece nie zrozumiał kwestii podziału pracy, że nie wspomina nawet o rozdziale na miasto i wieś, który np. w Niemczech dokonał się od IX do XII wieku. Toteż rozdział ten musiał być dla pana Proudhona wiecznym prawem, bo nie zna ani jego pochodzenia, ani jego rozwoju. W całej swojej książce będzie mówił tak, jak gdyby ten wytwór określonego sposobu produkcji miał trwać aż do końca świata. Wszystko, co pan Proudhon mówi o podziale pracy, to tylko résumé, w dodatku bardzo powierzchowne, bardzo niepełne résumé tego, co przed nim powiedział Adam Smith i tysiąc innych.

Druga ewolucja to *maszyny*. Związek między podziałem pracy a maszynami jest u pana Proudhona zupełnie mistyczny. Każdy rodzaj i sposób podziału pracy miał szczególne narzędzia produkcji. Np. od połowy wieku XVII do połowy wieku XVIII ludzie nie wszystko robili ręcznie. Posiadali narzędzia, i to narzędzia nader skomplikowane, jak krosna, okręty, dźwignie itd.

Nie ma więc nic śmieszniejszego, jak przedstawiać maszynę jako wynik podziału pracy w ogóle.

Mimochodem powiem Panu jeszcze, że pan Proudhon nie zrozumiawszy pochodzenia maszyn tym bardziej nie zrozumiał ich rozwoju. Można powiedzieć, że do roku 1825 — okresu pierwszego ogólnego kryzysu — potrzeby konsumpcji rozwijały się na ogół szybciej niż produkcja i rozwój maszyn był koniecznym następstwem potrzeb rynku. Od roku 1825 wynalazki i stosowanie maszyn stanowią tylko następstwo wojny między przedsiębiorcami a robotnikami. A odnosi się to tylko do Anglii. O ile idzie o inne narody europejskie, do zastosowania maszyn zmusiła je walka konkurencyjna, którą Anglicy toczyli z nimi zarówno na ich własnych wewnętrznych rynkach jak na rynku światowym. Wreszcie, gdy chodzi o Amerykę Północną, wprowadzenie maszyn spowodowała zarówno konkurencja z innymi

narodami jak rzadkość sił roboczych, tzn. dysproporcja między liczbą ludności a potrzebami przemysłowymi Ameryki Północnej. Z tych faktów może Pan wnioskować, jaką bystrość umysłu zdradza pan Proudhon, wywołując upiora konkurencji jako trzecią ewolucję, jako antytezę maszyny.

Wreszcie, jest to w ogóle istny absurd, jeżeli się chce uczynić *maszyny* kategorią ekonomiczną obok podziału pracy, konkurencji, kredytu itd.

Maszyna tak samo nie jest kategorią ekonomiczną, jak wół ciągnący pług. Obecne *zastosowanie* maszyn to jeden ze stosunków naszego obecnego ustroju gospodarczego, ale sposób użycia maszyn to coś z gruntu odmiennego od samych maszyn. Proch pozostaje prochem, czy się go używa do zranienia człowieka, czy do gojenia jego ran.

Pan Proudhon przechodzi sam siebie, gdy stwarza we wnętrzu swej głowy konkurencję, monopol, podatki albo policję, bilans handlowy, kredyt, własność w takim porządku, jak je przytaczam. Prawie wszystkie formy kredytu były w Anglii rozwinięte już w początkach wieku XVIII, przed wynalezieniem maszyny. Kredyt publiczny to był tylko nowy sposób podniesienia podatków i zaspokojenia nowych potrzeb stworzonych przez przejście władzy w ręce klasy burżuazyjnej. Wreszcie *własność* stanowi ostatnią kategorię w systemie pana Proudhona. Natomiast w świecie realnym podział pracy i wszystkie inne kategorie pana Proudhona są stosunkami społecznymi, których całokształt stanowi to, co obecnie nazywamy *własnością;* poza tymi stosunkami burżuazyjna własność jest tylko metafizyczną czy prawną złudą. Własność innej epoki, własność feudalna rozwija się w łańcuchu zupełnie innych stosunków społecznych. Ustanawiając własność jako samodzielny stosunek popełnia pan Proudhon coś więcej niż błąd metodologiczny; składa wyraźny dowód, że nie rozeznał więzi łączącej wszystkie formy produkcji *burżuazyjnej,* że nie zrozumiał *historycznego i przejściowego* charakteru form produkcyjnych w określonej epoce. Nie dostrzegając w naszych instytucjach społecznych wytworów historii, nie rozumiejąc ani ich pochodzenia, ani ich rozwoju — pan Proudhon może poddawać je tylko dogmatycznej krytyce.

Toteż pan Proudhon musi uciec się do *fikcji*, żeby wytłumaczyć rozwój. Wmawia sobie, że podział pracy, kredyt, maszyny itd. — że wszystko to zostało wynalezione na użytek jego maniackiej idei, idei równości. Tłumaczenie jego jest niezwykle naiwne. Wynaleziono te rzeczy gwoli równości, na nieszczęście obróciły się one przeciw równości. Oto cała jego argumentacja. To znaczy, przyjmuje założenie całkowicie bezpodstawne, a skoro rzeczywisty rozwój i jego fikcja przeczą sobie na każdym kroku, dochodzi do wniosku, że istnieje sprzeczność. Przemilcza, że sprzeczność istnieje tylko między jego maniackimi ideami a rzeczywistym ruchem.

Tak to pan Proudhon — głównie z braku wiadomości historycznych — nie dostrzegł, że rozwijając swoje siły wytwórcze, tzn. żyjąc, ludzie rozwijają pewne stosunki między sobą, przy czym rodzaj tych stosunków zmienia się wraz ze zmianą i rozwojem owych sił wytwórczych. Nie dostrzegł, że *kategorie ekonomiczne* to tylko *abstrakcje* tych realnych stosunków, że są one prawdami o tyle tylko, o ile te stosunki istnieją. W ten sposób wpada w błąd burżuazyjnych ekonomistów, którzy w tych kategoriach ekonomicznych upatrują prawa wieczne, a nie historyczne, będące prawami tylko pewnego określonego szczebla rozwoju sił wytwórczych. Zamiast więc traktować kategorie ekonomii politycznej jako coś wyabstrahowanego z rzeczywistych, przemijających, historycznych stosunków społecznych, pan Proudhon — wskutek mistycznego odwrócenia — upatruje w rzeczywistych stosunkach tylko ucieleśnienia tych abstrakcji. Same te abstrakcje są formułami, które od początku świata drzemały w łonie Boga.

Ale tu poczciwy pan Proudhon dostaje silnych kurczów umysłowych. Jeżeli wszystkie te kategorie ekonomiczne są emanacjami serca boskiego, jeżeli stanowią utajone i wieczne życie ludzi, to po pierwsze, skąd się bierze rozwój, i po wtóre, dlaczego pan Proudhon nie jest konserwatystą? Te oczywiste sprzeczności tłumaczy on za pomocą całego systemu antagonizmów.

Żeby ten system antagonizmów uzmysłowić, posłużmy się przykładem.

Monopol jest dobry, jako że jest kategorią ekonomiczną, a więc emanacją Boga. Konkurencja jest dobra, bo jest również kategorią

ekonomiczną. Ale niedobra jest rzeczywistość monopolu i rzeczywistość konkurencji. Jeszcze gorsza jest okoliczność, że monopol i konkurencja pożerają się wzajemnie. Co robić? Skoro obie te wieczne idee Boga przeczą sobie, wydaje się panu Proudhonowi rzeczą oczywistą, że w łonie boskim istnieje niejako synteza obu tych idei, synteza, w której konkurencja równoważy zło monopolu i odwrotnie. Walka między obiema ideami doprowadzi do tego, że ujawni się tylko ich piękna strona. Tę tajemną myśl trzeba wydrzeć Bogu, potem ją zastosować — i wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Trzeba odkryć syntetyczną formułę ukrytą w mrokach bezosobowego rozumu ludzkości. Pan Proudhon nie wahając się ani na moment zostaje odkrywcą.

Proszę jednak spojrzeć przez chwilę na rzeczywiste życie. W teraźniejszym życiu ekonomicznym zauważy Pan nie tylko konkurencję i monopol, ale też ich syntezę, która nie jest *formułą, tylko ruchem*. Monopol rodzi konkurencję, konkurencja rodzi monopol.

Ale równanie to, bardzo dalekie od tego, żeby mogło — jak to sobie wyobrażają ekonomiści burżuazyjni — usunąć trudności obecnego stanu, sprowadza stan cięższy i bardziej powikłany. Zmieniając więc podstawę, na której opierają się obecne stosunki ekonomiczne, unicestwiając obecny *sposób* produkcji, unicestwia Pan nie tylko monopol, konkurencję i ich antagonizm, ale też ich jedność, ich syntezę, ruch będący rzeczywistą równowagą konkurencji i monopolu.

A teraz dam Panu przykład dialektyki p. Proudhona.

Wolność i niewola stanowią antagonizm. Nie potrzebuję mówić o dobrych i złych stronach wolności. Co się tyczy niewoli, nie potrzebuję mówić o jej złych stronach. Wyjaśnień wymaga tylko dobra strona niewoli. Idzie nie o niewolę pośrednią, o niewolę proletariusza; idzie o niewolę bezpośrednią, o niewolę czarnych w Surinamie, w Brazylii, w południowej części Ameryki Północnej.

Niewola bezpośrednia jest osią naszego dzisiejszego industrializmu, zupełnie tak samo, jak maszyny, kredyt itd. Bez niewoli nie ma bawełny, bez bawełny nie ma nowoczesnego przemysłu. Niewola nadała wartość koloniom, kolonie zrodziły handel światowy, handel światowy jest nieodzownym warunkiem wielkiego przemysłu maszynowego. Jakoż przed powstaniem handlu Murzynami kolonie dostarczały

Staremu Światu bardzo mało produktów i nie zmieniły oblicza świata w sposób istotny. Niewola jest przeto kategorią ekonomiczną o bardzo doniosłym znaczeniu. Bez niewoli Ameryka Północna, kraj najbardziej postępowy, zamieniłaby się w kraj patriarchalny. — Proszę tylko wykreślić Amerykę Północną z mapy świata, a otrzyma Pan anarchię, zupełny upadek handlu i nowoczesnej cywilizacji. A przecież zniesienie niewoli oznaczałoby wykreślenie Ameryki z mapy świata. Toteż niewolę — właśnie dlatego, że jest kategorią ekonomiczną — spotykamy u wszystkich narodów od stworzenia świata. Nowoczesne narody potrafiły tylko zamaskować niewolę u siebie i wprowadzić ją jawnie do Nowego Świata. Po tych rozważaniach nad niewolą — cóż ma począć poczciwy pan Proudhon? Będzie szukał syntezy wolności i niewoli, prawdziwego juste milieu, innymi słowy: równowagi między niewolą a wolnością.

Pan Proudhon zrozumiał bardzo dobrze, że ludzie wyrabiają sukno, płótno, jedwabie — i wielka to z jego strony zasługa, że zrozumiał tę prostą rzecz! Natomiast nie zrozumiał pan Proudhon, że ludzie, stosownie do swych możliwości, wytwarzają także *stosunki społeczne*, w których wytwarzają sukno i płótno. Jeszcze mniej zrozumiał pan Proudhon to, że ludzie wytwarzając — odpowiednio do swojej produkcji materialnej — stosunki społeczne, wyłaniają też *idee, kategorie*, tzn. każdorazowy idealny, abstrakcyjny wyraz tychże stosunków społecznych. Wobec tego kategorie nie są wieczne, tak samo jak nie są wieczne stosunki, przez te kategorie wyrażane. Są to wytwory historyczne i przemijające. Dla pana Proudhona — wręcz przeciwnie — abstrakcje, kategorie, są pierwszą przyczyną. Jego zdaniem one, a nie ludzie, tworzą historię. *Abstrakcja, kategoria jako taka*, tzn. oddzielona od ludzi i od ich materialnej działalności, jest oczywiście nieśmiertelna, niezmienna, nieruchoma, jest ona jedynie bytem czynnego rozumu, co znaczy tylko tyle, że abstrakcja jako taka jest abstrakcyjna. Podziwu godna tautologia!

Wobec tego również stosunki ekonomiczne, widziane w formie kategorii, są dla pana Proudhona wiecznymi formułami, bez pochodzenia i bez rozwoju.

Powiedzmy to inaczej: pan Proudhon nie mówi wprost, że *życie burżuazyjne* jest dla niego *wieczną prawdą*. Mówi to pośrednio

nadając atrybuty boskie kategoriom, które pod postacią idei wyrażają stosunki burżuazyjne. Wytwory społeczeństwa burżuazyjnego przyjmuje za samodzielne, obdarzone własnym życiem, wieczne istoty, gdy tylko ukazują mu się w formie kategorii, w formie idei. W ten sposób nie wznosi się ponad burżuazyjny horyzont. Operując burżuazyjnymi ideami, skoro zakłada je jako wiecznie prawdziwe, szuka swoich idei, ich równowagi, i nie dostrzega, że ich obecny sposób równoważenia się jest jedynym możliwym sposobem.

W rzeczywistości czyni to, co czynią wszyscy dobrzy bourgeois. Wszyscy oni powiedzą Panu, że konkurencja, monopol itd. w zasadzie, tzn. jako abstrakcyjne idee, są jedynymi podstawami życia, ale w praktyce pozostawiają wiele do życzenia. Wszyscy oni chcą konkurencji bez smutnych następstw konkurencji. Wszyscy chcą rzeczy niemożliwej, mianowicie burżuazyjnych stosunków życiowych bez nieuchronnych następstw tych stosunków. Żaden z nich nie rozumie, że burżuazyjna forma produkcji jest formą historyczną i przejściową, zupełnie tak samo, jak była nią forma feudalna. Błąd pochodzi stąd, że człowiek burżuazyjny jest dla nich jedynie możliwą podstawą wszelkiego społeczeństwa, że nie wyobrażają sobie oni stanu społecznego, w którym człowiek przestaje być bourgeois.

Pan Proudhon jest więc nieuchronnie *doktrynerem*. Historyczny ruch, który rewolucjonizuje świat dzisiejszy, sprowadza się u niego do problemu wykrycia właściwej równowagi, syntezy dwóch idei burżuazyjnych. W ten sposób sprytny chłopak za pomocą fortelu wykrywa utajoną myśl Boga, jedność dwóch izolowanych idei, które tylko dlatego są dwiema izolowanymi ideami, że pan Proudhon izolował je od praktycznego życia, od dzisiejszej produkcji stanowiącej kombinację realności przez te idee wyrażanych. Zamiast wielkiego ruchu historycznego, rodzącego się z konfliktu między uzyskanymi już ludzkimi siłami wytwórczymi a ludzkimi stosunkami społecznymi, które tym siłom wytwórczym już nie odpowiadają; zamiast straszliwych wojen dojrzewających między różnymi klasami jednego narodu, między różnymi narodami; zamiast praktycznej i gwałtownej akcji mas, która jedynie będzie mogła rozwiązać te konflikty; zamiast tego gigantycznie rozległego długotrwałego i skomplikowanego ruchu sta-

wia pan Proudhon kapryśny ruch swojej głowy. Tak to uczeni, ludzie, którzy umieją podsłuchiwać skryte myśli Boga, robią historię. Prostaczkowie powinni tylko zastosować ich objawienia.

Teraz rozumie Pan, dlaczego pan Proudhon jest zdeklarowanym wrogiem wszelkiego ruchu politycznego. Rozwiązanie obecnych problemów zawiera się u niego nie w działalności publicznej, tylko w dialektycznych zakrętasach w jego głowie. Skoro kategorie są dla niego siłami napędowymi, nie trzeba zmieniać praktycznego życia, żeby zmienić kategorie. Wprost przeciwnie: trzeba zmienić kategorie, a następstwem tego będzie zmiana rzeczywistego życia.

Ożywiony pragnieniem pojednania sprzeczności, pan Proudhon wcale nie pyta o to, czy nie należy obalić samej podstawy tych sprzeczności. We wszystkim podobny jest do doktrynerskiego polityka, który w królu, izbie posłów i izbie wyższej chce widzieć integralne części składowe życia społecznego, wieczne kategorie. Tylko że pan Proudhon poszukuje nowej formuły, żeby doprowadzić te siły do stanu równowagi (gdy równowaga ich polega właśnie na obecnym ruchu, w którym jedna z tych sił jest raz zwycięzcą, raz niewolnikiem drugiej). Tak doszło do tego, że w XVIII wieku mnóstwo słabych głów biedziło się nad znalezieniem formuły, która by wprowadziła równowagę między stanami społecznymi, szlachtą, królem, parlamentami itd., a nazajutrz nie stało ani króla, ani parlamentów, ani szlachty. Właściwą równowagę w tym antagonizmie oznaczało obalenie wszystkich stosunków społecznych, które służyły za podstawę tym feudalnym tworom i ich antagonizmowi.

Ponieważ pan Proudhon stawia po jednej stronie wieczne idee, kategorie czystego rozumu, a po drugiej ludzi i ich praktyczne życie, które według niego jest zastosowaniem tych kategorii, od początku do końca znajduje Pan u niego *dualizm* życia i idei, duszy i ciała — dualizm powtarzający się w wielu postaciach. Teraz widzi Pan, że antagonizm ten to tylko niezdolność pana Proudhona do zrozumienia świeckiego pochodzenia i świeckiej historii kategoryj, którym nadaje atrybuty boskie.

List mój jest już zbyt długi, żeby mówić jeszcze o śmiesznym procesie, który pan Proudhon wytacza komunizmowi. W każdym

razie przyzna mi Pan, że człowiek, który nie zrozumiał obecnego stanu społeczeństwa, tym bardziej nie może zrozumieć ruchu, który chce obalić ten stan, ani literackich wypowiedzi tego rewolucyjnego ruchu.

Jedyny punkt, w którym całkowicie zgadzam się z panem Proudhonem, to jego niechęć do socjalistycznej czułostkowości. Już przed nim ściągnąłem na siebie wiele wrogości za swoje drwiny z cielęcego, sentymentalnego, utopistycznego socjalizmu. Czy jednak pan Proudhon nie popada w osobliwe złudzenie, przeciwstawiając swój sentymentalizm drobnomieszczanina — mam na myśli jego deklamacje na temat ogniska domowego, miłości małżeńskiej i wszystkie te banały — sentymentalizmowi socjalistycznemu, który np. u Fouriera jest o wiele głębszy niż pretensjonalne komunały naszego poczciwego Proudhona? On sam tak doskonale czuje nicość swych argumentów, całkowitą swoją niezdolność do mówienia o tych rzeczach, iż wpada we wściekłość, w krzyk, *w gniew człowieka porządnego*, że pieni się, klnie, oskarża, stawia pod pręgierz, wymyśla, rozdziera szaty, przysięga przed Bogiem i ludźmi, iż nie splamił się socjalistycznym bezeceństwem! Nie krytykuje poważnie socjalistycznego sentymentalizmu czy tego, co uważa za sentymentalizm. Jak święty, jak papież, wyklina potępieńców i wyśpiewuje hymn pochwalny drobnomieszczaństwu, mizernym, miłosnym i patriarchalnym złudzeniom ogniska domowego. I nie jest to bynajmniej przypadek. Pan Proudhon jest od stóp do głów filozofem, ekonomistą drobnomieszczaństwa. *Drobnomieszczanin* w rozwiniętym społeczeństwie staje się pod przemożnym uciskiem swej sytuacji, z jednej strony, socjalistą, z drugiej — ekonomistą; tzn. jest oślepiony wspaniałością wielkiej burżuazji i współczuciem dla cierpień ludu. W głębi duszy jest dumny z tego, że jest bezstronny, że znalazł właściwą równowagę, różną — jak sobie wmawia — od juste milieu. Drobnomieszczanin taki ubóstwia *sprzeczność*, gdyż stanowi ona podstawę jego bytu. Jest on tylko wprawioną w działanie sprzecznością społeczną. To, czym jest w praktyce, musi usprawiedliwić teoria — i pan Proudhon ma tę zasługę, że jest tubą naukową francuskiego drobnomieszczaństwa, co jest rzeczywiście zasługą, gdyż drobnomieszczaństwo będzie częścią składową wszystkich nadchodzących rewolucji społecznych.

Razem z tym listem chętnie posłałbym Panu swoją książkę o ekonomii politycznej, ale nie miałem dotąd możności wydania tej pracy ani krytyki niemieckich filozofów i socjalistów, o której opowiadałem Panu w Brukseli. Nigdy by Pan nie uwierzył, na jakie trudności natrafia taka publikacja w Niemczech, częściowo ze strony policji, częściowo ze strony księgarzy, zainteresowanych przedstawicieli wszystkich kierunków, które atakują. Co się zaś tyczy naszej własnej partii, jest ona nie tylko biedna, ale znaczna część niemieckiej partii komunistycznej jest także zagniewana na mnie, bo przeciwstawiam się jej utopiom i deklamacjom...

MARKS DO REDAKCJI PISMA «SOZIALDEMOKRAT»

(«Sozialdemokrat» nry 16, 17 i 18 z r. 1865)

Londyn, 24 stycznia 1865

Wielce szanowny Panie!

Otrzymałem wczoraj list, w którym żąda Pan ode mnie szczegółowej oceny *Proudhona*. Brak czasu nie pozwala mi uczynić zadość Pańskiemu życzeniu. Ponadto nie mam pod ręką *żadnego* z jego pism. Żeby jednak dowieść Panu mojej dobrej woli, rzucam naprędce krótki szkic. Później może go Pan uzupełnić, dodać, opuścić, krótko mówiąc, uczynić z nim, co Pan uzna za wskazane*.

Pierwszych prób Proudhona już sobie nie przypominam. Jego szkolna praca na temat: «Langue universelle» [«Język uniwersalny»] świadczy, jak bezceremonialnie zabierał się do problemów, do których rozwiązania brakło mu jeszcze najbardziej elementarnych wiadomości wstępnych.

Pierwsze jego dzieło: «Qu'est-ce que la Propriété?» [«Czym jest własność?»] jest niewątpliwie najlepszym jego dziełem. Jest to dzieło epokowe, jeżeli nie ze względu na nową treść, to ze względu na nowy i zuchwały sposób mówienia o rzeczach starych. Oczywiście w dziełach znanych mu francuskich socjalistów i komunistów «propriété» [«własność»] nie tylko była różnorodnie krytykowana, ale też utopisty-

* Redakcja pisma «Sozialdemokrat», w którym ukazał się niniejszy list Marksa do J. B. Schweitzera, dodaje do tych słów następującą uwagę: «Uważaliśmy za najwłaściwsze wydrukować ten list bez zmian». — *Red.*

cznie «*znoszona*». W dziele tym Proudhon zajmuje wobec Saint-Simona i Fouriera stanowisko mniej więcej takie, jak Feuerbach wobec Hegla. W porównaniu z Heglem jest Feuerbach zgoła ubogi. A jednak *po* Heglu stworzył on epokę kładąc nacisk na pewne, dla chrześcijańskiej świadomości nieprzyjemne, a dla postępu krytyki ważne punkty, które Hegel pozostawił w jakowymś mistycznym clair-obscur [półmroku].

Jeżeli wolno się tak wyrazić, w owym dziele Proudhona panuje jeszcze silna muskulatura stylu. I styl tego dzieła uważam za główną jego zasługę. Widać, że nawet tam, gdzie odtwarzane są tylko stare rzeczy, Proudhon dokonuje samodzielnych odkryć; że to, co mówi, dla niego samego było nowe i uchodzi za nowe.

Wyzywającym zuchwalstwem, które porywa się na «święte świętych» ekonomii, błyskotliwymi paradoksami natrząsającymi się z pospolitego rozsądku mieszczańskiego, miażdżącym osądem, zjadliwą ironią, przezierającym tu i ówdzie głębokim i szczerym uczuciem oburzenia na hańbę istniejącej rzeczywistości, rewolucyjną powagą — wszystkim tym elektryzowała «Qu'est-ce que la Propriété?» i wywarła wielkie wrażenie w chwili ukazania się po raz pierwszy. W ściśle naukowej historii ekonomii politycznej praca ta bodaj że nie zasługiwałaby na wzmiankę. Ale takie sensacyjne pisma odgrywają w nauce swą rolę, podobnie jak w literaturze powieściowej. Weźmy np. pracę Malthusa o «Population» [«Ludności»]. Jej pierwsze wydanie jest tylko «sensational pamphlet» [«pamfletem sensacyjnym»], w dodatku *plagiatem* od początku do końca! A przecież — jak wielkie wrażenie wywarł ten *paszkwil na rodzaj ludzki!*

Gdybym miał pracę Proudhona pod ręką, łatwo mógłbym na kilku przykładach wykazać jej *podstawową manierę*. W paragrafach, które sam uważał za najważniejsze, Proudhon naśladuje kantowskie traktowanie *antynomij* — Kant był jedynym filozofem niemieckim, którego Proudhon znał wtedy z przekładów — i pozostawia nieodparte wrażenie, że podobnie jak Kant uważa rozwiązanie antynomij za coś leżącego «*poza*» rozumem ludzkim, tzn. za coś, co pozostaje niejasne dla jego własnego rozumu.

Jednakże, mimo całego pozornego światoburstwa znajdujemy już w «Qu'est-ce que la Propriété?» sprzeczność polegającą na tym,

że Proudhon, z jednej strony, krytykuje społeczeństwo ze stanowiska i z punktu widzenia francuskiego chłopa działkowego (później «petit bourgeois» [drobnomieszczanina]), z drugiej zaś strony, stosuje miarę przejętą od socjalistów.

Już sam tytuł książki wskazywał na jej braki. Pytanie zostało postawione tak błędnie, że niemożliwa była trafna na nie odpowiedź. *Starożytne «stosunki własności»* znikły w *feudalnych*, feudalne w *«burżuazyjnych»*. W ten sposób sama historia dokonała krytyki minionych *stosunków własnościowych*. Tym, co Proudhon miał właściwie na myśli, była istniejąca *nowoczesna własność burżuazyjna*. Na pytanie, czym ona jest, można było odpowiedzieć tylko dając krytyczną analizę «ekonomii politycznej», obejmującej całokształt owych *stosunków własności* nie w ich wyrazie *prawnym* jako *stosunków woli*, ale w ich realnej postaci, tzn. jako *stosunków produkcji*. Wplótłszy jednak całokształt tych stosunków ekonomicznych w ogólne wyobrażenie prawne: «własność» «la propriété» nie mógł też Proudhon wyjść poza odpowiedź, jaką już przed rokiem 1789 Brissot dał tymi samymi słowami w podobnej pracy: «La propriété c'est le vol» [«Własność to kradzież»].

W najlepszym wypadku wynika z tego tylko tyle, że burżuazyjne wyobrażenia prawne o «kradzieży» stosują się także do własnego *«uczciwego»* dochodu samego bourgeois. Z drugiej strony — skoro *«kradzież»* jako naruszenie własności drogą przemocy *zakłada tę własność* — Proudhon uwikłał się w różne, jemu samemu niejasne, pomysły na temat *prawdziwej własności burżuazyjnej*.

Podczas mego pobytu w Paryżu w r. 1844 zetknąłem się z Proudhonem osobiście. Wspominam tu o tym dlatego, że sam do pewnego stopnia ponoszę winę za jego *«sophistication»*, jak Anglicy nazywają fałszowanie towaru. W długich, często całonocnych dyskusjach zaraziłem go ku jego wielkiej szkodzie heglizmem, którego — wobec nieznajomości języka niemieckiego — nie mógł przecież porządnie studiować. To, co ja zacząłem, kontynuował po wydaleniu mnie z Paryża pan *Karol Grün*. Jako nauczyciel filozofii niemieckiej miał on jeszcze tę wyższość nade mną, że sam nic z niej nie rozumiał.

Na krótko przed ukazaniem się jego drugiego poważnego dzieła «Philosophie de la Misère etc.» [«Filozofia nędzy itd.»] Proudhon

sam mi o tym doniósł w bardzo szczegółowym liście, w którym m. in. figurują słowa: «J'attends votre férule critique» [«Oczekuję surowej krytyki z Pańskiej strony»]. Niebawem też krytyka ta (w mojej pracy «Misère de la philosophie etc.» Paryż 1847) spadła na niego w sposób, który raz na zawsze położył kres naszej przyjaźni.

Z tego, co się tu rzekło, widzi Pan, że właściwie dopiero proudhonowska «Philosophie de la Misère ou Système des Contradictions Économiques» [«Filozofia nędzy czyli system sprzeczności ekonomicznych»] zawierała odpowiedź na pytanie: «Qu'est-ce que la propriété?» Rzeczywiście Proudhon zaczął swoje studia ekonomiczne dopiero po ukazaniu się tej pracy; odkrył, że na postawione przezeń pytanie nie można odpowiedzieć *obelgami*, lecz jedynie przez *analizę* nowoczesnej *«ekonomii politycznej»*. Jednocześnie spróbował przedstawić dialektycznie *system* kategorii ekonomicznych. Miejsce nierozerwalnych *antynomij Kanta* miała zająć *heglowska «sprzeczność»* jako motor rozwoju.

W celu oceny jego dwutomowego, grubego dzieła muszę Pana odesłać do mojej pracy polemicznej. Wykazałem tam, w jak małym stopniu Proudhon wniknął w tajemnice naukowej dialektyki; jak, z drugiej strony, podziela złudzenia filozofii spekulatywnej, skoro zamiast pojmować *kategorie ekonomiczne* jako *wyraz teoretyczny historycznych stosunków produkcji odpowiadających określonemu szczeblowi rozwoju produkcji materialnej*, zmienia je niedorzecznie w istniejące od początku *wieczne idee* i taką okólną drogą wraca do stanowiska ekonomii burżuazyjnej*.

Wykazuję dalej, jak bardzo niedostateczna a po części nawet żakowska jest jego znajomość «ekonomii politycznej», której krytyki

* Twierdząc, że panujące obecnie stosunki — stosunki produkcji burżuazyjnej — są *naturalne*, ekonomiści chcą przez to powiedzieć, że w tych właśnie stosunkach tworzy się bogactwo i rozwijają się siły wytwórcze zgodnie z prawami natury. A więc i same te stosunki są też *prawami naturalnymi* i nie podlegają wpływowi czasu. Są to *prawa wieczne*, które powinny zawsze rządzić społeczeństwem. Historia tedy ongi istniała, ale dzisiaj historii już nie ma. Istniała ona, ponieważ istniały instytucje feudalne, a w tych feudalnych instytucjach znajdujemy stosunki produkcji zupełnie odmienne od stosunków w społeczeństwie burżuazyjnym, które to stosunki z woli ekonomistów mają uchodzić za naturalne, a więc wieczne. (Str. 113 mojej pracy). *Przypis K. Marksa* (Patrz str. 133 nin. wydania — *Red.*).

się podjął, i jak razem z utopistami poluje na tak zwaną «*naukę*», która ma wymędrkować a priori formułę na «rozwiązanie kwestii społecznej» — zamiast czerpać naukę z krytycznego poznania ruchu historycznego, z ruchu, który sam stwarza *materialne warunki wyzwolenia*. W szczególności zaś wykazuję, jak niejasny, błędny i połowiczny jest pogląd Proudhona na podstawę wszystkiego, na *wartość wymienną*, co więcej, nie widzi on utopistycznej interpretacji *ricardowskiej* teorii wartości jako podstawy nowej nauki. Jego ogólne stanowisko oceniam w całości, jak następuje:

«Każdy stosunek ekonomiczny ma stronę dobrą i stronę złą, oto jedyny punkt, w którym pan Proudhon nie zadaje sam sobie kłamu. Stronę dobrą, jak sądzi, podkreślają ekonomiści — stronę złą oskarżają socjaliści. Od ekonomistów bierze konieczność wiecznych stosunków, od socjalistów — złudę dostrzegania w nędzy tylko nędzy (zamiast dostrzegania w niej strony rewolucyjnej, burzącej, która obali stare społeczeństwo). Zgadza się z jednymi i z drugimi, przy czym próbuje oprzeć się na autorytecie nauki. Nauka sprowadza się u niego do karłowatych wymiarów formuły naukowej; jest on człowiekiem goniącym za formułami. Wmawiając sobie w ten sposób, że dokonał krytyki zarówno ekonomii politycznej jak komunizmu — pan Proudhon stoi głęboko poniżej jednego i drugiego. Poniżej ekonomistów dlatego, że jako filozof mający pod ręką magiczną formułę czuje się zwolniony od wdawania się w szczegóły czysto ekonomiczne; poniżej socjalistów dlatego, że nie posiada ani dość odwagi, ani dość rozumu, aby — bodaj spekulatywnie — wznieść się nad burżuazyjny horyzont myślowy.

«...Jako mąż nauki chce unosić się nad bourgeois i nad proletariuszami, a jest tylko drobnomieszczaninem, ustawicznie miotanym tam i z powrotem między kapitałem a pracą, między ekonomią polityczną a komunizmem» (patrz str. 137 nin. wyd. — *Red.*).

Jakkolwiek twardo brzmi powyższy wyrok, muszę jeszcze dziś podpisać się pod każdym jego słowem. Jednocześnie trzeba jednak pamiętać, że w czasie, kiedy określiłem książkę Proudhona jako kodeks socjalizmu drobnomieszczanina i dowiodłem tego teoretycznie, Proudhon był jeszcze i przez ekonomistów, i przez socjalistów wy-

klinany jako ultra- i arcyrewolucjonista. Dlatego też później nigdy nie łączyłem swego głosu z wrzaskiem o jego «*zdradzie*» rewolucji. Nie jego to była wina, jeżeli — początkowo źle zrozumiany przez innych i przez siebie samego — nie spełnił nieuzasadnionych nadziei.

W «La Philosophie de la Misère» wszystkie niedomagania proudhonowskiego wykładu w przeciwieństwie do «Qu'est-ce que la Propriété?» — występują bardzo niekorzystnie. Styl ma w sobie często coś z tego, co Francuzi nazywają *ampoulé* [napuszony]. Górnolotnie spekulatywny żargon, który ma być z niemiecka filozoficzny, występuje z reguły tam, gdzie zawodzi galijska precyzyjność. Bez przerwy razi ucho jarmarczny, samochwalczy, reklamiarski ton, zwłaszcza owo, zawsze tak nieznośne, namaszczone i sztuczne wystawianie na pokaz «*nauki*». Zamiast szczerego żaru, który bije z pierwszej pracy, tu deklamacja w niektórych miejscach systematycznie przechodzi w gorączkowe wypieki. I w dodatku owa nieporadna i wstrętna poza na uczoność, cechująca samouka, którego naturalna duma z oryginalnego, samodzielnego myślenia załamała się już i który jako parweniusz w nauce sądzi, że musi pysznić się tym, czym nie jest i czego nie posiada. Następnie mentalność drobnomieszczanina, który np. takiego *Cabeta*, godnego szacunku ze względu na czynne ustosunkowanie się do proletariatu, atakuje w sposób nieprzyzwoicie brutalny, a przy tym bez polotu i niegłęboko, i nawet niesłusznie — natomiast jest ugrzeczniony np. wobec takiego *Dunoyera* (bądź co bądź «radcy stanu»), choć całe znaczenie owego Dunoyera polegało na zabawnej powadze, z jaką w trzech grubych, nieznośnie grubych tomach głosił rygoryzm, który Helwecjusz charakteryzuje w słowach: «On veut que les malheureux soient parfaits» [«Żąda się od nieszczęśliwych, by byli doskonałymi»].

Rewolucja lutowa* była dla Proudhona naprawdę bardzo niewygodna, skoro akurat kilka tygodni przedtem dowiódł w sposób nieodparty, że «*era rewolucyj*» minęła na zawsze. Jego wystąpienie w Zgromadzeniu Narodowym, jakkolwiek dowodzi znikomego zrozumienia wytworzonej sytuacji, jest ze wszech miar chwalebne.

* Mowa o rewolucji 23—24 lutego 1848 r., w której obalony został król Ludwik Filip, przedstawiciel wielkiej finansjery. — *Red.*

Po powstaniu czerwcowym* był to akt wielkiej odwagi. Ponadto miało ono ten dodatni skutek, że pan *Thiers* swoją mową polemizującą z wnioskami Proudhona, które wyszły potem jako oddzielna praca, dowiódł w obliczu całej Europy, jaki dziecięcy katechizm służy za piedestał temu filarowi duchowemu francuskiej burżuazji. W zestawieniu z panem *Thiersem Proudhon* rzeczywiście wyrósł na przedpotopowego olbrzyma.

Odkrycie «Crédit gratuit» [«bezprocentowy kredyt»] i oparty na nim «*Bank Ludowy*» («banque du peuple») były ostatnimi «czynami» ekonomicznymi Proudhona. W mojej pracy «Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej...» można znaleźć dowód, że teoretyczna podstawa jego poglądu wynikła z nieznajomości zasadniczych elementów burżuazyjnej «ekonomii politycznej», mianowicie stosunku *towarów* do *pieniądza*, praktyczna zaś nadbudowa była po prostu odtworzeniem daleko starszych i daleko lepiej opracowanych planów. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, jest rzeczą oczywistą, że kredyt, tak jak np. w początkach wieku XVIII, a potem znowu w początkach wieku XIX, służył w Anglii do przeniesienia majątku jednej klasy w ręce drugiej, w określonych okolicznościach ekonomicznych i politycznych może posłużyć do przyśpieszenia wyzwolenia klasy pracującej. Ale upatrywać w *kapitale przynoszącym procent główną formę kapitału*, chcieć z poszczególnego zastosowania kredytu, z rzekomego zniesienia procentu uczynić podstawę przebudowy społecznej — to fantazja na wskroś *kołtuńska*. I rzeczywiście widzimy, że fantazję tę szeroko już rozwałkowywali *ekonomiczni rzecznicy drobnomieszczaństwa angielskiego w wieku* XVII. Polemika Proudhona z Bastiatem na temat kapitału przynoszącego procent (r. 1850) stoi o wiele niżej od «Philosophie de la Misère». Proudhon dochodzi do tego, że nawet Bastiat może go pobić, za każdym razem gdy przeciwnik zadaje mu cios, podnosi śmieszny wrzask.

Przed kilku laty Proudhon napisał pracę konkursową — zdaje się, z inicjatywy rządu lozańskiego — o «*Podatkach*». Tu ginie

* Powstanie paryskich robotników w dn. 23. VI 1848 r., sprowokowane przez burżuazję w warunkach dla klasy robotniczej niekorzystnych, krwawo po pięciodniowych ulicznych walkach przez generała Cavaignaca zdławione. — *Red.*

ostatni ślad genialności. Pozostaje petit bourgeois tout pur [czysty drobnomieszczanin].

O ile idzie o polityczne i filozoficzne pisma Proudhona, to we wszystkich ujawnia się ten sam sprzeczny, dwoisty charakter, co w pracach z dziedziny ekonomii. Przy tym pisma te mają tylko lokalne francuskie znaczenie. Jednakże jego ataki na religię, kościół itd. mają poważną zasługę lokalną, w okresie gdy socjaliści francuscy uważali za stosowne górować religijnością nad burżuazyjnym wolterianizmem wieku XVIII i nad niemiecką bezbożnością wieku XIX. O ile Piotr Wielki barbarzyństwem pokonał rosyjskie barbarzyństwo, Proudhon czyni co w jego mocy, żeby frazesem pokonać francuskiego ducha frazesu.

Nie tylko jako złe książki, ale jako nikczemności — choć nikczemności odpowiadające drobnomieszczańskiemu punktowi widzenia — traktować należy jego pracę o «coup d'état» [«zamach stanu»]*, w której kokietuje L. Napoleona i próbuje uczynić go strawnym dla robotników francuskich, oraz ostatnią jego pracę przeciw *Polsce*, w której ku czci cara ujawnia cynizm kretyna.

Często porównywano *Proudhona* z *Rousseau*. Nie ma nic bardziej błędnego. Podobny jest raczej do *Nic. Lingueta*, którego «Théorie des Lois Civiles» [«Teoria cywilnych praw»] jest zresztą książką bardzo genialną.

Proudhon miał naturalną skłonność do dialektyki. Ponieważ jednak nigdy nie rozumiał dialektyki prawdziwie naukowej, doszedł tylko do sofistyki. W gruncie rzeczy pozostawało to w związku z jego drobnomieszczańskim stanowiskiem. Drobnomieszczanin dzieli się — podobnie jak historyk *Raumer* — na «z jednej strony» i «z drugiej strony». Taki jest w swych interesach ekonomicznych, a *więc* w swych poglądach religijnych, naukowych i artystycznych. Taki jest w swojej moralności, taki jest in everything [we wszystkim]. Jest żywą sprzecznością. A jeżeli — jak Proudhon — jest przy tym człowiekiem błyskotliwego umysłu, rychło przywyknie do igrania własnymi

* Ludwik Napoleon Bonaparte (bratanek Napoleona I), od 10 grudnia 1848 r. prezydent Republiki Francuskiej, dokonał 2 grudnia 1851 r. zamachu stanu i obaliwszy władzę parlamentarną ogłosił się cesarzem Francuzów. — *Red.*

sprzecznościami i rozwijania ich, zależnie od okoliczności, w nieoczekiwane, hałaśliwe, niekiedy gorszące, niekiedy błyskotliwe paradoksy. Stanowisku takiemu towarzyszy nieodłącznie szarlataneria naukowa i polityczna ugodowość. Pozostaje jeszcze tylko jedna pobudka — *próżność* osobnika, i jak u wszystkich ludzi próżnych idzie już tylko o chwilowe powodzenie, o sensację dnia. W ten sposób nieuchronnie znika prosty takt moralny, który takiego np. Rousseau zawsze powstrzymywał od wszelkiego, pozornego nawet kompromisu z istniejącymi potęgami.

Potomność, charakteryzując ten najnowszy okres dziejów francuskich, powie może, iż Louis Bonaparte był jego Napoleonem, a Proudhon jego Rousseau-Voltaire'em.

I musi Pan sam teraz ponieść odpowiedzialność za to, żeś mi Pan narzucił — zaraz po śmierci tego człowieka — rolę sędziego umarłych.

Oddany Panu

Karol Marks

NĘDZA FILOZOFII

Odpowiedź na «Filozofię nędzy» p. Proudhona

PRZEDMOWA

Pan Proudhon nie ma szczęścia: nie umieją się jakoś w Europie na nim poznać. We Francji uważają, że ma on prawo być złym ekonomistą, gdyż uchodzi tutaj za dobrego filozofa niemieckiego. W Niemczech zaś ma prawo być złym filozofem, gdyż tutaj znowu uważają go za jednego z najtęższych ekonomistów francuskich. My — będąc i Niemcem, i ekonomistą jednocześnie — powzięliśmy zamiar zaprotestowania przeciw podwójnej tej omyłce.

Czytelnik przekona się, że w tej niewdzięcznej pracy nieraz byliśmy zmuszeni odkładać na bok krytykę p. Proudhona, aby zająć się krytyką filozofii niemieckiej, tudzież raz po raz rzucić krytycznym okiem na ekonomię polityczną.

Karol Marks

Bruksela, 15 czerwca 1847 r.

Praca p. Proudhona nie jest zwykłą rozprawą z ekonomii politycznej ani książką jak inne — jest to jakaś Biblia: i «Tajemnica», i «Sekrety wydarte z łona Boga», i «Objawienie», niczego w niej nie braknie. Ale że w naszych czasach to, co prorocy głoszą, roztrząsane bywa surowiej, niż gdy chodzi o autorów świeckich, czytelnik tedy musi się z tym pogodzić, że będzie wraz z nami brnął poprzez jałową i mroczną erudycję księgi Genezy, aby dopiero później wznieść się wraz z p. Proudhonem w eteryczne i urodzajne strefy super-socjalizmu. (Patrz «Philosophie de la Misère», Prologue, str. III, w. 20).

MISÈRE

DE

LA PHILOSOPHIE.

REPONSE A

LA PHILOSOPHIE DE LA MISÈRE

DE M. PROUDHON.

Par Karl Marx.

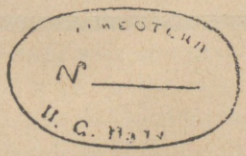

PARIS.
A. FRANK.

BRUXELLES.
C. G. NOGLER

1847

Okładka pierwszego wydania «Nędzy filozofii»

S.
II. BIBLIJOTEKA DZIEŁ TREŚCI SPOŁECZNO-EKONO-
II 40

KAROL MARX

PISMA POMNIEJSZE

SERYJA PIERWSZA:

O wolnym handlu. — Praca najemna i kapitał. — Proudhon. — Nędza filozofii. Marx contra Michajłowskij.

BIBLIOTEKA HANDLOWA
CZYTELNIA

PARYŻ.
—
LIBRAIRIE K[illegible]A
7 Rue Bertholet 7
—
1886

Tytułowa strona pierwszego polskiego wydania «Nędzy filozofii»

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ODKRYCIE NAUKOWE

§ 1

PRZECIWIEŃSTWO MIĘDZY WARTOŚCIĄ UŻYTKOWĄ A WARTOŚCIĄ WYMIENNĄ

«Zdolność wszystkich produktów, czy to naturalnych, czy przemysłowych, do służenia utrzymaniu człowieka przy życiu nosi szczególne miano ich *wartości użytkowej;* ta zaś ich zdolność, że mogą być jedne wymieniane na drugie, stanowi ich *wartość wymienną*... Jakimż sposobem wartość użytkowa staje się wymienną?... Ekonomiści nie dosyć starannie wzięli pod uwagę powstanie pojęcia wartości (wymiennej), musimy się przeto zatrzymać nad tą sprawą. Ponieważ spośród rzeczy, których mi potrzeba, wiele znajduje się w naturze w ilości skąpej lub ich tam nie ma wcale, muszę więc sam przyczynić się do wytwarzania tego, czego mi braknie, a że nie jestem w stanie brać się samemu do zbyt wielu rzeczy, zwrócę się tedy do innych ludzi, mych współpracowników w różnych gałęziach działalności, *z propozycją,* aby odstępowali mi część swoich produktów *w zamian za to,* co ja posiadam» (*Proudhon,* t. I, rozdz. II).

Pan Proudhon ma na celu wyjaśnić nam przede wszystkim dwoistą naturę wartości, «*rozróżnienie w wartości*», proces przekształcający wartość użytkową na wartość wymienną. Musimy się zatrzymać wraz z p. Proudhonem przy tym akcie *transsubstancjacji.* Oto, jak, zdaniem naszego autora, akt ten się dokonywa.

Znacznej liczby produktów przyroda nam nie daje, wytwarza je przemysł. Skoro potrzeby przewyższają samorzutną produkcję przyrody, człowiek jest zniewolony uciekać się do produkcji przemysło-

wej. Czymże, według p. Proudhona, jest ten przemysł i jak on powstał? Jeden człowiek, potrzebujący bardzo wielu rzeczy, «nie może brać się sam do tylu rzeczy». Ile się ma potrzeb do zaspokojenia, tyle też rzeczy wyprodukować trzeba — nie ma produktów bez produkcji; wielość rzeczy do wyprodukowania zakłada udział w produkcji więcej niż jednego człowieka. Ale z chwilą gdy przyjmiecie, że w produkcji uczestniczy więcej niż jeden człowiek, to tym samym przypuszczacie już całkowitą produkcję opartą na podziale pracy. W ten sposób potrzeba — w tej formie, w jakiej przyjmuje ją p. Proudhon — zakłada już sama całkowity podział pracy. Zakładając zaś podział pracy macie już daną wymianę, a przeto i wartość wymienną. Równie więc dobrze można było tę wartość wymienną przyjąć od razu na początku.

Pan Proudhon wolał jednak zatoczyć całe koło. Idźmyż za nim we wszystkich tych jego zakrętach, które nas będą sprowadzać wciąż z powrotem do jego punktu wyjścia.

Ażeby skończyć z takim stanem rzeczy, kiedy każdy produkuje w pojedynkę, i ażeby dojść do wymiany, «zwracam się» — mówi p. Proudhon — «do mych współpracowników w różnych gałęziach działalności». A więc oto mam współpracowników, zajętych rozmaitymi gałęziami działalności, chociaż pomimo to ani ja, ani nikt inny — wciąż według przypuszczenia p. Proudhona — nie wychodzimy z samotnego i mało uspołecznionego położenia Robinsonów. Współpracownicy i różne gałęzie działalności, podziały pracy i wymiana, którą on powoduje, wszystko to po prostu spada z nieba.

Streśćmy się: mam potrzeby, oparte na podziale pracy i wymianie. Przyjmując te potrzeby p. Proudhon przyjął już przez to istnienie wymiany oraz wartości wymiennej, której «powstanie» zamierza właśnie «wziąć pod uwagę» i wyjaśnić «staranniej niż inni ekonomiści».

Pan Proudhon mógłby z tym samym skutkiem odwrócić porządek rzeczy nie podważając tym słuszności swych wniosków. Aby wytłumaczyć wartość wymienną, potrzeba wymiany. Aby wytłumaczyć wymianę, potrzeba podziału pracy. Aby wytłumaczyć podział pracy, trzeba, aby istniały potrzeby, które czynią ten podział pracy koniecznością. Aby wytłumaczyć te potrzeby, należy je «*przyjąć jako*

przesłankę», co jednakże nie oznacza, że się przez to odrzuca ich istnienie, wbrew pierwszemu pewnikowi prologu p. Proudhona, iż: «Przyjąć istnienie Boga jako przesłankę jest to zaprzeczyć jego istnieniu» (Prolog, str. 1).

Jakimż tedy sposobem p. Proudhon, który przyjmuje podział pracy jako daną wiadomą, wyjaśni przy jego pomocy wartość wymienną, która wciąż jeszcze pozostaje dla niego niewiadomą?

«Człowiek jakiś» udaje się «do innych ludzi, swoich współpracowników w różnych gałęziach działalności, z *propozycją*» ustanowienia wymiany i odróżniania na przyszłość wartości użytkowej od wartości wymiennej. Godząc się na propozycję czynienia tej różnicy współpracownicy nie pozostawiają p. Proudhonowi żadnej innej «troski» oprócz tej, aby stwierdził on fakt dokonany i aby zaznaczył, «odnotował» w swym traktacie z ekonomii politycznej «powstanie pojęcia wartości». Nam wszelako p. Proudhon winien jest jeszcze wytłumaczyć «powstanie» owej propozycji, winien nam wyjaśnić w końcu, w jaki sposób ten jeden człowiek, ten Robinson Kruzoe, wpadł nagle na pomysł uczynienia «swym współpracownikom» propozycji *wiadomego* rodzaju i jakże to ci współpracownicy zgodzili się na nią zgoła bez protestu.

Pan Proudhon nie wchodzi w te szczegóły genealogiczne. Poprzestaje na tym, że przykłada niejako do faktu wymiany stempel historyczny, przedstawiając fakt ten pod postacią wniosku złożonego przez osobę trzecią, która dążyła do ustanowienia tej wymiany.

Oto próbka *«metody historycznej i opisowej»* p. Proudhona, który z wyniosłą pogardą traktuje «historyczną i opisową metodę» Adamów Smithów i Ricardów.

Wymiana ma swe odrębne dzieje. Jej rozwój przeszedł różne fazy.

Był czas — na przykład w wiekach średnich — gdy wymieniano tylko nadmiar, nadwyżkę wytwórczości nad spożyciem.

Były i inne czasy, kiedy nie tylko nadmiar, lecz wszystkie produkty, całe istnienie przemysłowe przeszło do dziedziny handlu, kiedy produkcja była całkowicie uzależniona od wymiany. Jak wytłumaczyć tę drugą fazę wymiany — wartość wymienną podniesioną do drugiej potęgi?

Pan Proudhon ma na to gotową odpowiedź: przypuśćmy, że jakiś człowiek «zwrócił się do innych ludzi, swych współpracowników

w różnych gałęziach działalności z *propozycją*» podniesienia wartości wymiennej do drugiej potęgi.

Przyszedł wreszcie czas, kiedy wszystko, co ludzie uważali przedtem za rzeczy nie do zbycia, stało się przedmiotem wymiany, handlu i mogło być odstępowane. To czas, gdy nawet rzeczy, których się dotąd udzielało, lecz nigdy nie wymieniało; które się dawało, lecz nigdy ich się nie sprzedawało; które się nabywało, lecz nigdy nie kupowało — cnota, miłość, przekonania, wiedza, sumienie — gdy wreszcie wszystko stało się sprzedajne. To czas zepsucia ogólnego, powszechnej sprzedajności albo, mówiąc językiem ekonomii politycznej, czas, kiedy wszelka rzecz, natury *moralnej* czy fizycznej, stawszy się wartością sprzedażną, pojawia się na rynku, by znaleźć tam ocenę odpowiadającą jej słusznej wartości.

Jakżeż wytłumaczyć tę nową i ostatnią fazę wymiany — wartość wymienną podniesioną do trzeciej potęgi?

Pan Proudhon ma i na to odpowiedź gotową: przypuśćcie, że jakaś osoba «*zaproponowała* innym osobom, swym współpracownikom w różnych gałęziach działalności», aby uczynić z cnoty, miłości itd. wartość sprzedażną, podnieść wartość wymienną do jej trzeciej i ostatniej potęgi.

Jak widzimy, «metoda historyczna i opisowa» p. Proudhona służy do wszystkiego, na wszystko odpowiada i wszystko tłumaczy. Zwłaszcza gdy chodzi o to, aby wyjaśnić historycznie «powstanie jakiegoś pojęcia ekonomicznego», p. Proudhon przyjmuje tytułem przesłanki istnienie jakiegoś człowieka, który proponuje innym ludziom, «swym współpracownikom w różnych gałęziach działalności», aby dokonali tego aktu powstawania, i rzecz jest załatwiona.

Odtąd przyjmujemy «powstanie» wartości wymiennej jako fakt dokonany; pozostaje nam tylko wyjaśnić stosunek wartości wymiennej do wartości użytkowej. Posłuchajmy, co mówi p. Proudhon.

«Ekonomiści bardzo dobrze uwydatnili dwoisty charakter wartości; czego jednak nie wyłożyli z tą samą wyrazistością, to jej *istoty sprzecznej samej w sobie;* i tutaj nasza krytyka się zaczyna... Nie dosyć jest wskazać w wartości użytkowej i wymiennej ten zadziwiający kontrast, w którym ekonomiści przywykli widzieć jedynie rzecz zupełnie prostą: należy oprócz tego dowieść, iż ta rzekoma prostota

kryje głęboką tajemnicę, którą obowiązani jesteśmy przeniknąć... Że wyrazimy się technicznie, wartość użytkowa i wymienna pozostają w odwrotnym do siebie stosunku».

Jeżeliśmy właściwie zrozumieli myśl p. Proudhona, to pragnie on ustalić następujące cztery punkty:

1) Wartość użytkowa i wartość wymienna stanowią «zadziwiający kontrast», przeciwstawiają się sobie wzajem;

2) Wartość użytkowa i wartość wymienna znajdują się w odwrotnym do siebie stosunku, przeczą sobie;

3) Ekonomiści nie dostrzegli ani nie pojęli tej ich przeciwstawności ni sprzeczności;

4) Krytyka p. Proudhona zaczyna się od końca.

Od końca i my również zaczniemy tę sprawę i ażeby oczyścić ekonomistów z zarzutów, które stawia im p. Proudhon, oddamy głos dwóm ekonomistom dość wybitnym.

Sismondi:

«Handel sprowadza wszystko do przeciwstawności między wartością użytkową a wartością wymienną itd.» («Études [«studia»] t. II, str. 162, wydanie brukselskie).

Lauderdale:

«W ogóle bogactwo narodowe (wartość użytkowa) zmniejsza się w miarę tego, jak mienie jednostek wzrasta wskutek podnoszenia się wartości wymiennej; a w miarę jak to mienie zmniejsza się wskutek spadania tej wartości, bogactwo narodowe na ogół wzrasta» («Recherches sur la Nature et l'Origine de la Richesse Publique» [«Badania istoty i pochodzenia bogactwa społecznego»], przekład Largentila de Lavaise, Paryż 1808).

Na *przeciwstawności* między wartością użytkową a wymienną Sismondi oparł główną swą teorię, w myśl której dochód zmniejsza się w stosunku prostym do wzrostu produkcji.

Lauderdale zbudował swój system na podstawie odwrotnego do siebie stosunku tych dwóch rodzajów wartości, a doktryna jego była nawet do tego stopnia popularna za czasów Ricarda, że ten mógł mówić o niej jako o rzeczy powszechnie znanej.

«Wskutek pomieszania pojęć wartości wymiennej i bogactwa (wartości użytkowej), doszli do twierdzenia, że można zwiększyć

bogactwo zmniejszając liczbę rzeczy nieodzownych do życia, pożytecznych lub przyjemnych» (*Ricardo*, «Principes d'Économie Politique» — «Zasady ekonomii politycznej», przełożył Constancio, uwagami opatrzył J. B. Say, Paryż 1835, t. II, rozdział «O wartości i bogactwie»).

Widzimy, że już przed p. Proudhonem ekonomiści «wskazali» na głęboką tajemnicę owej przeciwstawności i sprzeczności. Zobaczmyż teraz, jak z kolei p. Proudhon po ekonomistach tajemnicę tę tłumaczy.

Jeżeli popyt pozostaje bez zmiany, to wartość wymienna produktu spada w miarę wzrostu podaży; innymi słowy: im produktu jest więcej *w stosunku do popytu*, tym niższa jest jego wartość wymienna, czyli jego cena. I *odwrotnie:* im podaż jest słabsza w stosunku do popytu, tym bardziej wzrasta wartość wymienna, czyli cena ofiarowywanego produktu; innymi słowy: im rzadsze są produkty w stosunku do popytu na nie, tym większa jest na nie drożyzna. Wartość wymienna produktu zależy od jego obfitości lub rzadkości, lecz zawsze w stosunku do popytu. Weźmy jakiś więcej niż rzadki produkt, niech będzie to nawet produkt jedyny w swym rodzaju: tego jedynego produktu będzie aż za dużo i będzie on zbyteczny, jeżeli nie ma nań popytu. Odwrotnie, przypuśćcie, że ilość jakiegoś produktu wzrosła miliony razy — będzie on zawsze rzadki, jeśli go nie wystarcza, by popyt nań pokryć, tzn. jeżeli za wiele go żądają.

Są to prawdy, powiemy, nieomal banalne, a które jednak trzeba było tu powtórzyć, aby dać pojąć tajemnice p. Proudhona.

«Tak tedy, rozwijając tę zasadę aż do ostatecznych jej konsekwencji, doszłoby się najlogiczniej w świecie do wniosku, iż rzeczy, których używanie jest nieodzowne a ilość nieskończona, powinny być za darmo, rzeczy zaś, z których nie ma żadnego użytku, a które są krańcowo rzadkie, powinny mieć cenę nieskończenie wysoką. Miary trudności dopełnia tu jeszcze ta okoliczność, że praktyka nie pozwala wcale na takie skrajności: z jednej strony, żaden produkt ludzki pod względem ilości nie może nigdy osiągnąć rozmiarów nieskończonych; z drugiej — rzeczy nawet najrzadsze muszą być jednak w jakimś stopniu użyteczne, w przeciwnym razie żadnej nie mogłyby mieć

wartości. Wartość użytkowa i wartość wymienna są przeto z konieczności ze sobą związane, lubo z istoty swojej dążą wciąż do tego, aby wyłączyć jedna drugą» (t. I, str. 39).

Cóż to takiego dopełnia tu właściwie miarki trudności dla p. Proudhona? Najzwyczajniej w świecie to, że zapomniał o *popycie*, o tym, iż rzecz nie może być rzadka ani znajdować się w obfitości inaczej, niż tylko kiedy jest na nią zapotrzebowanie. Usunąwszy na bok popyt, p. Proudhon utożsamia wartość wymienną z *rzadkością*, a wartość użytkową z *obfitością*. Istotnie bowiem, mówiąc, iż rzeczy, «z których *nie ma żadnego użytku, a które są krańcowo rzadkie*», mają «*cenę nieskończenie wysoką*», powiada on po prostu, że wartość wymienna nie jest niczym innym jak tylko rzadkością. «Krańcowa rzadkość i równa zeru użyteczność» — to tylko rzadkość w swej czystej postaci. «Cena nieskończenie wysoka» — to maksimum wartości wymiennej, to wartość wymienna w swej czystej postaci. Pomiędzy tymi dwoma terminami kładzie on znak równości. A więc wartość wymienna i rzadkość są to terminy równoznaczne. Dochodząc do tych rzekomo «ostatecznych konsekwencyj» p. Proudhon doprowadził w istocie do ostateczności nie rzeczy, lecz nazwy, które je oznaczają, i dał tym dowód, że o wiele więcej niż logikiem jest raczej retorem. Znajduje on z powrotem pierwsze swe założenia w całej ich nagości wtedy właśnie, gdy sądzi, że znalazł nowe, wynikające z nich konsekwencje. I w ten sam sposób udaje mu się również utożsamić wartość użytkową z obfitością w jej czystej postaci.

Przyrównawszy wartość wymienną do rzadkości a wartość użytkową do obfitości, p. Proudhon jest zdumiony, że nie znajduje oto ani wartości użytkowej w rzadkości tudzież w wartości wymiennej, ani wartości wymiennej w obfitości tudzież w wartości użytkowej; a widząc następnie, że praktyka życia nie pozwala na takie krańcowości, nie ma on już innego wyboru, jak tylko wierzyć w tajemnicę. Istnieje dlań cena nieskończenie wysoka, bo nie ma kupujących; tych zaś nie znajdzie nigdy, póki nie zaprzestanie abstrahować od popytu.

Z drugiej zaś strony, obfitość u p. Proudhona zdaje się powstawać sama przez się. Zapomina on całkowicie, że są ludzie, którzy ją wytwarzają, i że w interesie tych ludzi leży, aby popytu nigdy nie tracić z oczu. Bo gdyby nie to, jakżeby p. Proudhon mógł powiedzieć, iż

rzeczy bardzo użyteczne winny być bardzo tanie albo nic nawet nie kosztować. Powinien by był, przeciwnie, dojść do wniosku, że pragnąc podnieść cenę rzeczy bardzo użytecznych, czyli ich wartość wymienną, należy ograniczyć ich obfitość, ich produkcję.

Kiedy dawni właściciele winnic we Francji domagali się wydania prawa zabraniającego zakładania nowych winnic; kiedy Holendrzy palili korzenne przyprawy azjatyckie i tępili krzewy goździkowe na Wyspach Molukskich, to pragnęli po prostu zmniejszyć przez to obfitość towarów, aby podnieść ich wartość wymienną. W myśl tej samej zasady postępowało całe średniowiecze, gdy ograniczało ustawowo liczbę czeladników, których mógł zatrudniać jeden majster, i liczbę narzędzi, których wolno mu było używać (Patrz *Anderson*, «Histoire du Commerce» [«Historia handlu»]).

Przedstawiwszy obfitość *jako wartość użytkową*, a rzadkość jako wartość wymienną — przy czym nie ma nic łatwiejszego jak dowieść, że obfitość i rzadkość stoją do siebie w stosunku odwrotnym — p. Proudhon utożsamia wartość użytkową z *podażą*, a wartość wymienną z *popytem*. Aby tę antytezę jeszcze jaskrawszą uczynić, wprowadza pewną zmianę terminologiczną, podstawiając na miejsce nazwy *wartość wymienna* nazwę *wartość określona* przez opinię [«valeur d'opinion»]. W ten sposób walka przenosi się na inny teren i mamy, z jednej strony, *użyteczność* (wartość użytkową, podaż), a z drugiej — *opinię* (wartość wymienną, popyt).

Te dwie przeciwne sobie siły któż pogodzi? Jak doprowadzić je do porozumienia? Czy można by znaleźć w nich choć jakiś wspólny punkt, który by pozwolił porównać je z sobą?

«O, tak» — woła p. Proudhon — «taki punkt istnieje; a jest nim *wolna wola*. Cena, która wyniknie z tej walki pomiędzy podażą a popytem, między użytecznością a opinią, nie będzie wyrazem sprawiedliwości wiekuistej».

I p. Proudhon rozwija dalej tę antytezę:

«W mym charakterze *wolnego nabywcy* jestem sędzią mych potrzeb — sędzią tego, czy dany przedmiot mi dogadza, sędzią ceny, którą dać za niego *zechcę*. Ty, z drugiej strony, w swoim charakterze *wolnego wytwórcy*, jesteś panem *środków produkcji*, a przeto masz możność zredukowania kosztów» (t. I, str. 41).

A że popyt lub wartość wymienna jest tym samym co opinia, p. Proudhon musi więc powiedzieć:

«Jest rzeczą dowiedzioną, że to *wolna wola* człowieka wywołuje przeciwstawność między wartością użytkową a wymienną. Jak przeciwstawność tę rozwiązać, dopóki istnieje wolna wola? I jak poświęcić tę wolną wolę, nie poświęcając zarazem człowieka?» (t. I, str. 41).

Do żadnego wyniku dojść przeto niesposób. Walka się toczy między dwiema siłami, że tak powiemy, niewspółmiernymi, pomiędzy użytecznością a opinią, między wolnym nabywcą a wolnym wytwórcą.

Przyjrzyjmy się tym rzeczom nieco bliżej.

Podaż nie reprezentuje wyłącznie użyteczności, popyt nie reprezentuje wyłącznie opinii. Czyż ten, kto chce coś nabyć, nie ofiarowuje ze swej strony również pewnego wytworu albo pieniędzy zastępujących wszystkie w ogóle wytwory i czy, według p. Proudhona, nie reprezentuje on przez to użyteczności albo wartości użytkowej?

Z drugiej strony, czy ten, kto ma coś na zbyciu, nie żąda za to również jakiegoś produktu albo pieniędzy, tego znaku zastępującego wszystkie produkty? I czy nie staje się on przez to reprezentantem opinii, wartości określonej przez opinię, czyli wartości wymiennej?

Popyt jest jednocześnie podażą, podaż jest jednocześnie popytem. Stąd tedy antyteza p. Proudhona, utożsamiając po prostu podaż z użytecznością, a popyt z opinią, spoczywa na czczej abstrakcji.

To, co p. Proudhon nazywa wartością użytkową, inni ekonomiści z tą samą słusznością nazywają wartością określoną przez opinię. Że przytoczymy tutaj tylko Storcha («Cours d'Économie Politique» [«Kurs ekonomii politycznej»], Paryż 1823, str. 88 i 99).

Jego zdaniem, *potrzebami* nazywa się rzeczy, których potrzebę czujemy; *wartościami* nazywa się rzeczy, którym przypisujemy wartość. Większość rzeczy ma wartość jedynie dlatego, że zaspokajają potrzeby wytworzone drogą przeświadczenia. Przeświadczenie o naszych potrzebach może ulec zmianie, a przeto i użyteczność rzeczy, która wyraża tylko stosunek tych rzeczy do naszych potrzeb, może się również zmienić. Nawet potrzeby przyrodzone zmieniają się bez przerwy. Jakaż rozmaitość panuje w rzeczy samej wśród przedmiotów służących za podstawowe pożywienie różnym ludom!

Nie między użytecznością a przeświadczentem zachodzi walka — toczy się ona między wartością sprzedażną, której się domaga mający coś na zbyciu, a wartością sprzedażną, którą proponuje pragnący to nabyć. Wartość wymienna produktu jest za każdym razem wypadkową tych sprzecznych oszacowań.

Koniec końców tedy podaż i popyt są to — postawione przed oblicze jedna drugiej — produkcja i konsumpcja, ale produkcja i konsumpcja oparte na aktach wymiany między poszczególnymi osobnikami.

Produkt będący przedmiotem podaży nie jest sam w sobie użyteczny. To spożywca stwierdza jego użyteczność. I nawet gdy się przyznaje produktowi tę własność, że jest użyteczny, to nie stanowi on wyłącznie tego, co użyteczne. W przebiegu produkcji był on wymieniany na wszystkie koszty jego wytwarzania, takie jak surowce, płaca robocza itd. — rzeczy, które są wszystkie wartościami sprzedażnymi. Produkt przeto, w oczach jego wytwórcy przedstawia pewną sumę wartości sprzedażnych. Przedmiotem podaży ze strony producenta jest nie tylko pewna rzecz pożyteczna, ale oprócz tego i nade wszystko pewna sprzedażna wartość.

Co do popytu, to ten będzie istotny tylko pod warunkiem, że posiada do swej dyspozycji środki wymiany. A środki te są same produktami, wartościami wymiennymi.

W podaży i popycie znajdujemy więc, z jednej strony, produkt, na który wydatkowano pewne wartości sprzedażne, oraz potrzebę sprzedania go; z drugiej — środki, na które wydatkowano wartości sprzedażne, oraz chęć kupna.

Pan Proudhon przeciwstawia sobie *wolnego nabywcę i wolnego producenta*. Jednego i drugiego obdarza własnościami czysto metafizycznymi. I to właśnie każe mu powiedzieć: «Jest rzeczą dowiedzioną, że to *wolna wola* człowieka stwarza przeciwstawność pomiędzy wartością użytkową a wartością wymienną».

Wytwórca — z chwilą kiedy wyprodukował coś w społeczeństwie opartym na podziale pracy i aktach wymiany, a takie właśnie jest założenie p. Proudhona — musi swój produkt sprzedać. Pan Proudhon czyni wytwórcę panem środków produkcji, lecz zgodzi się z nami, że posiadanie tych środków produkcji nie zależy od *wolnej*

woli. I nawet, co więcej, te środki produkcji są przeważnie produktami, które wytwórca otrzymuje z zewnątrz, a w produkcji nowoczesnej nie ma on nawet na tyle swobody, aby według swego uznania produkować dowolną ilość. Obecny stopień rozwoju sił wytwórczych zmusza go do produkowania w tej lub innej skali.

Spożywca nie jest wcale wolniejszy od wytwórcy. Jego przeświadczenie opiera się na jego środkach i jego potrzebach. I jedne, i drugie wyznacza jego pozycja w społeczeństwie, która ze swej strony zależy od całokształtu organizacji społecznej. Oczywiście, i robotnik kupujący ziemniaki, i utrzymanka kupująca koronki kierują się każde swoim przeświadczeniem. Lecz odmienność ich przeświadczeń tłumaczy się różnicą sytuacji, którą zajmują w świecie, a ta znów sytuacja jest wytworem ustroju społecznego.

Na czymż opiera się cały system potrzeb — na przeświadczeniu czy też na całej organizacji wytwórczości? Najczęściej potrzeby wynikają wprost z produkcji lub z opartego na produkcji stanu rzeczy. Prawie cały handel światowy prowadzony jest nie dla potrzeb konsumpcji indywidualnej, lecz produkcji. A biorąc inny przykład, czyż potrzeba notariuszy nie zakłada istnienia określonego prawa cywilnego, które ze swej strony jest tylko wyrazem pewnego rozwoju własności, tzn. produkcji?

Panu Proudhonowi nie wystarcza to, że usunął ze stosunku podaży i popytu czynniki, o których żeśmy przed chwilą mówili. Posuwa on abstrakcję do najdalszych granic, zlewając wszystkich wytwórców w *jednego* wytwórcę, wszystkich spożywców w *jednego* spożywcę i utrzymując, że walka się toczy pomiędzy tymi dwiema chimerycznymi osobami. Ale w realnym świecie bieg rzeczy jest inny. Konkurencja w szeregach przedstawicieli podaży i konkurencja w szeregach przedstawicieli popytu tworzą nieodzowny składnik walki pomiędzy kupującymi i sprzedającymi, której wynikiem jest wartość wymienna.

Wyeliminowawszy ze swoich rozważań koszty produkcji i konkurencję p. Proudhon może już potem z całą dla siebie wygodą sprowadzić do absurdu formułę podaży i popytu.

«Podaż i popyt — mówi — nie są niczym innym jak tylko dwiema *formami konwencjonalnymi* [formes cérémonielles] służącymi po temu,

ażeby wartość użytkową i wartość wymienną postawić jedną w obliczu drugiej i spowodować ich pogodzenie się z sobą. Są to bieguny elektryczne, których połączenie ma wywołać zjawisko powinowactwa zwane *wymianą*» (t. I, str. 49 i 50).

Z tą samą racją powiedzieć by można, że wymiana jest tylko «formą konwencjonalną», ażeby postawić spożywcę wobec przedmiotu spożycia. I z tą samą racją powiedzieć by można, że wszystkie stosunki ekonomiczne są «formami konwencjonalnymi» mającymi służyć za pośredników. Podaż i popyt są stosunkami danej wytwórczości ani mniej, ani więcej niż indywidualne akty wymiany.

Na czym tedy polega cała dialektyka p. Proudhona? Na tym, że zastępuje on wartość użytkową i wartość wymienną, podaż oraz popyt pojęciami oderwanymi i sprzecznymi, takimi jak rzadkość i obfitość, pożyteczność i przeświadczenie, *jeden* wytwórca i *jeden* spożywca, obaj *rycerze wolnej woli.*

I do czegoż chciał on dojść w ten sposób?

Do zachowania sobie możności wprowadzenia potem jednego ze składników, które pominął przedtem, a mianowicie *kosztów produkcji* jako *syntezy* wartości użytkowej i wartości wymiennej. W ten właśnie sposób koszty produkcji stają się w jego przekonaniu *wartością syntetyczną, czyli wartością ukonstytuowaną.*

§ 2

WARTOŚĆ UKONSTYTUOWANA, CZYLI WARTOŚĆ SYNTETYCZNA

«Wartość (wymienna) jest kamieniem węgielnym gmachu ekonomii politycznej». Wartość «ukonstytuowana» jest kamieniem węgielnym systemu sprzeczności ekonomicznych.

Cóż to więc jest ta «*wartość (wymienna) ukonstytuowana*», która stanowi całe odkrycie p. Proudhona w ekonomii politycznej?

Skoro się już raz przyjmie użyteczność, praca jest źródłem wartości. Miarą pracy jest czas. Wartość względna produktów określa się czasem pracy użytej na ich wytworzenie. Cena jest wyrazem

pieniężnym względnej wartości produktu. Wreszcie wartość *ukonstytuowana* produktu jest to prostu wartość, która konstytuuje się przez czas pracy w nim utrwalonej.

Podobnie jak Adam Smith odkrył *podział pracy*, tak on, p. Proudhon, twierdzi o sobie, że odkrył «*wartość ukonstytuowaną*». Nie jest to oczywiście «nic niesłychanego», ale też przyznać trzeba, że nie ma nic niesłychanego w żadnym z odkryć nauki ekonomii. Pan Proudhon, który czuje całą doniosłość swojego odkrycia, usiłuje wszelako zmniejszyć swą zasługę, «ażeby uspokoić czytelnika co do swych pretensji do oryginalności i zjednać sobie umysły, z racji swej nieśmiałości niezbyt przychylnie usposobione dla nowych idei». Lecz w miarę tego jak rozpatruje, co każdy z jego poprzedników uczynił dla określenia pojęcia wartości, dochodzi z konieczności do wniosku, który wyznaje głośno, że on ma pod tym względem największą, lwią część zasługi.

«Adam Smith niewyraźnie dostrzegł syntetyczną ideę wartości... Lecz ta idea wartości była u A. Smitha całkiem intuicyjna, a społeczeństwo nie zmienia swoich przyzwyczajeń na wiarę intuicji, uznaje ono tylko autorytet faktów. Trzeba było, aby antynomia wyraziła się w sposób bardziej dostrzegalny i wyraźniejszy: J. B. Say przyczynił się głównie do jej jasnego wyłożenia» (I, 66).

Tak oto wyglądają całe dzieje odkrycia wartości syntetycznej: u Adama Smitha mglista intuicja, u J. B. Saya antynomia, u p. Proudhona — prawda konstytuująca i «ukonstytuowana». I nie dajmy się zbić z tropu: wszyscy inni ekonomiści od Saya do Proudhona wlekli się tylko utartą drogą antynomii. «Rzecz nie do uwierzenia, że tylu rozsądnych ludzi od lat czterdziestu szamocze się na próżno z tak prostą ideą. Ale nie, *porównuje się z sobą wartości nie mając dla nich żadnego punktu porównawczego ani jednostki miary* — oto, co *ekonomiści XIX wieku* postanowili twierdzić na opak wszystkim i wbrew wszystkim raczej, niżby mieli przyjąć rewolucyjną ideę równości. *Co powie o tym potomność?*» (t. I, str. 68).

Potomność, tak porywczo zainterpelowana, zacznie od tego, że jej się poplącze chronologia. Będzie ona musiała zadać sobie pytanie: czyż Ricardo i jego szkoła nie są to ekonomiści XIX wieku? Systemat Ricarda, który przyjmuje za zasadę, że «wartość względna towarów

zależy wyłącznie od ilości pracy potrzebnej do ich wytworzenia», sięga 1817 roku. Ricardo stoi na czele całej szkoły panującej w Anglii od czasów Restauracji. Doktryna ricardowska ściśle i bezlitośnie wyraża poglądy całej angielskiej burżuazji, która ze swej strony jest typem nowoczesnej burżuazji w ogóle. «Co o tym powie potomność?» Nie powie ona, że p. Proudhon wcale Ricarda nie znał, bo mówi o nim, mówi długo, wciąż do niego powraca i ostatecznie orzeka, iż jest to «pusta gadanina». Jeżeli potomność wtrąci się kiedykolwiek do tej sprawy, to powie może, iż p. Proudhon, bojąc się urazić anglofobię swoich czytelników, wolał wystąpić w roli odpowiedzialnego wydawcy idei Ricarda. Ale tak czy inaczej, uzna to ona jednak za bardzo naiwne, iż p. Proudhon podaje jako «rewolucyjną ideę przyszłości» to, co Ricardo wyłożył naukowo jako teorię współczesnego społeczeństwa — społeczeństwa burżuazyjnego, i że w ten sposób uważa on za rozwiązanie antynomii pomiędzy użytecznością a wartością wymienną to, co Ricardo oraz jego szkoła na długo przed nim podali jako naukowe sformułowanie jednej tylko strony tej antynomii, mianowicie *wartości wymiennej*. Ale na zawsze dajmy spokój potomności i urządźmy konfrontację p. Proudhona z jego poprzednikiem Ricardem. Oto kilka ustępów z tego autora, streszczających jego naukę o wartości:

«Użyteczność nie jest miarą *wartości wymiennej*, jakkolwiek jest dla niej bezwzględnie konieczna» (str. 3, t. I. «Principes de l'Économie Politique» [«Zasady ekonomii politycznej»], przełożył z angielskiego J. S. Constancio, Paryż 1835).

«Skoro rzeczy zostaną już raz uznane za użyteczne same przez się, to czerpią one swą wartość wymienną z dwóch źródeł: ze swej rzadkości i z ilości pracy potrzebnej do ich zdobycia. Są rzeczy, których wartość zależy jedynie od ich rzadkości. Ponieważ żadną pracą niesposób przysporzyć ich ilości, wartość ich spaść nie może przez większą ich obfitość. Tak ma się sprawa z posągami, cennymi obrazami itd. Ta wartość zależy tu wyłącznie od środków materialnych, smaku i kaprysu ludzi pragnących nabyć tego rodzaju przedmioty» (l. c., t. I, str. 4 i 5).

«Stanowią one jednak tylko bardzo nieznaczną cząstkę towarów codziennie wymienianych. Przytłaczająca większość przedmiotów,

które się pragnie posiąść, jest tworem przemysłu, można je więc pomnażać nie tylko w jednym kraju, ale w wielu, w stopniu nieomal nieograniczonym, ilekroć tylko zgodzimy się na niezbędny tu wydatek pracy (l. c., t. I, str. 5). Gdy więc mówimy o towarach, o ich wartości wymiennej i o zasadach regulujących ich względną cenę, mamy na myśli jedynie te z towarów, których ilość daje się dowolnie pomnażać ludzką pracą, do których produkcji zachęca konkurencja, a nic tej produkcji nie krępuje» (t. I, str. 5).

Ricardo cytuje A. Smitha, który, jego zdaniem — «*z dużą dokładnością* określił pierwotne źródło wszelkiej wartości wymiennej» (rozdz. V t. I Smitha), po czym dodaje:

«Iż taka jest w rzeczywistości podstawa wartości wymiennej wszystkich rzeczy wyjąwszy te, których praca ludzka nie może dowolnie pomnażać (a mianowicie, że podstawę wartości stanowi tu czas pracy), jest to twierdzenie najwyższej w ekonomii politycznej doniosłości; z żadnego bowiem źródła nie wypłynęło tyle błędów i nie zrodziło się tyle w tej nauce sporów, co z mglistego i niedostatecznie ścisłego znaczenia nadawanego temu słowu *wartość* (T. I, str. 8). Jeżeli wartość wymienną jakiejś rzeczy określa ilość pracy w niej utrwalonej, to stąd wynika, że wszelki wzrost ilości tej pracy musi z konieczności zwiększyć wartość przedmiotu, w który pracę tę włożono, i tak samo również wszelkie zmniejszenie tej pracy musi obniżyć jego cenę» (t. I, str. 8).

Dalej Ricardo czyni następujące zarzuty Smithowi:

1. — Że «stosuje do wartości inną niż praca miarę; raz wartość zboża, to znów ilość pracy, którą za dany przedmiot można nabyć, itp.» (T. I, str. 9 i 10).

2. — Że «przypuściwszy zasadę bez zastrzeżeń, ograniczył jednakże jej zastosowanie do pierwotnego i nieokrzesanego stanu społeczeństwa, poprzedzającego nagromadzenie kapitałów i prywatną własność ziemską (t. I, str. 21).

Ricardo stara się dostarczyć dowodów, że własność ziemska czyli renta nie może zmienić względnej wartości towarów i że nagromadzenie kapitałów wywiera jedynie wpływ przejściowy natury wahadłowej na względne wartości określane przez porównawczą ilość pracy zużytej do ich wyprodukowania. Na poparcie tej tezy tworzy

słynną swoją teorię renty gruntowej, analizuje kapitał i w ostatecznej instancji znajduje w nim jedynie nagromadzoną pracę. Rozwija następnie całą teorię płacy roboczej i zysku i dowodzi, że płaca robocza i zysk, pozostając w odwrotnym do siebie stosunku, ulegają ruchom zwyżkowym i zniżkowym, lecz na względną wartość produktu to nie wpływa. Nie zapoznaje on oddziaływania, które mogą wywierać nagromadzenie kapitałów oraz różnica w ich naturze (kapitały zakładowe i kapitały obrotowe) zarówno jak poziom płac roboczych na stosunek wzajemny wartości produktów. Są to nawet główne zagadnienia, którymi Ricardo się zajmuje.

«Wszelkie zaoszczędzenie pracy — powiada — nieodwołalnie pociąga za sobą zawsze zniżkę względnej wartości towaru*, czy oszczędność ta dotyczyć będzie pracy potrzebnej do wytworzenia samego przedmiotu, czy też pracy potrzebnej do wytworzenia kapitału zużywanego w tej produkcji (t. I, str. 28)**. «Dlatego też, dopóki dzień roboczy przynosić będzie w zysku jednemu pewną ilość ryb, a drugiemu taką samą ilość zwierzyny, dopóty normalna wysokość względnych cen wymiany pozostawać będzie wciąż ta sama, jakakolwiek by zresztą zaszła zmiana w płacach roboczych tudzież w zysku oraz jakiekolwiek mogłyby być skutki nagromadzenia kapitału» (t. I, str. 32).

«Uważaliśmy pracę za podstawę wartości rzeczy, a ilość pracy potrzebnej do ich wytworzenia za normę określającą odnośne ilości towarów, które w zamian za inne dać należy; ale nie chcieliśmy przez to powiedzieć, ażeby w cenie rynkowej towarów nie zachodziły przypadkowe i przejściowe odchylenia od tej ich pierwotnej ceny naturalnej» (t. I, str. 105). «O cenie towarów w ostatniej instancji rozstrzygają koszty produkcji, nie zaś, jak to częstokroć twierdzono, stosunek podaży do popytu» (t. II, str. 253).

---

* Ricardo, jak wiadomo, określa wartość towaru «ilością pracy potrzebnej do jego wytworzenia», lecz forma wymiany panująca przy wszelkiej produkcji towarowej, a więc i przy kapitalistycznej, sprawia to, że wartość ta wyraża się nie wprost ilością pracy, ale ilością jakiegoś innego towaru. Wartość towaru wyrażona pewną ilością innego towaru (mogą to być, a mogą i nie być pieniądze) nazywa się u Ricarda wartością względną. — *Przypis F. Engelsa.*

** U Marksa omyłkowo str. 48. — *Red.*

Lord Lauderdale wytłumaczył zmiany zachodzące w wartości wymiennej, wychodząc z prawa podaży i popytu albo rzadkości i obfitości w stosunku do popytu. Jego zdaniem wartość pewnej rzeczy może się zwiększać, gdy zmniejsza się jej ilość lub wzrasta popyt na nią; może się ona zmniejszać w miarę wzrostu jej ilości lub spadku popytu. Tak tedy wartość pewnej rzeczy może ulegać zmianie pod działaniem ośmiu odmiennych przyczyn, a mianowicie czterech przyczyn odnoszących się do samej tej rzeczy i czterech przyczyn odnoszących się do pieniądza lub wszelkiego innego towaru służącego za miernik jej wartości. Ricardo obala to, jak następuje:

«Towary, na które *monopol* ma ktoś poszczególny albo jakieś towarzystwo, zmieniają swą wartość zgodnie z prawem ustanowionym przez lorda Lauderdale'a: spadają w cenie, w miarę jak podaż ich wzrasta, i idą w górę, kiedy kupujący okazują większe pragnienie ich nabycia; ich cena nie stoi w żadnym koniecznym stosunku do ich wartości naturalnej. Gdy jednak chodzi o rzeczy podlegające konkurencji pomiędzy sprzedawcami i których ilość przy tym może wzrastać w pewnym umiarkowanym stopniu, to ich cena zależy ostatecznie nie od popytu i zaopatrzenia w nie rynku, ale od zmniejszenia lub wzrostu kosztów ich wytwarzania» (t. II, str. 259).

Pozostawiamy samemu czytelnikowi dokonanie porównania pomiędzy tak ścisłym, tak jasnym i tak prostym językiem Ricarda a retorycznymi wysiłkami, do których ucieka się p. Proudhon, ażeby dojść do określenia wartości wymiennej przez czas pracy.

Ricardo ukazuje nam ruch rzeczywisty produkcji burżuazyjnej ustanawiający wartość. Pan Proudhon abstrahuje od tego rzeczywistego ruchu i «ze skóry wychodzi», by wynaleźć jakieś nowe sposoby postępowania celem urządzenia świata według nowej rzekomo formuły, która jest przecież tylko teoretycznym wyrazem istniejącego i tak dobrze przez Ricarda wyłożonego ruchu rzeczywistego. Ricardo wychodzi ze społeczeństwa obecnego, aby nam wykazać, jak ustanawia ono wartość; p. Proudhon bierze za punkt wyjścia wartość ukonstytuowaną, ażeby *ustanowić* z pomocą tej wartości nowy świat społeczny. U niego, u p. Proudhona, wartość ukonstytuowana musi zataczać koło i stawać się znowu konstytuującą w stosunku do świata już całkowicie ukonstytuowanego według tego właśnie sposobu oceny.

Dla Ricarda określenie wartości przez czas pracy jest prawem wartości wymiennej; dla p. Proudhona ono jest syntezą wartości użytkowej i wartości wymiennej. Ricardowska teoria wartości jest naukową interpretacją obecnego życia ekonomicznego; teoria wartości p. Proudhona jest utopijną interpretacją teorii Ricarda. Ricardo stwierdza prawdziwość swej formuły wyprowadzając ją z ogółu wszystkich stosunków ekonomicznych i tłumacząc z jej pomocą wszystkie zjawiska, nawet te, które na pierwszy rzut oka zdają się jej zaprzeczać, jak np. rentę, nagromadzenie kapitałów i stosunek płac roboczych do zysków; i to właśnie czyni z jego doktryny systemat naukowy; p. Proudhon, który na nowo odkrył tę formułę Ricarda za pomocą hipotez całkowicie dowolnych, zmuszony jest następnie szukać faktów ekonomicznych odosobnionych, torturować je i fałszować, by kazać im uchodzić za przykłady, za zastosowania już istniejące, za początki realizacji jego ożywczej idei (patrz nasz § 3 «Zastosowanie wartości ukonstytuowanej»).

Przejdźmy teraz do wniosków, jakie p. Proudhon wyprowadza z wartości ukonstytuowanej (przez czas pracy).

— Dana ilość pracy ma tę samą wartość co produkt wytworzony przez tę samą ilość pracy.

— Każdy dzień pracy jest wart tyle samo co inny dzień pracy; to znaczy, że przy tej samej ilości praca wszelkiego robotnika ma tę samą wartość: nie ma pomiędzy nimi różnicy jakościowej. Przy równej ilości pracy wytwór jednego wymienia się na wytwór każdego innego. Wszyscy ludzie są pracownikami najemnymi, najemnikami jednakowo płatnymi za jednakowy czas pracy. Akty wymiany dokonywają się na zasadzie zupełnej równości.

Czy wnioski te stanowią naturalne i ścisłe wyniki wartości «ukonstytuowanej», tj. określonej przez czas pracy?

Jeżeli względna wartość jakiegoś towaru określa się ilością pracy potrzebnej do jego wytworzenia, to wynika stąd w sposób konieczny, że względna wartość pracy, czyli płaca robocza, określa się również ilością pracy, którą trzeba zużyć na wytworzenie tej płacy roboczej. Płaca robocza, czyli względna wartość albo cena pracy jest więc określana przez czas pracy, jakiego potrzeba na wytworzenie wszystkiego niezbędnego do utrzymania robotnika przy życiu.

«*Zmniejszcie koszty fabrykacji kapeluszy*, a cena ich spadnie do wysokości ich nowej ceny naturalnej, chociaż popyt na nie może wzróść w dwójnasób, w trójnasób czy w czwórnasób. *Zmniejszcie ceny utrzymania ludzi przy życiu* obniżając naturalną cenę żywności i odzieży, a przekonacie się, że płaca robocza w końcu spadnie, choćby popyt na robotników znacznie się nawet zwiększył» (*Ricardo*, t. II, str. 253).

Oczywiście, że mowa Ricarda jest w najwyższym stopniu cyniczna. Postawić na równi koszty fabrykacji kapeluszy i koszty utrzymania człowieka — to przetworzyć człowieka w kapelusz. Ale nie oburzajmy się na cynizm. Cynizm jest w rzeczach, nie zaś w słowach, którymi te rzeczy się wyraża. Pisarze francuscy, jak na przykład pp. Droz, Blanqui, Rossi oraz inni, robią sobie tę niewinną przyjemność, że dowodzą wyższości swojej nad ekonomistami angielskimi, starając się zachowywać dobre obyczaje i posługiwać się językiem «humanitarnym»; jeżeli zarzucają oni Ricardowi i jego szkole wysławianie się cyniczne, to czynią to dlatego, że ich drażni widok przedstawiania stosunków ekonomicznych w całej szpetnej ich nagości i zdradzanie tajemnic burżuazji.

Streśćmy te wywody: praca jako praca, sama towarem będąc, mierzy się czasem tej pracy, która jest potrzebna do wytworzenia owej pracy-towaru. A czego potrzeba, aby wytworzyć pracę-towar? Ściśle i tylko tyle, ile czasu pracy nieodzowne jest po to, aby wyprodukować przedmioty niezbędne do nieustannego podtrzymywania pracy, tzn. po to, aby dać żyć robotnikowi i zapewnić mu możliwość rozmnażania swojej rasy. Naturalną ceną pracy nie jest nic innego, jak minimum płacy roboczej*. Jeśli cena rynkowa płacy ro-

* Prawo, według którego «naturalna», tzn. normalna cena siły roboczej równa się minimum płacy roboczej, czyli równowartości kosztów utrzymania bezwzględnie nieodzownych do życia robotnika i przedłużania jego rasy — to prawo ja sformułowałem po raz pierwszy w moich «Umrisse zu einer Kritik der Nationalökonomie» — [«Zarys krytyki ekonomii politycznej»] («Deutsch-französische Jahrbücher» — [«Roczniki niemiecko-francuskie»] — Paryż 1844) oraz «Lage der arbeitenden Klasse in England» [«Położenie klasy pracującej w Anglii»]. Jak z powyższego widać, Marks prawo to wówczas przyjął. Od nas obu wziął je Lassalle. Wszelako, choć istotnie płaca robocza ma wciąż tendencję do zbliżania się do tego minimum swego, prawo powyższe jest jednak nieprawdziwe. Fakt, że siła robocza bywa zazwyczaj opłacana

boczej wzrasta ponad jej cenę naturalną, to dzieje się to właśnie dlatego, że prawo wartości, z którego p. Proudhon uczynił zasadę, znajduje dla siebie przeciwwagę w następstwach zmian stosunku podaży i popytu. Lecz minimum płacy roboczej pozostaje pomimo to ośrodkiem, ku któremu ciążą ceny rynkowe tej płacy.

Tak tedy wartość mierzona czasem pracy w sposób nieubłagany stanowi formułkę nowoczesnego niewolnictwa robotnika zamiast być, jak p. Proudhon tego sobie życzy, «rewolucyjną teorią» wyzwolenia proletariatu.

Popatrzmy teraz, w ilu to razach zastosowanie czasu pracy jako miernika wartości nie da się pogodzić z istniejącym antagonizmem klas i z nierównym podziałem wytworu pracy pomiędzy bezpośredniego producenta (robotnika) a właściciela produktu.

Weźmy jakiś produkt, dajmy na to, płótno. Produkt ten, jako taki, zawiera pewną określoną ilość pracy. Ta ilość pracy pozostanie zawsze ta sama, jakakolwiek będzie wzajemna sytuacja ludzi, którzy w wytworzeniu tego produktu wzięli udział.

Weźmy jakiś inny produkt, który by wymagał tej samej ilości pracy co płótno, na przykład sukno.

Gdy się te produkty jeden na drugi wymienia, to zachodzi wówczas wymiana równych ilości pracy. Wymieniając te równe ilości pracy nie zmienia się wzajemnej sytuacji producentów ani też nie zmienia się nic w stosunku do siebie robotników i fabrykantów. Twierdzić, że ta wymiana produktów mierzonych czasem pracy pociąga za sobą jako następstwo równe wynagrodzenie wszystkich producentów, znaczy to zakładać, że równość uczestniczenia w produkcie istniała przed wymianą. Skoro wymiana sukna na płótno już się dokona, producenci sukna otrzymają swój udział w płótnie w tym samym stosunku, w którym poprzednio mieli udział w suknie.

---

przeciętnie poniżej swej wartości — ten fakt wartości jej nie zmienia. Marks w «Kapitale» (w dziale: «Kupno i sprzedaż siły roboczej») powyżej przytoczone twierdzenie skorygował, jak również wyjaśnił (w rozdziale: «Powszechne prawo kapitalistycznej akumulacji») te okoliczności, które przy produkcji kapitalistycznej pozwalają coraz bardziej obniżać cenę siły roboczej poniżej poziomu jej wartości. — *Przypis F. Engelsa.*

Złudzenie, któremu ulega p. Proudhon, stąd pochodzi, że bierze on za skutek to, co mogłoby być w najlepszym przypadku bezpodstawnym przypuszczeniem.

Idźmy dalej.

Czy biorąc za miarę wartości czas pracy, przyjmujemy w założeniu przynajmniej tyle, że dni robocze *równej* są *wartości* i że dzień jednego wart jest dnia drugiego robotnika? Nie przypuszczamy tego.

Przypuśćmy na chwilę, że dzień pracy jubilera ma tę samą wartość co trzy dni pracy tkacza; wszelka zmiana wartości klejnotów w stosunku do tkanin, jeżeli tylko nie jest przejściowym wynikiem wahań popytu i podaży, musi być w każdym razie wywołana zmniejszeniem się albo zwiększeniem czasu pracy zużytego na produkcję przez jedną i przez drugą stronę. Jeżeli trzy dni pracy różnych robotników mają się do siebie jak 1 : 2 : 3, to i wszelka zmiana względnej wartości ich wytworów będzie zmianą proporcjonalną do tych liczb 1 : 2 : 3. A przeto można mierzyć wartości czasem pracy, chociaż różne dni pracy mają niejednakową wartość, lecz aby tę miarę czasu zastosować, należy posiadać skalę porównawczą wartości rozmaitych dni pracy; skalę tę ustanawia konkurencja.

Czy twój dzień roboczy jest wart tyleż co mój? O tym decyduje konkurencja.

Zdaniem jednego z ekonomistów amerykańskich konkurencja określa, ile dni pracy prostej zawiera się w dniu pracy złożonej. Czy takie sprowadzanie dni pracy złożonej do dni pracy prostej nie zakłada, że za miarę wartości bierze się tę właśnie prostą pracę? Fakt, że za miarę wartości bierze się samą tylko ilość pracy bez względu na jej jakość, zakłada z kolei, że praca prosta stała się głównym czynnikiem w przemyśle. Każe to wychodzić z założenia, że prace zostały zrównane przez podporządkowanie człowieka maszynie albo przez najdalej posunięty podział pracy; że wobec pracy ludzie na dalszy plan schodzą; że wahadło zegara stało się dokładną miarą względnej wydajności pracy dwóch robotników, podobnie jak jest nią ono dla prędkości dwóch lokomotyw. Nie trzeba przeto mówić, iż godzina jakiegoś jednego człowieka jest warta godziny jakiegoś drugiego, ale raczej, że jakiś jeden człowiek przez godzinę jest tyleż

wart, co jakiś inny przez godzinę. Czas jest wszystkim, człowiek już nie jest niczym; jest on co najwyżej ucieleśnieniem czasu. O jakości już nie ma mowy. Ilość o wszystkim decyduje: godzina za godzinę, dzień za dzień; atoli to zrównanie pracy nie stanowi bynajmniej dzieła wiecznej sprawiedliwości p. Proudhona, jest to po prostu sprawa przemysłu współczesnego.

W warsztacie zmechanizowanym praca jednego robotnika niczym się prawie nie różni od pracy drugiego; robotnicy mogą różnić się między sobą tylko ilością obracanego na pracę czasu. Niemniej ta różnica ilościowa staje się z pewnego punktu widzenia jakościową, o ile czas na pracę zużywany zależy po części od przyczyn czysto materialnych, jako to budowa ciała, wiek, płeć, a częściowo od przyczyn moralnych natury czysto ujemnej, jako to cierpliwość, nieczułość, pilność. Wreszcie, jeśli nawet zachodzi różnica jakościowa w pracy robotników, to mamy tu do czynienia co najwyżej z jakością najgorszego gatunku, która daleka jest od tego, aby stać się wyróżniającą specjalnością. Taki jest, biorąc pod uwagę wszystko, ostateczny stan rzeczy w przemyśle nowoczesnym. I na tej to już urzeczywistnionej równości pracy zmechanizowanej p. Proudhon przeprowadza swój strychulec «zrównania», które zamierza urzeczywistnić powszechnie «w czasie przyszłym».

Wszystkie następstwa «równościowe», które p. Proudhon wyprowadza z nauki Ricarda, polegają na pewnym zasadniczym błędzie. Oto plącze on z sobą wartość towarów mierzoną ilością pracy w nich utrwalonej z wartością towarów mierzoną «*wartością pracy*». Gdyby obydwa te sposoby mierzenia wartości towarów to samo wyrażały, można by było powiedzieć bez różnicy: wartość jakiegoś towaru mierzy się ilością pracy w nim utrwalonej; lub też: mierzy się ona ilością pracy, którą można *za nią* kupić; albo jeszcze inaczej: mierzy się ona ilością pracy, za którą można *ją* nabyć. Ale rzeczy się mają zupełnie inaczej. Wartość pracy tak samo nie może służyć za miarę wartości, jak i wartość wszelkiego innego towaru. Dość będzie kilku przykładów, ażeby jaśniej jeszcze wytłumaczyć to, cośmy powiedzieli.

Gdyby korzec zboża kosztował dwa dni pracy zamiast, jak przedtem, jednego, miałby wartość podwójną w stosunku do pier-

wotnej, ale nie mógłby on uruchamiać przez to podwójnej ilości pracy, gdyż nie zawierałby w sobie więcej niż poprzednio substancji pożywnych. Tak więc wartość zboża, mierzona ilością pracy potrzebnej do wyprodukowania go, podwoiłaby się; ale mierzona czy to ilością pracy, którą można za nią kupić, czy też ilością pracy, za którą można ją kupić, byłaby daleka od podwojenia. Z drugiej strony, gdyby ta sama praca wytwarzała dwa razy tyle odzieży, co poprzednio, wartość odzieży spadłaby o połowę; niemniej jednak ta podwójna ilość odzieży nie byłaby przez to sprowadzona do tego, ażeby można ją było kupić za połowę wartości pracy albo też ażeby za wartość tej samej ilości pracy dało się kupić podwójną ilość odzieży; albowiem połowa odzieży oddawałaby w dalszym ciągu robotnikowi tę samą co przedtem usługę.

Tak więc określać wartość artykułów spożywczych wartością pracy jest to zaprzeczać faktom ekonomicznym. Jest to obracać się w błędnym kole, jest to określać wartość względną przez jakąś inną wartość względną, która ze swej strony sama wymaga określenia.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że p. Proudhon miesza ze sobą dwie miary: mierzenie czasem pracy potrzebnym do wytworzenia jakiegoś towaru oraz mierzenie wartością pracy. «Praca każdego — mówi — może kupić wartość, którą w sobie zawiera». A przeto, jego zdaniem, pewna ilość pracy *utrwalona* w jakimś produkcie równa się wynagrodzeniu robotnika, czyli wartości pracy. Ta sama racja pozwala mu mieszać z sobą koszty produkcji i płacę roboczą.

«Co to jest płaca robocza? Jest to cena produkcji zboża itd., jest to całkowita cena każdej rzeczy». Czytajmy dalej: «Płaca robocza jest to proporcjonalność składników stanowiących bogactwo». Co to jest płaca robocza? Jest to wartość pracy.

Adam Smith bierze za miarę wartości raz czas potrzebny do wytworzenia towaru, a innym razem wartość pracy. Ricardo wykrył ten błąd wykazawszy jak na dłoni różnicę tych dwóch sposobów mierzenia. Pan Proudhon pogarsza jeszcze błąd Adama Smitha utożsamiając z sobą te dwie rzeczy, które Smith tylko stawiał obok siebie.

Pan Proudhon szuka miary względnej wartości towarów po to, ażeby znaleźć słuszny stosunek, w jakim robotnicy uczestniczyć po-

winni w produkcie, albo, innymi słowy, ażeby określić względną wartość pracy. Aby określić miarę względnej wartości towarów, wyobraźnia nie podsuwa mu nic lepszego nad to, jak żeby podać za równowartość pewnej ilości pracy tę sumę produktów, którą ona wytworzyła, co równa się przypuszczeniu, że całe społeczeństwo składa się wyłącznie z samych robotników, otrzymujących w charakterze płacy roboczej swój własny produkt. Następnie zaś przyjmuje on jako fakt, że dni robocze różnych robotników mają tę samą wartość. Słowem, poszukuje on miernika względnej wartości towarów w tym celu, ażeby znaleźć równe wynagrodzenie robotników, i bierze za fakt już dokonany równość płac roboczych, aby z niej wychodząc poszukiwać względnej wartości towarów. Podziwu godna dialektyka zaiste!

«Say i idący w jego ślady ekonomiści zauważyli, iż biorąc pracę za zasadę i przyczynę sprawczą wartości wpadamy w błędne koło, bo praca jest sama towarem jak inne i musi być szacowana. Niech mi wolno będzie powiedzieć tym ekonomistom, że dali tym dowód zdumiewającego braku uwagi. Pracy przypisuje się *wartość* nie tyle jako będącej towarem, ile ze względu na te wartości, które przypuszcza się, że są w niej zawarte potencjonalnie. Wartość pracy jest to wyrażenie użyte w znaczeniu przenośnym — uprzedzenie skutku przez przyczynę. To taka sama fikcja jak *produkcyjność kapitału.* Praca produkuje, kapitał jest wart (vaut)... Stosując pewnego rodzaju wyrzutnię, mówi się: wartość pracy... Praca jak wolność... jest rzeczą z natury swej mglistą i nieokreśloną, lecz która znajduje dla się określenie jakościowe przez swój przedmiot, tzn. że staje się ona rzeczywistością przez swój wytwór.

«Ale po cóż dłużej nad tym się zatrzymywać? Z chwilą kiedy ekonomista (czytaj p. Proudhon) zmienia nazwę rzeczy, vera rerum vocabula [prawdziwe oznaczenia rzeczy], przyznaje się on tym samym do bezsilności i składa oręż» (*Proudhon*, t. I, str. 188).

Widzieliśmy, że p. Proudhon czyni wartość pracy «przyczyną sprawczą» wartości produktów, tak że według niego *płaca robocza* — oficjalna nazwa «wartości pracy» — stanowi całkowitą cenę każdej rzeczy. Dlatego też zarzut Saya zakłóca mu spokój. W pracy będącej towarem, która posiada groźną rzeczywistość, widzi on tylko pewną

wyrzutnię gramatyczną. A więc całe obecne, oparte na pracy-towarze, społeczeństwo odtąd opiera się na pewnej licencji poetyckiej, na przenośni. I jeśli społeczeństwo chce «pozbyć się wszystkich dręczących je dolegliwości», to niech usunie źle brzmiące terminy, niechaj zmieni język; w tym celu wystarczy mu się zwrócić do Akademii i zażądać nowego wydania jej słownika. Po wszystkim, czego dowiedzieliśmy się, łatwo nam jest zrozumieć, dlaczego p. Proudhon w pracy z ekonomii politycznej musi wdawać się w długie rozprawy o etymologii oraz innych działach gramatyki. Tak np. zapuszcza się on w uczone rozważania na temat przestarzałego rodowodu «servus» od «servare» [«niewolnik» od «służyć»]. Te rozprawy filologiczne mają swój sens głęboki, sens ezoteryczny [tajemny, dostępny tylko dla wtajemniczonych], stanowią one istotną część argumentacji p. Proudhona.

Praca, o ile jest przedmiotem sprzedaży i kupna, stanowi towar taki jak i każdy inny, a co za tym idzie, posiada wartość wymienną. Lecz wartość pracy, czyli praca rozważana w charakterze towaru, równie mało produkuje, jak wartość zboża, czyli zboże traktowane jako towar nie służy za pokarm.

Praca «kosztuje» mniej lub więcej w zależności od tego, czy środki spożywcze są tańsze czy droższe, czy popyt i podaż siły roboczej osiągają ten czy inny stopień, itd., itd.

Praca nie jest bynajmniej «rzeczą mglistą»; sprzedaje się i kupuje zawsze pewną pracę określoną, nigdy zaś pracę w ogóle. Nie tylko praca określa się jakościowo przez swój przedmiot, ale i przedmiot określa się przez swoiste własności pracy.

Praca, o ile się ją sprzedaje i kupuje, jest sama towarem. Po co się ją kupuje? «Ze względu na wartości, o których się przypuszcza, iż są w niej potencjalnie zawarte». Lecz gdy się mówi o jakiejś rzeczy, że stanowi ona towar, to w grze nie jest już tutaj cel, dla którego się ją kupuje, czyli użytek, który chce się z niej uczynić. Jest ona towarem jako przedmiot handlu. Wszystkie rozumowania p. Proudhona ograniczają się do tego, że nie kupuje się pracy jako bezpośredniego przedmiotu spożycia. Nie — kupuje się ją jako środek produkcji, tak jak kupowałoby się np. maszynę. Jako towar praca posiada wartość, a nie produkuje. Pan Proudhon mógłby z równą słusznością powie-

dzieć, że nie ma wcale towarów, bo wszelki towar kupuje się tylko w celu jakiegoś użytku, nigdy zaś jako sam w sobie towar.

Mierząc wartość towarów pracą, p. Proudhon widzi jak przez mgłę, że nie podobna nie zastosować tego samego miernika do pracy, o ile posiada ona wartość, tj. do pracy-towaru. Przeczuwa, że znaczy to uczynić minimum płacy roboczej naturalną i normalną ceną pracy bezpośredniej, a więc przyjąć istniejący dziś ustrój społeczny. Toteż, aby uniknąć tego fatalnego wniosku, dokonywa całkowitego zwrotu i utrzymuje, że praca nie jest towarem i wartości mieć nie może. Zapomina przy tym, że sam wziął za miernik wartość pracy; zapomina, iż cały jego systemat opiera się na pracy-towarze, na pracy, którą się frymarczy, sprzedaje się ją i kupuje, wymienia się ją na produkty itd.; wreszcie na pracy stanowiącej bezpośrednie źródło dochodu dla robotnika. Zapomina on o wszystkim.

Aby ocalić swój systemat, decyduje się poświęcić jego podstawę.

«Et propter vitam vivendi perdere causas!» [«I aby żyć, utracić to, dla czego żyć warto»].

Dochodzimy obecnie do nowego określenia «wartości *ukonstytuowanej*».

«Wartość jest *stosunkiem proporcjonalności* (rapport de proportionnalité) produktów stanowiących bogactwo».

Zauważymy przede wszystkim, że proste słowo «wartość względna» lub «wymienna» mieści w sobie pojęcie jakiegoś stosunku, w którym towary wzajem się jedne na drugie wymienia. Nadawszy stosunkowi temu nazwę «stosunku proporcjonalności», nie zmieniło się nic w wartości względnej oprócz nazwy. Ani obniżenie, ani podwyższenie wartości produktu nie niweczą tej posiadanej przezeń własności, że pozostaje on w jakimś «stosunku proporcjonalności» do innych produktów bogactwo stanowiących.

Po cóż tedy ów nowy termin, który nie przynosi żadnego nowego pojęcia?

«Stosunek proporcjonalności» nasuwa myśl o wielu innych stosunkach ekonomicznych, jako to o proporcjonalności produkcji, słusznej proporcji między podażą a popytem itp.; i o tym wszystkim p. Proudhon myślał formułując swoją dydaktyczną parafrazę wartości wymiennej.

Przede wszystkim: ponieważ wartość względna produktów określa się odpowiednią ilością pracy zużytą na wytworzenie każdego z nich, tedy stosunek proporcjonalności, w zastosowaniu do tego szczególnego wypadku, oznacza odpowiednią ilość produktów, które mogą być wytworzone w ciągu danego czasu i wobec tego wymieniane jedne na drugie.

Spójrzmy, jaki użytek robi p. Proudhon z tego stosunku proporcjonalności.

Wiemy wszyscy, że gdy podaż i popyt wzajem się równoważą, to wartość względna jakiegoś produktu określa się ściśle ilością pracy w nim *utrwalonej*, tzn. że ta względna wartość wyraża stosunek proporcjonalności właśnie w tym sensie, któryśmy dopiero co ustalili. Pan Proudhon odwraca ten porządek rzeczy. Zacznijcie, powiada, od mierzenia wartości względnej jakiegoś produktu ilością *utrwalonej* w nim pracy, a wówczas podaż i popyt niezawodnie się zrównoważą. Produkcja będzie odpowiadała spożyciu, produkt będzie można zawsze wymienić. Jego cena rynkowa będzie zawsze dokładnym wyrazem jego istotnej wartości. Zamiast powiedzieć tak jak wszyscy: gdy pogoda jest piękna, widzi się wielu spacerujących, p. Proudhon każe ludziom spacerować, aby móc ich zapewniać, że pogoda jest piękna.

To, co p. Proudhon przedstawia jako wynik z wartości wymiennej określonej a priori przez czas pracy, mogłoby znaleźć dla się usprawiedliwienie tylko z pomocą prawa zredagowanego mniej więcej w tych słowach:

Produkty będzie się na przyszłość wymieniało kierując się ściśle czasem pracy potrzebnej do ich wytworzenia. Jakikolwiek by był stosunek podaży do popytu, wymiana towarów będzie się zawsze odbywała tak, jak gdyby ich produkcja odpowiadała popytowi. Niech p. Proudhon podejmie się sformułowania i przeprowadzenia podobnego prawa, a darujemy mu dowody. Jeżeli zaś, przeciwnie, chce on udowodnić swą teorię nie jako prawodawca, lecz ekonomista, to będzie musiał dowieść, że potrzebny do wytworzenia jakiegoś towaru *czas* wskazuje dokładnie stopień *użyteczności* tego towaru i wskazuje jego stosunek proporcjonalności do popytu i co za tym idzie, do ogółu bogactwa społecznego. W takim razie, jeżeli produkt sprzedaje

się po cenie równej kosztom jego wyprodukowania, podaż i popyt zawsze się wyrównają, gdyż koszty produkcji uważane są za wyraz prawdziwego stosunku podaży do popytu.

Pan Proudhon w rzeczy samej gorliwie usiłuje dowieść, że czas pracy potrzebny do wytworzenia jakiegoś produktu wyraża istotny stosunek tego produktu do potrzeb, tak iż przedmioty, których produkcja wymaga najmniej czasu, są użyteczne w najbardziej bezpośredni sposób, i tak stopniowo dalej. Już sama produkcja jakiegoś przedmiotu zbytku świadczy, według tej teorii, że społeczeństwo ma czas zbywający, który mu pozwala na zaspokajanie potrzeby zbytku.

Dowody dla swej tezy p. Proudhon znajduje w tym spostrzeżeniu, że produkcja rzeczy najużyteczniejszych kosztuje najmniej czasu i że społeczeństwo rozpoczyna zawsze od najłatwiejszych gałęzi przemysłu przechodząc stopniowo do «wytwarzania przedmiotów, których produkcja kosztuje więcej czasu, a które odpowiadają potrzebom wyższego rzędu».

Pan Proudhon zapożycza od p. Dunoyera przykładu pierwotnych zajęć, jak zbieranie, pasterstwo, myślistwo, rybołówstwo itd.; jest to przemysł najprostszy, najmniej kosztowny, od którego człowiek zaczął «pierwszy dzień swego drugiego stworzenia». Pierwszy dzień jego pierwszego stworzenia jest w Księdze Genezy; każe nam on widzieć w Bogu pierwszego na świecie przemysłowca.

Rzeczy się mają zupełnie inaczej, niż sądzi p. Proudhon. Od samego zarania cywilizacji produkcja zaczyna się opierać na antagonizmie grup, stanów, klas, wreszcie na antagonizmie pracy nagromadzonej i pracy bezpośredniej. Gdy nie ma antagonizmów, to nie ma postępu. Prawo to rządziło cywilizacją aż do naszych dni. Aż po dziś dzień siły wytwórcze rozwijały się dzięki panowaniu antagonizmu klasowego. Twierdzić obecnie, że skoro wszystkie potrzeby wszystkich pracujących były zaspokojone, ludzie mogli oddawać się wytwarzaniu produktów wyższego rzędu, bardziej skomplikowanym gałęziom przemysłu — byłoby to abstrahować od antagonizmu klas i wywracać na opak cały rozwój historyczny. To jakby ktoś chciał powiedzieć, że ponieważ za cezarów rzymskich hodowano mureny w sztucznych stawach, przeto miano czym karmić obficie całą ludność rzymską, kiedy tymczasem, wprost przeciwnie, lud rzymski nie miał

za co kupić sobie chleba, natomiast arystokraci rzymscy mieli aż nadto niewolników, aby nimi żywić swe mureny.

Cena środków żywności prawie bez przerwy wzrastała, kiedy tymczasem cena wytworów manufaktury i przedmiotów zbytku niemal ciągle spadała. Weźcie tylko przemysł rolny: przedmioty najniezbędniejsze, jak zboże, mięso itp., idą w górę, podczas gdy bawełna, cukier, kawa itd. w zdumiewającym stosunku spadają nieustannie. I nawet wśród właściwych artykułów spożywczych przedmioty zbytku, takie jak szparagi, karczochy itp., są dziś stosunkowo tańsze od artykułów spożywczych pierwszej potrzeby. W naszych czasach łatwiej jest wytwarzać rzeczy zbędne niż konieczne. Wreszcie, w różnych epokach dziejów wzajemne stosunki cen są nie tylko różne, lecz przeciwstawne. W ciągu całego średniowiecza produkty rolne były stosunkowo tańsze od wytworów manufaktury; w czasach nowożytnych mamy pomiędzy nimi stosunek odwrotny. Ale czy dlatego użyteczność produktów rolnych od wieków średnich się zmniejszyła?

Używanie produktów zależy od warunków społecznych, w których znajdują się spożywcy, a znowu te warunki opierają się na antagonizmie klas.

Bawełna, ziemniaki i wódka są przedmiotami najpowszechniej używanymi. Ziemniaki zrodziły skrofuły; bawełna w znacznej mierze wyrugowała len i wełnę, jakkolwiek z wełny i lnu częstokroć większy jest pożytek, choćby pod względem higienicznym; wódka wreszcie wzięła górę nad piwem i winem, choć, używana jako substancja odżywcza, uchodzi ona powszechnie za truciznę. Przez całe stulecie rządy na próżno walczyły przeciwko temu opium europejskiemu; ekonomika zwyciężyła i podyktowała swe prawa konsumpcji.

Dlaczegoż tedy bawełna, ziemniaki i wódka są dziś kamieniem węgielnym społeczeństwa burżuazyjnego? Dlatego, że ich produkcja wymaga najmniej pracy, a co za tym idzie, są one najtańsze. A dlaczego taniość, dlaczego minimum ceny decyduje o maksimum spożycia? Czy może z powodu bezwzględnej użyteczności przedmiotów tanich, ich użyteczności wewnętrznej, takiej, dzięki której odpowiadają one najlepiej potrzebom robotnika jako człowieka, nie zaś człowieka jako robotnika? Nie — ale dlatego, że w społeczeństwie opar-

tym na *nędzy* produkty *najnędzniejsze* mają z konieczności ten przywilej, że służą na użytek największej liczby ludzi.

Twierdzić obecnie, że ponieważ przedmioty najtańsze są najwięcej używane, to muszą one też być najpożyteczniejsze — jest to twierdzić, że tak rozpowszechnione z powodu taniości jej produkcji użycie wódki stanowi najwymowniejszy dowód jej użyteczności; znaczy to mówić proletariuszowi, że ziemniaki są zdrowsze dla niego niż mięso; znaczy to godzić się z istniejącym stanem rzeczy; znaczy to wreszcie występować wraz z p. Proudhonem w roli obrońcy społeczeństwa, którego się nie rozumie.

W przyszłym społeczeństwie, gdzie ustanie antagonizm pomiędzy klasami, bo i klas już nie będzie, użycie nie będzie wyznaczane przez *minimum* czasu potrzebnego do produkcji, ale czas poświęcany na produkcję różnych przedmiotów będzie wyznaczany przez ich stopień pożytku dla społeczeństwa.

Wróćmy jednak do tego, co p. Proudhon twierdzi. Skoro czas pracy potrzebny do wyprodukowania jakiegoś przedmiotu nie jest wyrazem stopnia użyteczności tego przedmiotu, to wartość wymienna, określana z góry przez czas pracy w przedmiocie tym utrwalony, żadną miarą nie będzie mogła ustalać słusznego stosunku proporcjonalności w tym znaczeniu, które p. Proudhon na razie mu nadaje.

Fakt sprzedawania jakiegoś produktu po cenie kosztów jego wytwarzania nie ustanawia bynajmniej «stosunku proporcjonalności» podaży do popytu albo proporcjonalnej ilości tego produktu do całości produkcji; czynią to raczej *wahania popytu i podaży*, które pouczają producenta, jaką ilość danego towaru powinien on wytworzyć, aby otrzymać przynajmniej zwrot kosztów produkcji. A ponieważ wahania te ani na chwilę nie ustają, zachodzi przeto w różnych gałęziach przemysłu nieustanny ruch wycofywania i lokowania kapitałów.

«Tylko drogą podobnych wahań obraca się kapitały właśnie w potrzebnym, a nie większym *stosunku* na wytwarzanie rozmaitych towarów, na które jest popyt. Przez zwyżkę lub zniżkę cen zyski podnoszą się lub spadają w stosunku do ich ogólnego poziomu, a kapitały przez to albo są przyciągane, albo odpychane, gdy chodzi o gałęzie przemysłu doznające tych czy innych wahań.

«Spójrzmy na rynki po wielkich miastach, a zobaczymy, z jaką regularnością są one zaopatrywane we wszelkiego rodzaju krajowe i zagraniczne towary w potrzebnej ilości i niezależnie od różnic w popycie powodowanych kaprysami, zmianami smaku albo zmianami w zaludnieniu; a jak nieczęsto przy tym zdarza się stagnacja z powodu nadmiernego dowozu albo zbytnia drożyzna z powodu dowozu niedostatecznego w stosunku do popytu. Patrząc na to musimy się zgodzić, że zasada rządząca rozprowadzaniem kapitałów po różnych gałęziach przemysłu w proporcjach ściśle odpowiadających potrzebom działa potężniej niż to się zazwyczaj przypuszcza» (*Ricardo*, t. I, str. 105 i 108).

Jeżeli p. Proudhon zgadza się na to, że miarą wartości produktów jest czas pracy, to musi on również zgodzić się i na ten ruch wahadłowy, który sam jeden tylko czyni pracę miernikiem wartości*. Nie istnieje «stosunek proporcjonalności» gotowy, ukonstytuowany; jest tylko ruch, który go konstytuuje.

Widzieliśmy dopiero co, w jakim sensie można słusznie mówić o «proporcjonalności» jako o wyniku określania wartości przez czas pracy. Zobaczymy teraz, jak to mierzenie wartości czasem, zwane przez p. Proudhona «prawem proporcjonalności», zmienia się w prawo *dysproporcjonalności*.

Każdy nowy wynalazek pozwalający wytwarzać w godzinę to, na co przedtem potrzebowano dwóch godzin, obniża cenę wszystkich tego samego rodzaju produktów znajdujących się na rynku. Konkurencja zmusza producenta do sprzedawania wytworu pracy dwugodzinnej równie tanio jak wytworu jednej godziny pracy. Konkurencja wprowadza w życie prawo, według którego względna wartość produktu określa się czasem pracy potrzebnej do jego wytworzenia. Czas pracy służący za miarę wartości wymiennej staje się w ten sposób prawem nieustannej *deprecjacji* [obniżenia wartości] pracy. Powiemy nawet więcej: nastąpi tu obniżenie wartości nie tylko dostarczanych na rynek towarów, lecz i narzędzi produkcji, i całych warsztatów.

* Na podstawie uwag Engelsa znalezionych w jego spuściźnie stwierdzić można, że chciał on tu między «który» i «sam jeden» wtrącić zdanie: «w ustrojach opartych na wymianie indywidualnej». — *Red.*

Ten fakt zaznacza już Ricardo mówiąc: «Ułatwiając wciąż produkcję, obniżamy wciąż wartość pewnych rzeczy przedtem wyprodukowanych» (t. II, 59)*. Sismondi idzie jeszcze dalej. Widzi on w tej «wartości *ukonstytuowanej*» przez czas pracy źródło wszystkich sprzeczności w przemyśle i handlu nowoczesnym. «Wartość wymienna, powiada, w ostatniej istancji określa się zawsze ilością pracy potrzebnej, aby rzecz ocenianą nabyć, lecz nie tej pracy, którą kosztowała ona w swoim czasie, tylko tej, którą kosztować będzie w przyszłości przy środkach produkcji może udoskonalonych; tę zaś ilość, jakkolwiek trudno ją ocenić, zawsze wiernie ustala konkurencja... Na tej podstawie opierają się w swej kalkulacji sprzedający, gdy zażądają, i kupujący, gdy ofiarowują jakąś cenę. Pierwszy będzie może twierdził, iż rzecz kosztowała go dziesięć dni pracy, lecz skoro ten drugi wie, że na przyszłość da się ją wykonać w ciągu tygodnia, a konkurencja dostarcza obu stronom dowodów na to — wartość sprowadzi się tylko do tygodnia i w ten sposób ustali się cena rynkowa. I sprzedający, i kupujący wiedzą wprawdzie, iż rzecz jest użyteczna, że jest pożądana, że bez tego pożądania nie można by jej sprzedać, lecz oznaczenie ceny nie ma nic wspólnego z tą użytecznością» («Études etc.» [«Studia itd.»] t. II, str. 267, wyd. brukselskie).

Ważną jest rzeczą położyć nacisk na tę okoliczność, że wartość rzeczy określa się nie czasem, w ciągu którego ją wyprodukowano, lecz *minimalnym* czasem, w ciągu którego można ją wyprodukować, ten zaś czas minimalny stwierdza konkurencja. Przypuśćcie na chwilę, że już nie ma konkurencji i co za tym idzie, nie ma środka stwierdzenia minimum pracy potrzebnej do wyprodukowania jakiegoś towaru — co stąd wyniknie? Wystarczy włożyć w produkcję danej rzeczy sześć godzin pracy, ażeby przy wymianie mieć prawo żądać za nią, według p. Proudhona, sześć razy tyle co ten, kto wyprodukował ją w ciągu godziny.

Zamiast stosunku «proporcjonalności» mamy teraz stosunek dysproporcjonalności, jeżeli w ogóle zależy nam jeszcze na tym, aby zachować jakieś, dobre czy złe, stosunki.

---

* W oryginale figuruje omyłkowo podana 58 str. francuskiego przekładu Ricarda. — *Red.*

Ciągły spadek wartości pracy jest tylko jedną stroną, jednym następstwem oceniania towarów czasem pracy. W takim sposobie szacowania znajdują dla siebie wytłumaczenie i nadmierna zwyżka cen, i nadprodukcja, i wiele innych objawów anarchii przemysłowej.

Ale czy służąc za miernik wartości, czas pracy wytwarza przynajmniej tę stosunkową różnorodność towarów, którą się tyle zachwyca p. Proudhon?

Wprost przeciwnie: właśnie monopol z całą swoją monotonią opanowuje wskutek tego świat produktów, zupełnie tak samo jak — co wszyscy widzą i wiedzą — monopol owłada światem narzędzi produkcji. Tylko niektóre gałęzie przemysłu, jako to przemysł bawełniany, zdolne są do czynienia postępów bardzo szybkich. Naturalnym następstwem tych postępów jest szybkie spadanie cen produktów przemysłu, dajmy na to, bawełnianego; lecz w miarę tego jak cena bawełny spada, cena lnu musi stosunkowo wzrastać. Co z tego wyniknie? Że bawełna zastąpi len. W ten sposób właśnie len został wypchnięty z całej nieomal Ameryki Północnej. I zamiast odnośnej różnorodności produktów mamy państwo bawełny.

Cóż pozostaje z tego «stosunku proporcjonalności»? Nic prócz dobrych chęci zacnego człowieka, który by życzył sobie wytwarzania towarów w takim stosunku, aby można je było sprzedawać po uczciwej cenie. Po wszystkie czasy zacni obywatele i ekonomiści-filantropi znajdowali upodobanie w niewinnym tym życzeniu.

Oddajmy głos staremu Bois-Guillebertowi:

«Cena towarów, mówi on, powinna być zawsze *proporcjonalnie* normowana, gdyż tylko takie ich porozumienie daje im możność współistnienia, w którym zdolne są one *w każdej chwili dawać* (oto ta proudhonowska nieustanna wymienialność) oraz nawzajem otrzymywać jedne od drugich możność powstawania... Ponieważ więc bogactwo nie jest niczym innym, tylko tą nieustanną wymianą pomiędzy ludźmi, rzemiosłami itd., strasznym jest zaślepieniem chcieć szukać źródła nędzy gdzie indziej niż w zakłóceniu tych właśnie stosunków, powodowanym przez naruszanie proporcjonalności cen» («Dissertation sur la Nature des Richesses»[«Rozprawa o naturze bogactw»] wyd. Daire'a).

Posłuchajmy też ekonomisty współczesnego:

«Wielkim prawem, które należy stosować do produkcji, jest *prawo proporcjonalności* (the law of proportion), które samo jedno tylko jest w stanie utrzymać ciągłość wartości... Ekwiwalent musi być zapewniony... W różnych epokach wszystkie narody próbowały urzeczywistnić do pewnego stopnia to prawo proporcjonalności za pomocą regulaminów i ograniczeń; ale wrodzony naturze ludzkiej egoizm zawsze popychał ludzi do obalenia wszelkich takich reglamentacji. Produkcja proporcjonalnie normowana (proportionate production) jest całkowitym urzeczywistnieniem prawdziwej wiedzy ekonomicznej» *(W. Atkinson,* «Principles of Political Economy» [«Zasady ekonomii politycznej»] Londyn 1840, str. 170—195).

Fuit Troia!* Ten słuszny stosunek między podażą a popytem, który znów dziś zaczyna stawać się przedmiotem tylu gorących pragnień, od dawna przestał istnieć. Przeszedł w stan starzyzny. Był on możliwy tylko w czasach, gdy środki produkcji były ograniczone, a wymiana obracała się w granicach bardzo ciasnych. Z powstaniem wielkiego przemysłu ten słuszny stosunek musiał zniknąć, produkcja zaś zmuszona jest przechodzić z konieczności wśród nieustannych zmian kolejno przez okresy rozkwitu i depresji, kryzysu, stagnacji, nowego rozkwitu itd.

Ci, którzy — jak Sismondi — pragną powrócić do słusznej proporcjonalności produkcji, zachowując jednak obecne podstawy społeczeństwa, są reakcjonistami, gdyż chcąc być konsekwentni powinni oni życzyć sobie również powrotu do wszystkich innych warunków przemysłu dawnych czasów.

Co utrzymywało produkcję w słusznych albo prawie słusznych proporcjach? Popyt, który nadawał ton podaży i wyprzedzał ją. Produkcja podążała krok w krok za konsumpcją. Wielki przemysł, zmuszany przez same narzędzia, którymi rozporządza, do produkcji na coraz szerszą skalę, nie może już czekać na popyt. Produkcja wyprzedza konsumpcję; podaż, narzucając się, wywołuje popyt.

W społeczeństwie obecnym, w przemyśle opartym na aktach wymiany indywidualnej, anarchia produkcji będąca źródłem tylu nieszczęść jest zarazem źródłem wszelkiego postępu.

* Nie ma już Troi! (czyli: minęły świetności). — *Red.*

Tak więc jedno z dwojga:

Albo chcecie słusznej proporcjonalności ubiegłych stuleci wraz ze środkami produkcji naszych czasów, a wtedy jesteście jednocześnie reakcjonistami i utopistami.

Albo chcecie postępu bez anarchii; wtedy, chcąc zachować siły wytwórcze, wyrzeknijcie się wymiany indywidualnej.

Wymiana indywidualna da się pogodzić tylko z drobnym przemysłem dawnych wieków i będącą jego uzupełnieniem «słuszną proporcjonalnością», albo też z wielkim przemysłem wraz z jego orszakiem nędzy i anarchii.

W rezultacie tedy określanie wartości czasem pracy, czyli formuła, którą p. Proudhon przedstawia nam jako formułę przyszłego odrodzenia, nie jest niczym innym jak tylko wyrazem naukowym stosunków ekonomicznych panujących w obecnym społeczeństwie, tak jak tego Ricardo jasno i ściśle dowiódł na długo przed p. Proudhonem.

Lecz może przynajmniej zastosowanie «*równościowe*» — («égalitaire) tej formuły należy do p. Proudhona? Czy to on pierwszy wpadł na myśl reformowania społeczeństwa w ten sposób, że się przekształci wszystkich ludzi w bezpośrednich robotników wymieniających między sobą równe ilości pracy? Czy przystoi mu czynić zarzut komunistom — tym ludziom pozbawionym wszelkiej wiedzy ekonomicznej, tym «ludziom uparcie głupim», tym «niebiańskim marzycielom» — że nie znaleźli przed nim takiego «rozwiązania zagadnienia proletariatu»?

Ktokolwiek jest choć trochę obeznany z rozwojem ekonomii politycznej w Anglii, temu nie jest obcy fakt, że prawie wszyscy socjaliści w tym kraju w rozmaitych epokach proponowali równościowe (egalitarne) zastosowanie teorii Ricarda. Moglibyśmy tu przytoczyć p. Proudhonowi: «Ekonomię polityczną» Hodgskina 1822*; *William Thompson* «An Inquiry into the Principles of the Distribution of Wealth most Conducive to Human Happiness» [«Badanie zasad podziału bogactwa w sposób najbardziej przyczyniający się do szczęścia ludzkiego»] 1824*; *T. R. Edmonds* «Practical, Moral and Political Economy» [«Praktyczna ekonomia moralna i polityczna»] 1828 itd., itd.,

* W oryginale mylnie podana data 1827. — *Red.*

i cztery strony takich «itd.» Poprzestaniemy na tym, że przytoczymy słowa tylko jednego *komunisty* angielskiego p. Braya. Podamy decydujące ustępy z jego wybitnego dzieła «Labour's Wrongs and Labour's Remedy» [«Krzywdy pracy i lekarstwa pracy»] Leeds 1839 i zatrzymamy się nad nimi dosyć długo, po pierwsze dlatego, że p. Bray jest we Francji mało znany, a po drugie, z tej racji, iż wydaje nam się, że znaleźliśmy tu klucz do przeszłych, teraźniejszych i przyszłych dzieł p. Proudhona.

«Jedynym środkiem dojścia do prawdy jest wyjaśnić sobie pierwsze, naczelne zasady. Wznieśmy się od razu do samego źródła pochodzenia rządów. Badając ich początki znajdziemy, że wszelka forma rządu, wszelka niesprawiedliwość społeczna i polityczna pochodzi z panującego obecnie systemu społecznego — *z instytucji własności takiej jak dziś istnieje (the institution of property as it at present exists)* i że dlatego, ażeby na zawsze położyć kres dzisiejszej niesprawiedliwości i nędzy, należy *z gruntu zburzyć obecny ustrój społeczny*... Atakując ekonomistów na ich własnym gruncie i ich własną bronią, unikniemy niedorzecznej gadaniny *o zwolennikach podziału i doktrynerach*, którą ekonomiści zawsze gotowi są wszczynać. Wniosków, do których dochodzimy tą metodą, ekonomiści nie będą mogli odeprzeć, chyba że zaprzeczą i wyprą się uznanych prawd i zasad, na których opierają swe własne argumenty» *(Bray*, str. 17 i 41). «*Tylko praca stwarza wartość*» (It is labour alone which bestows value) ... Każdy człowiek ma niezaprzeczalne prawo do wszystkiego, czego może mu dostarczyć jego uczciwa praca. Przywłaszczając sobie w ten sposób owoce swej pracy, nie popełnia on żadnej niesprawiedliwości wobec innych ludzi, gdyż nie odbiera nikomu prawa postępowania w ten sam sposób... Wszystkie pojęcia o wyższości i niższości, o panu i płatnym słudze stąd się rodzą, że zlekceważono pierwsze zasady i że wskutek tego powstała *nierówność* posiadania (and to the consequent rise of inequality of possessions). Dopóki ta nierówność będzie się utrzymywała, takich idei nie podobna będzie wykorzenić ani znieść opierających się na nich instytucyj. Do dziś dnia żywi się próżną nadzieję, że się poprawi istniejący obecnie porządek rzeczy, który sprzeciwia się naturze, niszcząc *istniejącą nierówność* a pozostawiając nie-

tkniętą *przyczynę* nierówności; lecz my udowodnimy wkrótce, iż rząd nie jest przyczyną, ale skutkiem, że nie tworzy, ale jest tworzony — że, słowem, stanowi on *wynik nierówności posiadania* (the offspring of inequality of possessions) i że nierówność stanu posiadania jest nieodłącznie związana z istniejącym dzisiaj systemem społecznym (*Bray*, str. 33, 36 i 37).

«System równości nie tylko daje największe korzyści, ale zapewnia również najwyższą sprawiedliwość... Każdy człowiek jest ogniwem, i to ogniwem nieodzownym w łańcuchu skutków, który bierze początek od idei, by skończyć się np. na wyprodukowaniu sztuki sukna. Stąd więc, że nasze zamiłowania do różnych zawodów nie są takie same, nie należy wnioskować, że praca jednego powinna być lepiej opłacana niż praca drugiego. Wynalazca otrzyma zawsze, oprócz słusznie mu należnego wynagrodzenia w pieniądzach, hołd naszego podziwu, który może przypaść w udziale tylko geniuszowi...

«Zgodnie z samą naturą pracy i wymiany ścisła sprawiedliwość wymaga, aby wszyscy biorący udział w wymianie odnosili korzyści nie tylko *wzajemne, ale równe* (all exchangers should be not only *mutually* but they should likewise be *equally* benefitted). Są tylko dwie rzeczy, które ludzie mogą wymieniać między sobą: praca i produkt pracy. Gdyby wymiana odbywała się zgodnie ze sprawiedliwością, wartość wszystkich przemiotów określałaby się *całokształtem kosztów ich produkcji i równe wartości wymieniałoby się zawsze na równe wartości* (If a just system of exchanges were acted upon, the value of all articles would be determined by the entire cost of production, and equal values should always exchange for equal values). Jeżeli np. kapelusznik zrobi w ciągu dnia kapelusz, a szewc w tym samym czasie parę butów, to — przypuściwszy, że użyty przez nich obu surowiec ma tę samą wartość — gdy zamienią się oni na te artykuły, osiągnięta przez nich z tej wymiany korzyść będzie jednocześnie wzajemna i równa. Zysk dla jednej ze stron nie może być tutaj stratą dla drugiej, ponieważ obie włożyły po jednakowej ilości pracy, a materiał, którym się posługiwały, miał tę samą wartość. Ale gdyby kapelusznik dostał *dwie* pary obuwia za *jeden* kapelusz — wciąż w tych samych warunkach, któreśmy przypuścili — to wy-

miana byłaby najoczywiściej niesprawiedliwa. Kapelusznik poszkodowałby szewca o jeden dzień pracy, a gdyby tak postępował przy wszelkich swych wymianach, wówczas za pracę *półroczną* otrzymałby *całoroczny* wytwór pracy innej osoby. Dotychczas trzymaliśmy się wciąż tego w najwyższym stopniu niesprawiedliwego systemu wymiany: robotnicy oddawali kapitaliście pracę całego roku w zamian za wartość pół roku (the workmen have given the capitalist the labour of a whole year, in exchange for the value of only half a year) — i to stąd właśnie wzięła się nierówność bogactwa i władzy, a nie powstała ona z rzekomej nierówności sił fizycznych i umysłowych u jednostek. Nierówność w wymianie, rozmaitość cen przy kupnie i sprzedaży może istnieć tylko pod tym warunkiem, że kapitaliści na zawsze pozostaną kapitalistami, a robotnicy — robotnikami, jedni — klasą tyranów, drudzy — klasą niewolników... Ta transakcja dowodzi tedy jasno, że kapitaliści i posiadacze dają robotnikowi za jego tygodniową pracę tylko część bogactwa, które otrzymali odeń w przeciągu tygodnia, czyli że za *coś* nie dają mu *nic* (nothing for something)... Transakcja między kapitalistą a robotnikiem jest czystą komedią; w istocie nie jest to w niejednym wypadku nic innego tylko bezwstydna, choć *legalna kradzież* (The whole transaction between the producer and the capitalist is a mere farce: it is, in fact, in thousands of instances no other than a barefaced though *legal robbery) (Bray*, str. 45, 48, 49 i 50).

«Zysk przedsiębiorcy dopóty będzie stratą robotnika, dopóki wymiana pomiędzy nimi nie będzie równa; wymiana zaś nie może być równa dopóty, dopóki społeczeństwo dzielić się będzie na kapitalistów i wytwórców, przy czym ci ostatni żyją ze swej pracy, a ci pierwsi tyją z zysków osiąganych na pracy tamtych...

«Jasna rzecz — ciągnie dalej p. Bray — że na próżno wprowadzalibyście taką czy inną formę rządu... że na próżno wygłaszalibyście kazania w imię moralności oraz miłości braterskiej... wzajemność nie jest do pogodzenia z nierównością wymiany. Ta nierówność wymiany, będąca źródłem nierówności majątkowej, jest tym ukrytym wrogiem, który nas pożera. (No reciprocity can exist where there are unequal exchanges. Inequality of exchanges, as beeing the cause of

inequality of possessions, is the secret enemy that devours us) (*Bray*, str. 51 i 52).

«Rozmyślanie nad celem i zadaniem społeczeństwa upoważnia mnie do wniosku, że nie tylko wszyscy ludzie powinni pracować, aby mieć co wymieniać, lecz że wartości równe wymieniane być powinny na równe. Co więcej, ponieważ zysk jednego nie powinien być stratą dla drugiego, wartość powinna być określana kosztami produkcji. Tymczasem widzieliśmy, że w obecnym ustroju społecznym zysk kapitalisty i człowieka bogatego jest zawsze stratą dla robotnika, że ten rezultat musi niechybnie następować i że ubogi pod wszelką formą rządu zdany jest całkowicie na łaskę bogatego póty, póki istnieje nierówność wymiany, oraz że równość wymiany zapewnić może tylko ustrój społeczny uznający powszechny obowiązek pracy... Równość wymiany sprawiłaby, że bogactwo przeszłoby stopniowo z rąk obecnych kapitalistów do rąk klasy pracującej (*Bray*, str. 53—55).

«Dopóki ten system nierówności wymiany będzie pozostawał w mocy, dopóty wytwórcy będą zawsze tak samo ubodzy, tak samo przeciążeni pracą i tak samo ciemni, jak są dzisiaj, choćby nawet *zniesiono wszystkie rządowe podatki i daniny*... Poprawić ten stan rzeczy i zapewnić ludziom istotną równość praw może jedynie całkowita zmiana systemu, wprowadzenie równości pracy i wymiany ... Wytwórcy zdobyć się muszą tylko na jeden wysiłek — są zaś obowiązani do wszelkiego wysiłku dla własnego ocalenia — a skruszą oni swoje kajdany raz na zawsze... Równość polityczna jako cel jest błędem, jako środek — również (As an end, the political equality is there a failure, as a means, also, it is there a failure).

«Przy równości wymiany zysk jednego nie może być stratą drugiego, wszelka bowiem wymiana jest wtedy tylko prostym *przeniesieniem* pracy i bogactwa i żadnej ofiary nie wymaga. W opartym na równości wymiany ustroju społecznym wytwórca może jeszcze dojść do bogactwa drogą oszczędności, ale bogactwo jego będzie tylko nagromadzonym wytworem jego własnej pracy. Może on wymieniać swe bogactwo lub nim obdarzać innych; lecz gdy przestanie pracować, będzie to dla niego rzeczą niemożliwą, ażeby przez czas dłuższy

pozostał bogatym. Przy równości wymiany bogactwo straci posiadaną obecnie zdolność odnawiania się i pomnażania, że tak powiemy, własną siłą; nie będzie już ono w stanie uzupełniać ubytku powodowanego spożyciem, gdyż nie odnawiane przez pracę, bogactwo, raz spożyte, stracone jest na zawsze. To, co dziś *zyskiem i procentem* nazywamy, nie będzie mogło istnieć nadal w ustroju równej wymiany. Zarówno wytwórca jak i osoba zajęta podziałem produktów otrzymywać będą wtedy jednakowe wynagrodzenie i to właśnie ogólna suma ich pracy służyć będzie do określenia wartości każdego artykułu wytworzonego i oddanego do rozporządzenia spożywcy...

«Zasada równości wymiany powinna więc z natury swej doprowadzić *do powszechności pracy*» (*Bray*, str. 76, 88, 89, 92 i 109).

Odparłszy zarzuty ekonomistów przeciw *komunizmowi*, p. Bray tak ciągnie rzecz dalej:

«Jeżeli nieodzowna jest zmiana charakterów ludzkich, aby udało się urzeczywistnić w jego postaci doskonałej ustrój społeczny oparty na wspólnocie; jeżeli, z drugiej strony, istniejący dziś porządek rzeczy nie przedstawia po temu ani potrzebnych warunków, ani pożądanych ułatwień, aby sprowadzić tę zmianę charakterów i przygotować ludzi do lepszego stanu, którego pożądamy wszyscy — jest rzeczą oczywistą, że porządek spraw społecznych będzie musiał pozostać z konieczności taki, jaki jest, chyba że się wynajdzie i wcieli w życie pewien specjalny ustrój przejściowy — pewien proces mający w sobie coś z ustroju obecnego i coś z przyszłego (systemu wspólnoty) — pewien rodzaj stadium przejściowego, w które społeczeństwo może wstąpić ze wszystkimi swymi ekscesami i szaleństwami, a opuścić je potem, bogate we wszystkie zalety i cechy, będące warunkiem systemu wspólnoty (*Bray*, str. 136).

«Cały ten proces wymagałby jedynie współdziałania w jego najprostszej postaci... Koszty produkcji określałyby wartość produktów we wszelkich możliwych okolicznościach, a równe wartości wymieniałoby się zawsze na równe wartości. Z dwóch osób, z których jedna pracowałaby cały tydzień, a druga pół tygodnia, pierwsza dostawałaby wynagrodzenie dwa razy większe od drugiej, lecz ta nadwyżka płacy nie byłaby z uszczerbkiem ani kosztem drugiej;

strata poniesiona przez drugą nie byłaby żadną miarą połączona z korzyścią dla pierwszej. Każdy wymieniałby płacę roboczą, osobiście przez siebie otrzymaną, na przedmioty tej samej wartości co ta jego płaca i w żadnym razie zysk, który by miała pewna osoba lub gałąź przemysłu, nie stanowiłby straty dla innej osoby lub innej gałęzi przemysłu. Praca każdej jednostki byłaby *jedynym miernikiem* jej zysków i jej strat...

«...Ilość różnych potrzebnych przedmiotów konsumpcji oraz wartość względna każdego przedmiotu w porównaniu z innymi (liczba robotników niezbędnych w rozmaitych gałęziach pracy), słowem, wszystko odnoszące się do wytwórczości i podziału społecznego byłoby określane przez ogólne i miejscowe biura *(boards of trade)*. Czynności tych dokonywałoby się z tą samą łatwością i w tak samo krótkim czasie dla jakiegoś całego narodu, jak w ustroju obecnym dla jakiegoś prywatnego towarzystwa... Jednostki, jak i w obecnym ustroju, łączyłyby się w rodziny, rodziny w gminy... Nawet podział ludności na mieszkańców miast i wsi, jakkolwiek jest on szkodliwy, nie zostałby zniesiony od razu. W tym zrzeszeniu każdy miałby w dalszym ciągu jak dzisiaj swobodę zbierania, ile mu się żywnie podoba, i robienia z zebranych przez siebie oszczędności takiego użytku, jaki uzna za odpowiedni dla się... Nasze społeczeństwo będzie, że tak powiemy, wielkim towarzystwem akcyjnym, złożonym z nieograniczonej liczby mniejszych towarzystw akcyjnych, które wszystkie pracują, produkują i wymieniają swe wytwory na stopie najzupełniejszej równości... Nasz nowy system społeczeństwa akcyjnego, będący tylko ustępstwem na rzecz obecnego społeczeństwa, aby dojść do komunizmu, i pozwalający na istnienie obok siebie *własności indywidualnej* produktów tudzież *własności wspólnej* sił wytwórczych — uzależnia los każdej jednostki od jej własnej działalności i zapewnia jej równy udział w korzyściach płynących z przyrody i postępów techniki. Przez to da się on zastosować do zmian późniejszych» (*Bray*, str. 158, 160, 162, 168, 194 i 199).

Pozostaje nam odpowiedzieć tylko kilka słów p. Brayowi, który niezależnie od nas i nawet wbrew nam usunął na bok i zastąpił nam p. Proudhona, z tą tylko różnicą, że p. Bray, daleki od przypisy-

wania sobie ostatniego słowa w ludzkości, proponuje tylko pewne środki, które uważa za dobre w epoce przejściowej między obecnym społeczeństwem a ustrojem komunistycznym.

Godzinę pracy Piotra wymienia się na godzinę pracy Pawła. Oto podstawowy pewnik p. Braya.

Przypuśćmy, że Piotr ma przed sobą dwanaście godzin pracy, a Paweł tylko sześć; Piotr będzie mógł w takim razie dokonać z Pawłem wymiany tylko sześciu za sześć. Piotrowi przeto sześć godzin pozostanie. Co Piotr zrobi z tymi sześcioma godzinami pracy?

Albo nic nie zrobi, czyli będzie pracował sześć godzin za darmo; albo dla równowagi jakieś inne sześć godzin przepróżnuje; albo wreszcie — i to jest jego ostatnie wyjście — podaruje Pawłowi przy wymianie z nim te sześć godzin, z którymi nie ma co począć, w bezpłatnym dodatku do innych.

Więc koniec końców, co Piotr zyska w stosunku do Pawła? Godzin pracy nie zyskuje. Zyska jedynie te kilka godzin wolnych, bo będzie musiał przez sześć godzin nic nie robić. I żeby to nowe prawo do lenistwa ludziom w nowym społeczeństwie nie tylko do smaku przypadało, lecz i cenione było, po temu potrzeba, aby to społeczeństwo widziało w próżnowaniu najwyższe dla siebie szczęście i ażeby praca ciążyła mu jak kajdany, których za wszelką cenę powinno się ono pozbyć. Na domiar zaś — że powrócimy do naszego przykładu — żeby to chociaż te wolne godziny, które Piotr zarobił na Pawle, były zarobkiem realnym! Lecz nie, bo Paweł, zaczynając od pracowania tylko przez sześć godzin, przez tę swoją regularną i prawidłową pracę osiąga ten sam rezultat, który Piotr osiąga zaczynając od nadmiaru pracy. A przeto każdy będzie chciał być Pawłem, o jego miejsce będą się ubiegali — będzie konkurencja, wyścig o palmę lenistwa.

Cóż tedy nam dała ta cała wymiana równych ilości pracy? Nadprodukcję, obniżkę cen, nadmierną pracę, po niej zastój, w końcu stosunki ekonomiczne takie, jakie widzimy w obecnym społeczeństwie, z wyjątkiem konkurencji pracy.

Lecz nie, to z naszej strony pomyłka. Pozostaje jeszcze jeden sposób na ocalenie nowego społeczeństwa owych Piotrów i Pawłów. Niech Piotr sam jeden spożyje wytwór tych sześciu godzin pracy,

które mu zostają. Wszelako z chwilą, gdy nie potrzebuje on wymieniać tego, co wyprodukował, nie będzie on też potrzebował produkować, by wymieniać, i całe założenie społeczeństwa opartego na wymianie i podziale pracy musiałoby upaść. Równość wymiany byłaby ocalona przez to samo, że wymiany ustały — Piotr i Paweł doszliby do stanu Robinsona.

Jeżeli tedy przypuszcza się, że wszyscy członkowie społeczeństwa są bezpośrednimi pracownikami, wymiana równych ilości godzin pracy możliwa jest tylko pod warunkiem umawiania się z góry o liczbę godzin, które trzeba będzie obrócić na produkcję materialną. Lecz taka umowa przeczy wymianie indywidualnej.

Do tego samego wniosku dojdziemy i wtedy, gdy za punkt wyjścia weźmiemy już nie rozdzielanie produktów wytworzonych, ale akt produkcji. W wielkim przemyśle Piotr nie ustala sam dowolnie czasu swojej pracy, bo praca Piotra nic nie znaczy bez współdziałania wszystkich Piotrów i wszystkich Pawłów, tworzących razem warsztat. To właśnie tłumaczy całkowicie ten zacięty opór, który stawiali przemysłowcy angielscy *ustawie o dziesięciogodzinnym dniu pracy*. Wiedzieli aż za dobrze, iż to zmniejszenie pracy o dwie godziny, przyznane kobietom i dzieciom, będzie musiało pociągnąć za sobą zmniejszenie czasu pracy również i dla dorosłych. Leży to w naturze wielkiego przemysłu, że czas pracy w nim musi być dla wszystkich równy. To, co jest dziś następstwem kapitalizmu i konkurencji robotników pomiędzy sobą — to będzie jutro, gdy zniesiecie stosunek pracy do kapitału, wynikiem umowy opartej o stosunek sumy sił wytwórczych do sumy istniejących potrzeb.

Lecz taka umowa — to wydanie wyroku potępiającego przeciwko wymianie indywidualnej — i otośmy znów doszli do naszego pierwszego wyniku.

Właściwie mówiąc, nie ma wymiany produktów, jest wymiana współdziałających w produkcji prac. Sposób wymiany sił wytwórczych określa sposób wymiany produktów. Ogólnie biorąc, sposób wymiany produktów odpowiada formie produkcji. Zmieńcie tę ostatnią, a w konsekwencji pociągnie to za sobą zmianę pierwszej. Toteż w dziejach społeczeństw widzimy, że sposób wymieniania produktów stosuje się do ich sposobu wytwarzania. Wymiana indy-

widualna odpowiada również określonemu sposobowi produkowania, który z kolei stanowi odbicie antagonizmu klas. Dlatego też bez antagonizmu klasowego nie może być wymiany indywidualnej.

Lecz sumienia zacnych obywateli nie chcą widzieć tego oczywistego faktu. Dopóki się stoi na stanowisku burżuazji, nie podobna widzieć w tym antagonizmie nic innego jak tylko harmonię i wiekuistą sprawiedliwość, która nie pozwala nikomu wynosić się kosztem innych. Zdaniem bourgeois wymiana indywidualna może istnieć bez antagonizmu klasowego: dla niego są to dwie rzeczy zupełnie od siebie odrębne. Wymiana indywidualna taka, jak ją sobie wyobraża bourgeois, daleka jest od tej wymiany indywidualnej, która istnieje w rzeczywistym życiu.

Pan Bray czyni sobie z *iluzji* poczciwców burżuazyjnych *ideał*, który pragnąłby urzeczywistnić. Doprowadzając wymianę indywidualną do stanu czystości, uwalniając ją od wszystkich w niej elementów antagonistycznych, wyobraża sobie, iż znalazł stosunek «*równościowy*» (égalitaire»), który chciałby wprowadzić do życia społecznego.

Pan Bray nie widzi, że ten stosunek wyrównania, ten *ideał udoskonalający*, który on chciałby do świata wprowadzić, sam jest tylko odbiciem obecnego świata i że, co za tym idzie, jest rzeczą całkowicie niemożliwą przebudować społeczeństwo na podstawie będącej tylko jego upiększonym cieniem. W miarę jak cień ten znów się obleka w ciało, widać, że to ciało dalekie jest od tego, aby być tym wymarzonym społeczeństwa przekształceniem, lecz że jest to właśnie ciało tego danego obecnego społeczeństwa*.

* Jak każda inna, tak i ta teoria p. Braya znalazła zwolenników, którzy dali się uwieść pozorom słuszności. W Londynie, Sheffieldzie, Leedsie i wielu innych miastach angielskich pozakładano «*equitable-labour-exchange-bazars*» [bazary wymiany pracy równowartościowej]. Bazary, pochłonąwszy poważne kapitały, wszystkie skandalicznie pobankrutowały. Smak do nich stracono na zawsze: niechże to będzie ostrzeżeniem dla p. Proudhona! — *Przypis K. Marksa.*

Jak wiadomo, p. Proudhon nie skorzystał z tego ostrzeżenia. W 1849 r. spróbował sam założyć bank wymiany w Paryżu, ale bank ten upadł przedtem nawet, zanim raczył należycie działać. Ten krach banku przesłoniła sprawa, wytoczona przed sądem p. Proudhonowi. — *Przypis F. Engelsa.*

§ 3

ZASTOSOWANIE PRAWA PROPORCJONALNOŚCI WARTOŚCI

A. PIENIĄDZ

«Złoto i srebro — to pierwsze towary, których wartość została ukonstytuowana».

A więc złoto i srebro stanowią pierwsze przypadki zastosowania «wartości ukonstytuowanej»... przez p. Proudhona. A że p. Proudhon konstytuuje wartość produktów określając ją porównawczą ilością pracy w nich utrwalonej, jedyną rzeczą, którą miał on do zrobienia, było dowieść, że *wahania* zachodzące w wartości złota i srebra tłumaczą się zawsze zmianami w czasie pracy, potrzebnej do ich wyprodukowania. Pan Proudhon ani myśli tym się zająć. Mówi on o złocie i srebrze nie jako o towarze, mówi o nich jako o pieniądzu.

Cała logika — jeżeli jest w tym jakaś logika — zasadza się tu na tym, że posiadaną przez złoto i srebro właściwość służenia w charakterze *pieniądza* Proudhon rozciąga po kuglarsku na wszystkie towary odznaczające się tym, iż się je ocenia według czasu pracy. W tej sztuce kuglarskiej jest stanowczo więcej naiwności niż złej woli.

Produkt użyteczny, skoro wartość jego *raz* oceniono czasem pracy potrzebnym do wytworzenia go, może być zawsze przyjęty do wymiany. Świadczy o tym — woła p. Proudhon — złoto oraz srebro, które znajdują się w pożądanych przeze mnie warunkach «wymienialności». A więc złoto i srebro — to wartość, która doszła do stanu ukonstytuowania, to wcielenie idei p. Proudhona. Nie można być szczęśliwszym w wyborze przykładu. Złoto i srebro oprócz tej ich własności, że są towarem, którego wartość, jak w każdym innym towarze, określa się czasem pracy, posiadają jeszcze i tę cechę, że służą za uniwersalny środek wymiany, że są pieniądzem. Skoro się teraz bierze złoto i srebro za zastosowanie «*wartości ukonstytuowanej*» przez czas pracy, to nie ma nic łatwiejszego jak udowodnić, że wszelki towar, którego wartość zostanie ukonstytuowana przez czas pracy, będzie zawsze wymienialny, że będzie on pieniądzem.

W głowie p. Proudhona powstaje pewne bardzo proste zapytanie: dlaczego złoto i srebro mają ten przywilej, że są typem «wartości ukonstytuowanej»?

«Funkcja szczególna, którą zwyczaj nadał metalom szlachetnym, iż służą one za środek obrotowy w handlu, jest sprawą całkowicie dowolnej umowy — rolę tę mógłby spełniać, może ku mniejszej wygodzie ludzkiej, lecz nie mniej pewnie i pozytywnie, każdy inny towar; ekonomiści to przyznają i niejeden mamy na to przykład. Skądże to więc pochodzi, że pierwszeństwo powszechnie daje się metalom, aby służyły za monetę, i jak się tłumaczy tę specjalizację w funkcji pieniądza, nie posiadającą analogii w ekonomii politycznej?... Otóż, czy jest rzeczą możliwą *odtworzyć tę serię*, z której *pieniądz* zdaje się być wyjęty, a co za tym idzie, sprowadzić go do jego właściwej zasady?»

Już tak stawiając kwestię i używając tych terminów p. Proudhon z góry przyjmuje *pieniądz*. Pierwszym pytaniem, które powinien on był sobie zadać, jest to, dlaczego w wymianie takiej, jak się ona obecnie wytworzyła, trzeba było, że tak powiemy, zindywidualizować wartość wymienną stwarzając pewien szczególny środek wymiany. Pieniądz — to nie rzecz, to pewien stosunek społeczny. Czemuż tedy stosunek, którym jest pieniądz, jest pewnym stosunkiem w procesie produkcji — takim samym jak wszelki inny stosunek ekonomiczny, jak podział pracy itd.? Gdyby p. Proudhon jasno był zdał sobie z tego stosunku sprawę, nie upatrywałby w pieniądzu żadnego wyjątku, nie widziałby w nim członа wyjętego z jakiejś nieznanej serii, którą ma się dopiero odnaleźć.

Byłby, przeciwnie, poznał, że stosunek ten stanowi ogniwo i w tym charakterze najściślej jest związany z całym łańcuchem innych stosunków ekonomicznych oraz że odpowiada on pewnemu sposobowi produkcji określonemu nie mniej i nie więcej niż wymiana indywidualna. A cóż p. Proudhon robi? Zaczyna od tego, że wyodrębnia pieniądz z całości obecnego sposobu produkcji po to, by uczynić zeń później pierwszy wyraz jakiejś urojonej lub nie odnalezionej jeszcze serii.

Skoro się raz już uzna konieczność pewnego szczególnego środka wymiany, czyli konieczność pieniądza, wówczas chodzi już tylko o wytłumaczenie, czemu ta szczególna funkcja przypada w udziale

złotu i srebru raczej niżli jakiemuś innemu towarowi. Jest to pytanie drugorzędne, na które odpowiedź nie leży już w powiązaniu stosunków produkcji, ale w swoistych materialnych własnościach złota oraz srebra. Jeżeli, zgodnie z tym wszystkim, ekonomiści — jak im to zarzuca p. Proudhon — «wyszli nagle poza obręb swojej wiedzy, jeżeli zaczęli uprawiać fizykę, mechanikę, historię itd.», uczynili oni tylko to, co powinni byli uczynić. Kwestia ta nie wchodzi już do zakresu ekonomii politycznej.

«Czego nie dostrzegł ani nie zrozumiał żaden z ekonomistów — powiada p. Proudhon — to tej *przyczyny ekonomicznej*, której zawdzięczają uprzywilejowane swoje stanowisko metale drogocenne».

Pan Proudhon dostrzegł, zrozumiał i przekazał potomności tę przyczynę ekonomiczną, której nikt — nie bez głębokiej racji — nie spostrzegł i nie pojął.

«Otóż nie zauważył tego nikt, że z wszystkich towarów właśnie złoto i srebro były najpierwsze, których wartość została ukonstytuowana. W okresie patriarchalnym złotem i srebrem handluje się i dokonywa ich wymiany jeszcze w sztabach, lecz już widoczna jest tendencja do ich przewagi i do dawania im pierwszeństwa przed innymi. Potem *stopniowo* biorą je w swe posiadanie panujący i znak swój na nie nakładają — i otóż z tej sankcji władców powstaje pieniądz, tj. towar par excellence, który zachowuje określoną wartość proporcjonalną przy wszystkich wahaniach rynku i który przy wszystkich transakcjach przyjmują... Cecha szczególna złota i srebra, powtarzam, stąd pochodzi, iż z racji swoich własności metalicznych, trudności wytwarzania i zwłaszcza interwencji władzy państwowej wcześnie zdobyły one jako towary stałość i tożsamość».

Powiedzenie, że ze wszystkich towarów złoto i srebro są pierwszymi, których wartość się ukonstytuowała, albo innymi słowy — na zasadzie wszystkich poprzednich wywodów — że one pierwsze stały się pieniądzem, oto wielkie objawienie p. Proudhona, oto prawda, której nikt przed nim nie odkrył.

Jeżeli mówiąc to p. Proudhon chciał powiedzieć, że złoto i srebro są towarami, których czas produkcji poznany został wcześniej niż wszystkich innych, to byłoby to jeszcze jedno z tych przypuszczeń, którymi tak chętnie obdarza on swych czytelników. Gdybyśmy chcieli

się również trzymać tej patriarchalnej erudycji, powiedzielibyśmy p. Proudhonowi, że przede wszystkim poznano czas niezbędny do wytwarzania przedmiotów pierwszej potrzeby, takich jak np. żelazo itp. Że już mu darujemy klasyczny łuk Adama Smitha.

Ale jak po tym wszystkim p. Proudhon może jeszcze mówić o konstytuowaniu się jakiejś wartości, kiedy przecież żadna wartość nie może konstytuować się sama jedna? Konstytuuje się ona nie przez czas potrzebny do wytworzenia jej samej tylko, lecz przez stosunek do ilości wszystkich innych produktów, które mogą być wytworzone w tym samym czasie. Ukonstytuowanie się przeto wartości złota i srebra zakłada, że już się przedtem ukonstytuowały wartości szeregu innych produktów.

A więc to nie towar stał się, pod postacią złota i srebra, «ukonstytuowaną wartością», to, przeciwnie, «ukonstytuowana wartość» p. Proudhona w postaci złota i srebra stała się pieniądzem.

Zbadajmy teraz bliżej owe *racje ekonomiczne*, którym złoto i srebro, zdaniem p. Proudhona, zawdzięcza to, iż one właśnie raczej niż jakikolwiek inny produkt podniesione zostały do godności pieniądza, przeszedłszy przez stadium ukonstytuowania się ich wartości.

Te racje są to: «widoczna dążność do przewagi», «pierwszeństwo» dające się zauważyć już w «okresie patriachalnym» i szereg innych tego rodzaju omówień samego faktu, które tylko powiększają trudność wytłumaczenia go, mnożąc okoliczności uboczne przytaczane przez p. Proudhona gwoli wyjaśnienia. Wszelako p. Proudhon nie wyczerpał jeszcze wszystkich rzekomo ekonomicznych racji. Bo oto jest pewna przyczyna przemożnej, nieodpartej siły:

«Pieniądz powstaje przez sankcję rządu; władcy obejmują w posiadanie złoto i srebro i nakładają na nie znak swój».

A zatem samowola władców stanowi dla p. Proudhona najwyższą rację w ekonomii politycznej!

Doprawdy trzeba być pozbawionym wszelkich wiadomości z historii, aby nie wiedzieć, że po wsze czasy właśnie władcy musieli się uginać przed stosunkami ekonomicznymi, a nigdy nie mogli praw swoich im narzucać. Prawodawstwo, zarówno polityczne jak cywilne, zawsze tylko wyraża i ujmuje w słowa wymogi stosunków ekonomicznych.

Czy to władca zawładnął złotem i srebrem, ażeby, znak swój na nie nałożywszy, uczynić z nich uniwersalne środki wymiany, czy też to nie raczej, przeciwnie, te środki powszechnej wymiany zawładnęły nim, władcą, zmuszając go, aby nałożył na nie znak swój i nadał im w ten sposób sankcję polityczną?

Stempel, który się kładło i kładzie na srebrze, mówi nie o jego wartości, lecz wadze. Stałość i tożsamość, o których opowiada p. Proudhon, odnoszą się tylko do próby na pieniądzach, a próba ta wskazuje, ile jest czystego metalu w ostemplowanym kawałku srebra. «Jedyną wewnętrzną wartością marki srebra — powiada Wolter ze znanym swym zdrowym rozsądkiem — jest marka srebra, pół funta wagi ośmiu uncyj. Tylko waga i próba nadają mu tę wewnętrzną wartość» (*Voltaire*, Système de Law). Niemniej wszelako pozostaje nierozstrzygnięta kwestia: ile jest warta uncja złota albo srebra? Gdyby kaszmir z domu towarowego «Grand Colbert» posiadał markę fabryczną z napisem «czysta wełna», to marka nic by wam jeszcze nie powiedziała o wartości kaszmiru. Musielibyśmy się jeszcze dowiedzieć, ile jest warta wełna. «Filip I, król francuski — powiada p. Proudhon — domieszał do liwra Karola Wielkiego trzecią część stopu, wyobrażając sobie, że skoro ma monopol na bicie pieniędzy, to może postępować tak jak każdy kupiec-monopolista jakiegoś produktu. Czymże jest w rzeczywistości to podrabianie pieniędzy, z którego wiecznie taki czynią zarzut Filipowi i jego następcom? Jest to rozumowanie, z punktu widzenia zwykłego w handlu postępowania całkiem usprawiedliwione, ale ze stanowiska nauki ekonomicznej całkowicie błędne, że mianowicie, skoro podaż i popyt określają wartość towarów, to w takim razie, stwarzając ich sztuczną rzadkość albo monopolizując wytwarzanie, można podnieść ocenę, a więc i wartość rzeczy, oraz że to jest prawdą o złocie i srebrze zupełnie tak samo, jak o zbożu, winie, oliwie, tytoniu. Tymczasem ledwo zaczęto się domyślać oszustwa Filipa, jego pieniądze spadły do rzeczywistej swej wartości i stracił on przez to tyle, ile spodziewał się zyskać kosztem swych poddanych. Ten sam los spotkał wszystkie następne analogiczne próby» [I, 70—71].

Przede wszystkim dowiedziono już wiele razy, że monarcha fałszując monetę sam jest na tym stratny. To, co zyska jednorazowo na

pierwszej emisji, traci potem za każdym razem, kiedy sfałszowane pieniądze wracają do niego pod postacią podatków itd. Lecz Filip i jego następcy umieli się mniej lub więcej zabezpieczyć od tej straty, gdyż puściwszy w obieg sfałszowane pieniądze, z całym pośpiechem rozkazywali natychmiast przetopić wszystkie kursujące pieniądze według ich poprzedniej skali.

Następnie zaś, gdyby Filip I naprawdę był rozumował jak p. Proudhon, to Filip I nie byłby rozumował dobrze «z punktu widzenia handlowego». Ani Filip I, ani p. Proudhon nie składają dowodu swego talentu kupieckiego wyobrażając sobie, że można sfałszować wartość złota zupełnie tak samo jak wszelkiego innego towaru z tej jedynie racji, iż wartość ta określa się stosunkiem podaży do popytu.

Gdyby król Filip rozkazał, aby korzec zboża nazywał się na przyszłość dwoma korcami zboża, król byłby oszustem. Byłby on oszukał wszystkich rentierów, wszystkich, co mieli byli dostać sto korcy zboża; i byłby przyczyną tego, że wszyszy ci ludzie, zamiast otrzymać sto korcy zboża, otrzymaliby tylko pięćdziesiąt. Przypuśćmy, że król był dłużny sto korcy; miałby teraz do zapłacenia tylko pięćdziesiąt. W handlu jednak sto korcy nie kosztowałoby nigdy więcej od dawnych pięćdziesięciu. Zmieniając nazwę nie zmienia się przez to rzeczy. Ilość zboża, ofiarowywanego ani żądanego, nie zmniejszy się ani nie zwiększy przez samą zmianę nazwy. Że przeto stosunek podaży do popytu mimo tej zmiany nazwy pozostanie ten sam, cena zboża nie ulegnie też żadnej zmianie rzeczywistej. Mówiąc o podaży i popycie towarów, nie mówi się o podaży i popycie nazw towarów. Filip I nie robił złota ani srebra, jak mówi p. Proudhon; robił on tylko nazwy monet. Powiedzcie, że wasz kaszmir francuski jest kaszmirem azjatyckim, a może uda wam się oszukać jednego lub dwóch kupujących; lecz skoro oszustwo zostanie wykryte, wasz mniemany kaszmir azjatycki spadnie w cenie do poziomu francuskiego. Przykładając fałszywy stempel do złota i srebra, król Filip I dopóty mógł ludziom mydlić oczy, dopóki na fałszerstwie się nie poznano. Jak każdy inny sklepikarz oszukiwał on klientów, fałszywie znacząc towar; mogło to trwać tylko do pewnego czasu. Prędzej czy później musiał się on przekonać, że prawa handlu są nieubłagane. Czy tego właśnie chciał dowieść p. Proudhon? Nie. Jego zda-

niem monarcha, nie zaś handel, nadaje pieniądzom posiadaną przez nie wartość. A czego p. Proudhon w rzeczywistości dowiódł? Że handel ma większą władzę niż monarcha. Że mornarcha każe, aby marka na przyszłość znaczyła dwie marki, tymczasem handel powie wam zawsze, iż te dwie marki są warte tylko tyle, co poprzednio jedna.

Lecz przez to wszystko kwestia określania wartości czasem pracy nie poszła ani o krok naprzód. Pozostaje ciągle do rozstrzygnięcia sprawa, czy wartość tych dwóch marek, które się znowu stały dawną jedną, określa się kosztem ich produkcji, czy prawem podaży i popytu?

Pan Proudhon ciągnie dalej: «Należy zważyć i tę okoliczność, że gdyby zamiast fałszowania monet król miał moc podwajania ich masy, wartość wymienna złota i srebra natychmiast spadłaby o połowę, wciąż z tej samej racji proporcjonalności i równowagi».

Jeżeli ten pogląd — wspólny p. Proudhonowi z innymi ekonomistami — jest słuszny, to przemawia on tylko na rzecz ich doktryny podaży i popytu, a bynajmniej nie na rzecz proporcjonalności p. Proudhona. Albowiem, bez względu na czas pracy zawarty w podwojonej masie złota i srebra, wartość ich jednak spadłaby o połowę, skoro popyt ten sam pozostał, a podaż się zdwoiła. Czy też może przypadkiem *prawo proporcjonalności* na ten raz zlewa się z tyle pogardzanym prawem popytu i podaży? Ta słuszna proporcjonalność p. Proudhona jest w rzeczy samej tak elastyczna, może posiadać tyle odmian, kombinacji i permutacji, że mogłaby raz kiedyś zlać się i ze stosunkiem podaży i popytu.

Przypisywać «każdemu towarowi, jeżeli nie faktyczną, to przynajmniej prawną zdolność do wymiany», opierając się w tej mierze na roli złota oraz srebra — znaczy to roli tej nie rozumieć zgoła. Złoto i srebro są tylko dlatego prawnie wymienialne, że wymienialne są faktycznie, a tę faktyczną zdolność do wymiany dlatego posiadają, że obecna organizacja produkcji potrzebuje uniwersalnego środka wymiany. Prawo jest jedynie uznaniem tego faktu.

Widzieliśmy, że p. Proudhon wybrał pieniądz jako przykład wartości ukonstytuowanej wyłącznie w tym celu, aby móc przy sposobności przeszmuglować całą swoją doktrynę wymienialności, tj. aby dowieść, że każdy towar, szacowany kosztami swej produkcji, musi

się stać pieniądzem. Byłoby to wszystko bardzo pięknie, gdyby nie ta mała niedogodność, że właśnie złoto i srebro jako moneta (tj. znak wartości) są ze wszystkich towarów tymi jedynymi, których się nie określa kosztami produkcji; a jest to do tego stopnia prawdą, że w obiegu można je papierem zastępować. Dopóki zachowywana będzie odpowiednia proporcja pomiędzy potrzebami obiegu a ilością wypuszczonych pieniędzy, czy to papierowych, złotych, platynowych czy miedzianych, dopóty nie będzie mogło być mowy o zachowaniu jakiejś proporcji pomiędzy wewnętrzną (koszty produkcji) a nominalną wartością pieniądza. W handlu międzynarodowym pieniądz niewątpliwie określa się, jak i wszelki inny towar, czasem pracy. Bo też złoto i srebro, stając się przedmiotem handlu międzynarodowego, są środkami wymiany jako produkt, nie zaś jako pieniądz, tzn. tracą ową «stałość i tożsamość» i «sankcję władz», które dla p. Proudhona stanowią swoisty ich charakter. Prawdę tę tak dobrze zrozumiał Ricardo, że oparłszy cały swój systemat na wartości określanej czasem pracy i powiedziawszy: «*Złoto i srebro*, jak i wszystkie inne towary, mają wartość tylko proporcjonalnie do ilości pracy potrzebnej do ich wyprodukowania i dostarczenia na rynek» — dodaje on jednak, iż wartość *pieniądza* nie określa się czasem pracy utrwalonej w jego substancji materialnej, ale wyłącznie prawem podaży i popytu.

«Jakkolwiek papier w banknotach — mówi Ricardo — nie posiada żadnej wewnętrznej wartości, to jednakże, gdy się ogranicza ilość banknotów,ich wartość wymienna może dorównywać wartości pieniędzy metalowych w tej samej sumie nominalnej albo sztab ocenionych na gotówkę. Postępując zgodnie z tą samą zasadą, tzn. ograniczając ilość pieniędzy, sprawić można, że monety niepełnowartościowe utrzymają się w obiegu mając tę samą wartość, jaką by miały, gdyby posiadały wagę i próbę przez prawo nakazaną, nie zaś wartość czystego, zawartego w nich metalu. Oto, dlaczego w dziejach pieniędzy angielskich widzimy, iż nasza moneta brzęcząca nie traciła nigdy na wartości w tym samym stosunku, w którym zmniejszała się jej waga. Przyczyna w tym tkwi tutaj, że nigdy nie zwiększała się ilość tej monety w tym samym stosunku, w którym spadała jej wartość» (*Ricardo*, loc. cit. [206—207]).

Do tego ustępu J. B. Say robi następującą uwagę:

«Wydaje mi się, że ten *przykład* powinien by wystarczyć do przekonania autora, iż podstawą wszelkiej wartości jest nie ilość pracy potrzebnej do wytworzenia jakiegoś towaru, ale odczuwana przez ludzi potrzeba posiadania go, w połączeniu z jego rzadkością».

A więc pieniądz, który, zdaniem Ricarda, nie stanowi już wartości określanej czasem pracy i który J. B. Say bierze dlatego za przykład, by przekonać Ricarda, iż i inne wartości czasem pracy określać się nie dadzą — ten pieniądz, powiadam, brany przez J. B. Saya jako przykład wartości określanej wyłącznie przez podaż i popyt, dla p. Proudhona staje się najbardziej typowym przykładem wartości konstytuowanej... czasem pracy.

Aby z tą sprawą skończyć: jeżeli pieniądz nie stanowi wartości konstytuowanej czasem pracy, to tym bardziej nie może on mieć nic wspólnego ze słuszną «proporcjonalnością» p. Proudhona. Złoto i srebro są zawsze wymienialne, ponieważ mają tę szczególną funkcję, że służą za powszechny środek wymiany, a bynajmniej nie dlatego, że istnieją w ilości proporcjonalnej do ogółu bogactw; lub też, mówiąc jeszcze lepiej, są one zawsze proporcjonalne, same jedne bowiem ze wszystkich towarów służą za pieniądz, za powszechny środek wymiany, jakakolwiek byłaby ich ilość w stosunku do ogółu bogactw. «Kursujących pieniędzy nigdy nie może być zanadto, tak aby miały być w nadmiarze; gdy bowiem obniżacie ich wartość, to w tym samym stosunku zwiększycie ich ilość; zwiększając zaś ich wartość, ilość ich zmniejszacie (*Ricardo* [II, 205]).

«Cóż to za gmatwanina, ta ekonomia polityczna!» wykrzykuje p. Proudhon.

«Przeklęte złoto!» zabawnie woła jakiś komunista (ustami p. Proudhona). Z równą słusznością można by powiedzieć: przeklęta pszenica, przeklęte winogrona, przeklęte barany; albowiem «podobnie jak złoto i srebro *wszelka wartość* w handlu musi zostać ściśle i dokładnie określona».

Idea nadania baranom i winogronom własności pieniądza nowością nie jest. We Francji należy ona do stulecia Ludwika XIV. W owej epoce, kiedy pieniądz okazywać zaczynał wszechmoc swoją, skarżono się na deprecjację wszystkich innych towarów i z upragnieniem wyczekiwano chwili, gdy wszelka «wartość handlowa» mogłaby

zostać ściśle i dokładnie określona, stać się pieniądzem. Oto, co znajdujemy już u Bois-Guilleberta, jednego z najstarszych ekonomistów francuskich:

«Wtedy to przez ów niezliczony napływ współzawodników — a będą to same towary przywrócone do słusznych swych wartości — pieniądz zostanie zawarty w swoich granicach naturalnych» («Economistes Financiers du XVIII Siècle» [«Ekonomiści finansowi XVIII wieku»], str. 422, wyd. Daire'a).

Widzimy, że pierwsze złudzenia burżuazji są też jej ostatnimi.

B. NADWYŻKA PRACY

«W rozprawach z ekonomii politycznej spotyka się niekiedy ta niedorzeczna hipoteza: *Gdyby cena wszystkich przedmiotów została podwojona*... Tak jak gdyby cena wszystkich przedmiotów nie była ich stosunkiem i jak gdyby można było podwoić stosunek, proporcję, prawo!» (*Proudhon*, t. I, str. 81).

Ekonomiści popadli w ten błąd wskutek tego, że nie potrafili zastosować «prawa proporcjonalności» i «wartości ukonstytuowanej».

Na nieszczęście, w dziele samego p. Proudhona, na stronicy 110 tomu I czytamy tę bezsensowną hipotezę, że «gdyby płaca robocza ogólnie się podniosła, to podniosłyby się ceny na wszystkie produkty». Na domiar, jeśli w rozprawach z ekonomii politycznej spotykamy wymienione zdanie, to znajdujemy w nich również jego wyjaśnienie. «Kiedy się mówi, że cena wszystkich towarów idzie w górę albo spada, to zawsze wyłącza się stąd jeden czy drugi towar; towarem, dla którego robi się ten wyjątek, bywa na ogół pieniądz lub praca» (*Encyclopaedia Metropolitana or Universal Dictionary of Knowledge* — [Encyklopedia stołeczna albo Powszechny słownik wiedzy] t. IV, artykuł o ekonomii politycznej przez Seniora, Londyn 1836) (patrz też co do tego: *J. St. Mill*, Essays on Some Unsettled Questions of Political Economy [Szkice o kilku nierozstrzygniętych kwestiach z ekonomii politycznej] Londyn 1844, oraz *Tooke*, *A history of Prices* [Dzieje cen], Londyn 1838).

Przejdźmy teraz do *drugiego zastosowania* «wartości ukonstytuowanej» tudzież innych proporcjonalności, których jedyną wadę to stanowi, że są one mało proporcjonalne, i zobaczymy, czy p. Proudhon w tej sprawie ma szczęśliwszą rękę niż przy *monetyzacji*, przy przemianie owiec w pieniądz.

«Jest pewnikiem ogólnie przyjętym przez ekonomistów, że każda praca pozostawiać winna pewną nadwyżkę. Zdanie to zawiera dla mnie prawdę powszechną i bezwzględną: jest to uzupełnienie prawa proporcjonalności, które to prawo uważać można za streszczenie całej wiedzy ekonomicznej. Lecz niech mi ekonomiści wybaczą, proszę: — zasada, iż *wszelka praca powinna pozostawiać pewną nadwyżkę*, w ich teorii, jest pozbawiona sensu i żadną miarą *udowodniona* być nie może» (Proudhon).

Ażeby dowieść, że wszelka praca powinna pozostawiać pewną nadwyżkę, p. Proudhon personifikuje społeczeństwo; czyni on z niego *społeczeństwo-osobę* — społeczeństwo, które ani trochę nie jest społeczeństwem złożonym z osób, ma ono bowiem swe osobne prawa, nie posiadające nic wspólnego z osobami, z których składa się społeczeństwo, tudzież swój «własny rozsądek», który nie jest rozsądkiem ogółu ludzi, lecz rozsądkiem nie mającym zdrowego rozsądku. Pan Proudhon wyrzuca ekonomistom, że nie zrozumieli osobowości tej istoty zbiorowej. Z przyjemnością przeciwstawimy mu następujący ustęp z pewnego ekonomisty amerykańskiego, który zarzuca innym ekonomistom coś wprost przeciwnego: «*Istocie* moralnej (the moral entity), bytowi gramatycznemu (the grammatical being) zwanemu społeczeństwem przypisano cechy mające byt realny tylko w wyobraźni tych, którzy ze słów czynią rzeczy ... Oto, co spowodowało wiele trudności i opłakanych pomyłek w ekonomii politycznej» (*Th. Cooper*, Lectures on the Elements of Political Economy [Wykłady o zasadach ekonomii politycznej], Columbia 1826).

«Ta zasada nadwyżki pracy — ciągnie dalej p. Proudhon — jest prawdą w stosunku do osobników jedynie dlatego, że płynie ze społeczeństwa, które udziela im w ten sposób dobrodziejstw własnych swych praw».

Czy p. Proudhon chce przez to powiedzieć po prostu, że produkcja jednostki w społeczeństwie przewyższa produkcję jednostki odosobnio-

nej? Czy ma on na myśli właśnie tę nadwyżkę produkcji osobników zrzeszonych nad produkcją niezrzeszonych? Jeśli tak jest, to możemy mu przytoczyć stu ekonomistów, wypowiadających tę prostą prawdę bez całego owego mistycyzmu, którym otacza się p. Proudhon. Oto, co mówi np. p. Sadler:

«Praca wspólna daje rezultaty, których praca indywidualna nigdy osiągnąć nie zdoła. W miarę przeto jak ludzkość będzie rosła w liczbę, produkty zjednoczonej pracy przemysłowej znacznie przewyższać będą tę sumę, która wypadnie z prostego dodawania liczb odpowiadających przyrostowi ludności... W kunsztach mechanicznych zarówno jak i w pracach naukowych jeden człowiek może dziś zrobić więcej w ciągu jednego dnia niż samotna jednostka przez całe swe życie. Pewnik matematyczny, że całość się równa sumie swoich części, nie jest już prawdziwy w zastosowaniu do naszego tematu — do pracy, tego wielkiego fundamentu istnienia ludzkiego (the great pillar of human existence). Tu można powiedzieć, że produkt wysiłków zjednoczonych o wiele przewyższa wszystko to, co mogą kiedykolwiek osiągnąć oddzielne wysiłki jednostkowe» (*T. Sadler*, The law of Population, [Prawo ludności] Londyn 1830).

Powróćmy do p. Proudhona. Nadwyżka pracy — powiada on — tłumaczy się przez społeczeństwo-osobę. Życiem tej osoby rządzą prawa przeciwne prawom kierującym postępkami człowieka jako osobnika; i chce on udowodnić to «*faktami*».

«Wynalezienie jakiegoś nowego sposobu postępowania w gospodarce nie może nigdy przynieść wynalazcy takiej samej korzyści jak ta, którą on przynosi społeczeństwu. Zauważono, że przedsiębiorstwa kolei żelaznych w znacznie mniejszym stopniu są źródłem bogactwa dla przedsiębiorców niż dla państwa... Przeciętna cena przewozu towarów końmi wynosi 18 centymów od tony za kilometr łącznie z załadowaniem i wyładowaniem. Obliczono, że przy tej cenie zwykłe przedsiębiorstwo kolejowe nie dałoby nawet 10 procent czystego dochodu, co stanowi prawie tyle, ile daje przedsiębiorstwo przewozu końmi. Ale przypuśćmy, że prędkość przewozu koleją tak ma się do przewozu końmi jak 4 do 1; a ponieważ w społeczeństwie czas to wartość, przeto przy równych cenach kolej będzie od koni o 400 procent zyskowniejsza. Tymczasem ten olbrzymi zysk, bardzo

realny dla społeczeństwa, ani trochę nie realizuje się w tym samym stosunku dla przedsiębiorcy kolejowego, który, dając społeczeństwu 400 procent zysku, sam dla siebie nie ma z tego nawet 10 procent. Przypuśćmy w rzeczy samej — aby sprawa się stała jeszcze wyraźniejsza — że kolej ustala taryfę swoją na 25 centymów, podczas gdy przewóz końmi kosztuje w dalszym ciągu 18; kolej natychmiast straci wszystkie zamówienia na przewóz towarów. Wysyłający i odbierający, wszyscy powrócą do starych bryk i wózków. Od lokomotywy odwrócą się wszyscy: 400-procentowy zysk społeczny złożony zostanie w ofierze 35-procentowej prywatnej stracie. Dlaczego, to rzecz jasna: korzyść wynikająca z prędkości kolei żelaznych jest czysto społeczna, każda poszczególna jednostka ma w niej tylko bardzo nieznaczny udział (nie zapominajmy, że chodzi w tej chwili tylko o transport towarów), kiedy tymczasem strata dotyka bezpośrednio i osobiście spożywcę. Zysk społeczny równy 400 wynosi dla jednostki, gdy społeczeństwo liczy tylko milion osób, cztery dziesięciotysiączne; podczas gdy strata 33 procent dla każdego spożywcy kazałaby przypuszczać deficyt społeczny 33 milionów»*(Proudhon).*

Uszłoby jeszcze od biedy, że p. Proudhon wyraża poczwórną prędkość za pomocą 400 procent pierwotnej; ale porównywać procenty prędkości z procentami zysku i ustawiać proporcję pomiędzy dwoma stosunkami, z których każdy oddzielnie mierzy się wprawdzie w procentach, lecz które niemniej są z sobą niewspółmierne — znaczy to ustanawiać proporcję między procentami nie bacząc na różnicę oznaczanych tymi procentami rzeczy.

Procenty są zawsze procentami, 10 procent i 400 procent są z sobą współmierne; mają się do siebie jak 10 do 400. A więc, wnioskuje stąd p. Proudhon, 10-procentowy zysk jest czterdzieści razy mniej wart niż poczwórna prędkość. Chcąc zaś zachować pozory powiada, że dla społeczeństwa czas to wartość *(time is money).* Błąd ten stąd wynika, że p. Proudhon mglisto przypomina sobie, iż istnieje jakiś stosunek pomiędzy wartością a czasem pracy, nie ma więc nic pilniejszego do zrobienia jak przyrównać czas pracy do czasu przewozu, tzn. że utożsamia on kilku palaczy, konwojentów itp., których czas pracy to nic innego jak czas przewozu, z całym społeczeństwem. I tak oto prędkość nagle zmieniła się w kapitał i w takim razie

p. Proudhon może z całą słusznością powiedzieć: «Zysk 400 procent zostanie poświęcony stracie 35 procent». I ustanowiwszy to dziwne twierdzenie jako matematyk, daje on nam następnie jego wytłumaczenie jako ekonomista.

«Zysk społeczny równy 400 wynosi dla jednostki, gdy społeczeństwo liczy tylko milion osób, cztery dziesięciotysiączne». Zgoda; tylko że nie o 400 chodzi, ale o 400 procent, a zysk 400 procent to dla jednostki właśnie 400 procent, ani mniej, ani więcej. Jakikolwiek byłby kapitał, dywidenda zawsze obliczana będzie w stosunku 400 procentów. A co robi p. Proudhon? Bierze procenty za kapitał i, jakby w obawie, że pogmatwanie przezeń sprawy nie jest jeszcze dość widoczne, dość «wyraźne», ciągnie dalej:

«Strata 33 procent dla każdego spożywcy kazałaby przypuszczać deficyt ogólny 33 milionów»; 33 procent straty dla każdego spożywcy pozostają 33 procentami straty dla miliona spożywców. Jakżeż potem p. Proudhon może z sensem mówić, że w razie straty 33 procent deficyt społeczny wynosi 33 miliony, skoro nie zna ani kapitału społecznego, ani nawet kapitału chociażby jednej z osób zainteresowanych? Nie dość więc było p. Proudhonowi tego, że poplątał *kapitał i procenty* — przechodzi on sam siebie utożsamiając włożony w jakieś przedsiębiorstwo *kapitał* z liczbą zainteresowanych.

«Przypuśćmy w rzeczy samej — chcąc, by sprawa się stała jeszcze wyraźniejsza» jakiś określony kapitał. Zysk społeczny 400 procent, rozłożony na milion uczestników, z których każdy wniósł po 1 franku, daje 4 franki zysku na głowę, nie zaś 0,0004, jak twierdzi p. Proudhon. Podobnie też 33-procentowa strata każdego z uczestników daje deficyt społeczny 330.000 franków, nie zaś 33 milionów (100:33 = 1.000.000:330.000).

Pochłonięty swą teorią społeczeństwa-osoby, p. Proudhon zapomina podzielić przez 100 i w ten sposób otrzymuje 330.000 franków straty; wszelako 4 franki zysku na osobę stanowią dla społeczeństwa 4 miliony franków zysku. Pozostaje dla społeczeństwa czysty zysk 3.670.000 franków. Ten ścisły rachunek wykazuje coś wprost przeciwnego, niż czego chciał dowieść p. Proudhon: że mianowicie zyski i straty społeczeństwa nie stoją bynajmniej w stosunku odwrotnym do zysków i strat jednostek.

Sprostowawszy te zwykłe omyłki czysto rachunkowe, przyjrzyjmy się nieco wnioskom, do których by się doszło, gdyby chcieć przyjąć dla kolei żelaznych ów stosunek prędkości i kapitału taki, jak go podaje p. Proudhon, bez omyłek rachunkowych. Przypuśćmy, że przewóz cztery razy prędszy kosztuje cztery razy więcej; ten przewóz jednak nie byłby mniej zyskowny od przewozu końmi, który jest cztery razy powolniejszy i którego koszty wynoszą jedną czwartą. Jeżeli więc za przewóz końmi biorą 18 centymów, kolej mogłaby brać 72 centymy. Taki byłby «matematycznie ścisły» wynik z założeń p. Proudhona, wciąż pod tym warunkiem, że się nie popełnia jego omyłek rachunkowych. Lecz oto niespodziewanie mówi on nam, że gdyby kolej zamiast 72 centymów brała tylko 25, straciłaby natychmiast wszystkie zamówienia na przewóz. Stanowczo trzeba wrócić do starych bryk i wózków. Tylko jeżeli mamy dać p. Proudhonowi jakąś radę, to tę, ażeby w swym «*Programie zrzeszenia postępowego*» nie zapomniał przez 100 podzielić. Lecz niestety! nie ma zupełnie nadziei, aby tej naszej rady usłuchano, p. Proudhon bowiem jest tak zachwycony swoim «postępowym» rachunkiem odpowiadającym jego «postępowemu zrzeszeniu», iż z całą napuszonością wykrzykuje: «Rozwiązawszy antynomię wartości, już w drugim rozdziale wykazałem, iż zysk z każdego użytecznego wynalazku jest nieskończenie mniejszy dla wynalazcy, jakkolwiek będzie się on zachowywał, niż dla społeczeństwa; dowód posunąłem na tym punkcie aż do *matematycznej ścisłości!*»

Powróćmy do fikcji społeczeństwa-osoby, która to fikcja nie miała innego celu jak tylko dowieść następującej prostej prawdy: Nowy wynalazek, pozwalający produkować przy tej samej ilości pracy większą ilość towarów, obniża wartość rynkową produktów. Społeczeństwo zyskuje więc nie na tym, że otrzymuje więcej wartości wymiennych, lecz że otrzymuje więcej towarów za tę samą wartość. Co się tyczy wynalazcy, to konkurencja sprawia, iż zysk jego spada stopniowo do ogólnego poziomu zysków. Czy p. Proudhon dowiódł tego twierdzenia tak, jak zamierzał to uczynić? Nie. To mu wszelako nie przeszkadza zarzucać ekonomistom, że tego dowodu nie przeprowadzili. Aby przekonać go, że jest przeciwnie, zacytujemy tylko Ricarda i Lauderdale'a. Ricardo stoi na czele szkoły określającej war-

tość czasem pracy; Lauderdale jest jednym z najgorętszych obrońców określania wartości przez podaż i popyt. Obaj dowodzą tego samego twierdzenia.

«Zwiększając nieustannie łatwość produkowania, zmniejszamy nieustannie wartość niektórych rzeczy produkowanych przedtem, jakkolwiek w ten sposób nie tylko pomnażamy bogactwo narodowe, lecz wzmagamy też możność produkowania na przyszłość... Gdy tylko za pomocą maszyn albo wiadomości z fizyki zmuszamy siły przyrody do spełniania pracy, którą przedtem wykonywał człowiek, wartość wymienna wytworu tej pracy w konsekwencji spada. Jeżeli trzeba było dziesięciu ludzi do obracania młyna, a odkryto, że z pomocą wiatru lub wody można oszczędzić sobie pracy tych dziesięciu ludzi, to od tej chwili mąka będąca rezultatem pracy tego młyna, straciłaby na wartości proporcjonalnie do sumy zaoszczędzonej pracy; społeczeństwo wzbogaciłoby się o całą wartość rzeczy, które by mogła wyprodukować praca tych dziesięciu ludzi, gdyż fundusze na ich utrzymanie nie zmniejszyły się przez to w najmniejszym stopniu» (*Ricardo* [II, 59]).

Lauderdale ze swej strony powiada:

«Zysk z kapitałów pochodzi zawsze stąd, że biorą one na się cząstkę pracy, którą by człowiek musiał własnymi wykonać rękoma, lub też stąd, że spełniają one część pracy przekraczającą osobiste wysiłki człowieka i której on by sam wykonać nie potrafił. Drobne rozmiary zysku, który na ogół mają właściciele maszyn w porównaniu do ceny pracy rąk, zastępowanych przez maszynę, zrodzą być może wątpliwości, czy powyższy pogląd nasz jest słuszny. Pompa parowa np. więcej wyciąga wody dziennie z kopalni węgla, niż mogłoby z niej wynieść wiadrami trzystu ludzi, nawet utworzywszy łańcuch, nie ulega więc wątpliwości, że spełnia ona za nich tę pracę znacznie mniejszym kosztem. Tak samo ma się sprawa z wszystkimi maszynami. Muszą one po niższej cenie wykonywać pracę tych rąk ludzkich, które zastąpiły ... Przypuśćmy, że otrzymał oto patent wynalazca jakiejś maszyny wykonującej pracę czterech ludzi; ponieważ wskutek posiadanego przezeń przywileju wyłączności nie może on mieć żadnej konkurencji prócz tej, która wynika z pracy rąk roboczych, jest rzeczą jasną, iż ich płaca robocza, przez cały czas trwa-

nia tego przywileju, będzie stanowiła miernik ceny nakładanej przez wynalazcę na jego wytwory; tzn., że chcąc zapewnić sobie zamówienia, wynalazca żądać będzie nieco mniej, niż wynosi płaca robocza za pracę, którą jego maszyna zastępuje. Lecz po wygaśnięciu przywileju patentowego pojawią się inne maszyny tego samego rodzaju i zaczną z jego maszyną konkurować. Wówczas będzie on wyznaczał cenę według ogólnej zasady uzależniając ją od ilości maszyn. Zysk od wyłożonego kapitału..., choć jest wynikiem zastąpionej przez maszynę pracy, normuje się ostatecznie nie według wartości tej pracy, lecz jak i we wszystkich innych przypadkach, według konkurencji między właścicielami kapitałów, a jego poziom określa się zawsze przez stosunek ilości kapitałów na ten cel zaofiarowanych do ich zapotrzebowania».

Ostatecznie tedy, dopóki zysk będzie większy niż w innych gałęziach przemysłu, kapitały napływać będą do tej nowej jego gałęzi, aż stopa zysku w niej spadnie nareszcie do ogólnego poziomu.

Widzieliśmy przed chwilą, iż przykład z kolejami żelaznymi zupełnie się nie nadaje po temu, aby rzucić jakiekolwiek światło na fikcję społeczeństwa-osoby. Niemniej p. Proudhon odważnie podejmuje swoje rozważania: «Wyjaśniwszy te punkty nie ma nic łatwiejszego jak wytłumaczyć, dlaczego praca każdego wytwórcy powinna pozostawiać mu pewną nadwyżkę».

To, co teraz następuje, należy do starożytności klasycznej. Jest to opowieść poetycka, mająca na celu odpoczynek czytelnika po trudach, które musiała mu sprawić ścisłość matematyczna poprzednich dowodów. Społeczeństwu-osobie p. Proudhon nadaje imię *Prometeusza*, którego czyny bohaterskie sławi w następujący sposób:

«Wychodząc z łona przyrody Prometeusz zrazu budzi się do życia w pełnym uroku bezwładzie itd. Prometeusz bierze się do dzieła i zaraz od pierwszego dnia — będącego pierwszym dniem powtórnego stworzenia — wytwór Prometeusza, czyli jego bogactwo, jego dobrobyt równa się dziesięciu. Drugiego dnia Prometeusz dzieli swoją pracę i jego wytwór staje się równy stu. Trzeciego dnia oraz każdego z dni następnych Prometeusz wynajduje maszyny, odkrywa nowe użyteczne własności ciał, nowe siły przyrody... Z każdym krokiem jego przemysłowej działalności cyfra jego produkcji wzrasta i zwia-

stuje mu nowy przyrost szczęścia. A ponieważ wreszcie spożywać jest to dla niego produkować, rzecz przeto jasna, że każdy dzień spożycia — przy zużywaniu tylko wytworu dnia poprzedniego — pozostawia mu pewną nadwyżkę na dzień następny».

Ten Prometeusz p. Proudhona jest to zabawna osoba, równie słaba w logice jak w ekonomii politycznej. Dopóki poprzestaje on tylko na tym, że nas poucza, jak to podział pracy, zastosowanie maszyn, posługiwanie się siłami przyrody i wiedzą naukową pomnażają siły wytwórcze ludzi i dają im nadwyżkę w porównaniu z tym, co wytwarza samotna praca, ten nowy Prometeusz ma tylko to nieszczęście, że zjawia się za późno. Ale skoro się tylko zabiera do rozprawiania o produkcji i konsumpcji, staje się doprawdy komiczny. Spożywać to znaczy dla niego wytwarzać; spożywa on dnia następnego to, co poprzedniego dnia wytworzył, i w ten sposób ma zawsze jeden dzień w zapasie; ten zapasowy dzień stanowi jego «nadwyżkę pracy». Ale jeżeli spożywa nazajutrz to, co wytworzył w dniu poprzednim, to trzeba było przecież, aby pierwszego dnia, który nie miał dnia poprzedzającego, Prometeusz pracował za dwa dni, aby móc w następstwie mieć ów dzień zapasowy. Jakże on tedy owego dnia pierwszego uzyskał tę nadwyżkę, kiedy nie było wtedy jeszcze ani podziału pracy, ani maszyn, ani nawet znajomości żadnych innych sił fizycznych oprócz siły ognia? A więc przez to, że sprawa została cofnięta «aż do pierwszego dnia powtórnego stworzenia», nie postąpiła ona ani kroku naprzód. Ten sposób wyjaśniania rzeczy ma w sobie coś zarazem z greki i z hebrajszczyzny, jest jednocześnie mistyczny i alegoryczny i daje p. Proudhonowi całkowite prawa do powiedzenia: «I w teorii, i faktami dowiodłem zasady, że wszelka praca musi zostawiać nadwyżkę».

Te fakty — to słynny rachunek postępowy, a ta teoria — to mit o Prometeuszu.

«Wszelako — ciągnie dalej p. Proudhon — ta zasada, tak niewątpliwa jak twierdzenie arytmetyczne, daleka jest jeszcze od tego, aby urzeczywistnić się dla wszystkich. Podczas gdy postęp przemysłu zbiorowego sprawia, że każdy dzień pracy indywidualnej przynosi coraz to większy wytwór, a przeto siłą logicznej konieczności robotnik przy tej samej płacy roboczej powinien stawać się co dzień

bogatszy, istnieją przecież w społeczeństwie warstwy, które się zbogacają, i inne, które giną z nędzy».

W 1770 r. ludność zjednoczonego królestwa Wielkiej Brytanii wynosiła 15 milionów, a ludność produkująca — 3 miliony. Wydajność technicznych sił wytwórczych równała się dodatkowej ludności 12 milionów, tak że ogółem było 15 milionów sił produkujących. W ten sposób stosunek sił wytwórczych do ludności miał się jak 1 do 1 a stosunek wydajności technicznej do wytwórczości pracy ręcznej jak 4 do 1.

W 1840 r. ludność nie przekraczała 30 milionów: ludność wytwarzająca wynosiła 6 milionów, gdy tymczasem techniczna siła wytwórcza osiągnęła 650 milionów, czyli miała się do ogółu ludności jak 21 do 1, a do wydajności pracy ręcznej jak 108 do 1.

W społeczeństwie angielskim przeto w ciągu lat siedemdziesięciu wydajność dnia roboczego osiągnęła nadwyżkę 2700 procent wytwórczości, tzn. że w 1840 r. wyprodukowano dwadzieścia siedem razy tyle co w roku 1770. Według p. Proudhona przeto należałoby zadać sobie następujące pytanie: Dlaczego robotnik angielski w 1840 r. nie był dwadzieścia siedem razy bogatszy od robotnika z 1770 r.? Pytanie tego rodzaju kazałoby oczywiście z góry przypuszczać, że Anglicy mogli byli wytworzyć te bogactwa bez warunków historycznych, w których one zostały wytworzone, jako to: bez nagromadzenia prywatnych kapitałów, nowożytnego podziału pracy, użycia maszyn, anarchicznej konkurencji, pracy najemnej, słowem, bez tego wszystkiego, co się opiera na przeciwieństwie klas. Lecz to właśnie były nieodzowne warunki istnienia i rozwoju sił wytwórczych tudzież nadwyżki pracy. Aby więc osiągnąć te siły wytwórcze i tę nadwyżkę pracy, było rzeczą konieczną, ażeby istniały klasy, które się wzbogacają, i inne, które giną z nędzy.

Czymżeż więc jest nareszcie ów wskrzeszony przez p. Proudhona Prometeusz? Jest to społeczeństwo, są to stosunki społeczne oparte na antagonizmie klas. Stosunki te — to nie stosunki jednostki do jednostki, lecz robotnika do kapitalisty, dzierżawcy do właściciela ziemskiego itd. Zniweczcie te stosunki, a unicestwicie całe społeczeństwo i wasz Prometeusz będzie już tylko widmem bez rąk i bez nóg, tj. bez maszyn i bez podziału pracy, bez tego wszystkiego wreszcie,

w coście go początkowo wyposażyli, aby mu umożliwić osiągnięcie owej nadwyżki pracy.

Jeżeli tedy w teorii wystarczało, jak to p. Proudhon czyni, zinterpretować formułę nadwyżki pracy w sensie równości, nie biorąc pod uwagę obecnych warunków produkcji, to i w praktyce powinno by wystarczyć przeprowadzenie pośród robotników równego podziału wszystkich istniejących obecnie bogactw, nic nie zmieniając w obecnych warunkach produkcji. Podział taki, nie ma co mówić, nie zapewniłby biorącym w nim udział zbyt wielkiego dobrobytu.

Pan Proudhon nie jest jednak takim pesymistą, za jakiego można by go uważać. Ponieważ proporcjonalność jest dla niego wszystkim, musi on przeto w owym Prometeuszu, takim jak on dziś jest, tzn. w obecnym społeczeństwie, dopatrywać się początku urzeczywistniania się ulubionej swej idei.

«Lecz postęp bogactwa, tj. *proporcjonalność wartości*, jest prawem panującym wszędzie, i gdy ekonomiści przeciwstawiają skargom partii socjalistycznej postępujący wzrost bogactwa narodowego oraz ulgi, których doznają nawet najnieszczęśliwsze klasy, to głoszą oni, sami nawet tego nie podejrzewając, prawdę będącą potępieniem ich teoryj».

Cóż to jest w rzeczy samej to mienie społeczne, bogactwo narodowe? Jest to bogactwo burżuazji, a nie każdego poszczególnego jej członka. Dobrze; ale ekonomiści nie zrobili nic innego, jak tylko wykazali, w jaki sposób w takich jak dziś istniejących stosunkach produkcji bogactwo burżuazji rozwinęło się i że ono musi dalej jeszcze wzrastać. Co się zaś tyczy klasy robotniczej, to jeszcze wielkie pytanie, czy jej położenie polepszyło się wskutek wzrostu bogactwa rzekomo publicznego. Gdy ekonomiści przytaczają nam tutaj na poparcie swego optymizmu przykład robotników angielskich z przemysłu bawełnianego, to biorą oni pod uwagę tylko ich sytuację w rzadkich momentach przemysłowego rozkwitu. Te momenty rozkwitu znajdują się w «słusznej proporcjonalności» do okresów kryzysu i stagnacji jak 3 do 10. A może też, mówiąc tu o polepszeniu, ekonomiści mieli na myśli owe miliony robotników, którzy musieli zginąć w Indiach wschodnich, ażeby milionowi i pół robotników

zatrudnionych w tym samym przemyśle w Anglii zapewnić trzy lata dobrobytu na każde lat dziesięć.

Inaczej natomiast przedstawia się kwestia chwilowego udziału we wzroście bogactwa narodowego. Fakt tego udziału tłumaczy się teorią ekonomistów. Jest on jej potwierdzeniem, a bynajmniej nie «potępieniem», jak mówi p. Proudhon. Gdyby tu było co do potępienia, to byłby to oczywiście systemat p. Proudhona, który jak wykazaliśmy to, sprowadziłby robotnika do minimum płacy roboczej i to pomimo zwiększenia się bogactwa. Jedynie skazując go na to minimum płacy, p. Proudhon mógł zastosować do pracy zasadę słusznej proporcjonalności wartości, zasadę «wartości ukonstytuowanej» przez czas pracy. Tylko dlatego, że pod wpływem konkurencji płaca robocza waha się powyżej i poniżej ceny środków spożywczych niezbędnych do utrzymania robotnika, może on w pewnej bardzo nieznacznej mierze skorzystać z rozwoju bogactwa społecznego, ale też może również umrzeć z nędzy. Oto cała teoria ekonomistów, którzy nie mają tutaj żadnych złudzeń.

Po swych długich dygresjach na temat kolei żelaznych, Prometeusza oraz nowego społeczeństwa, które należy przebudować na podstawie «wartości ukonstytuowanej», p. Proudhon skupia ducha, popada we on — wykreślii wzruszenie i wykrzykuje tonem ojcowskim:

«*Zaklinam* ekonomistów, aby zadali sobie na chwilę pytanie w głębi serc swoich, z dala od przesądów, które im mącą myśli, oraz bez względu na zajmowane przez się lub spodziewane stanowiska, na interesy, którym służą, na głosy, które chcą pozyskać, na odznaczenia, które schlebiają ich próżności — by pomyśleli i odpowiedzieli, czy zasadę, w myśl której wszelka praca winna dawać pewną nadwyżkę, wyobrażali oni sobie do dnia dzisiejszego z całym tym łańcuchem przesłanek i wniosków, któreśmy poruszyli».

ROZDZIAŁ DRUGI

METAFIZYKA EKONOMII POLITYCZNEJ

§ 1

METODA

Oto jesteśmy teraz w sercu Niemiec! Będziemy więc musieli o metafizyce mówić nie przestając rozprawiać o ekonomii politycznej. A i w tym także podążamy jedynie za «sprzecznościami» p. Proudhona. Przed chwilą zmuszał on nas, byśmy mówili po angielsku, byśmy się po trosze Anglikami stali. Teraz scena się zmienia, p. Proudhon przenosi nas do lubej ojczyzny naszej i zmusza, byśmy znowu — pomimo swej woli — występowali jako Niemcy.

Jeśli Anglik przemienia ludzi w kapelusze, to Niemiec kapelusze w idee przemienia. Anglik — to Ricardo, bogaty bankier i wybitny ekonomista; Niemiec — to Hegel, zwykły profesor filozofii uniwersytetu berlińskiego.

Ludwik XV, ostatni król z władzą nieograniczoną i przedstawiciel upadku monarchii francuskiej, miał przybocznego lekarza, który był znowu pierwszym ekonomistą Francji. Ten lekarz-ekonomista reprezentował bliski i niechybny tryumf francuskiej burżuazji. Doktor Quesnay uczynił z ekonomii politycznej naukę i streścił ją w swym słynnym «Tableau Économique» [«Tablica ekonomiczna»]. Oprócz tysiąca i jednego komentarza do tego dzieła mamy też i jeden, spod pióra samego doktora. Jest to «L'Analyse du Tableau Économique» [«Analiza tablicy ekonomicznej»] opatrzona «siedmioma *ważnymi uwagami*».

Pan Proudhon jest Quesnayem metafizyki ekonomii politycznej.

I otóż metafizyka, jak i cała filozofia streszcza się zdaniem Hegla w metodzie. Będziemy więc musieli starać się wyjaśnić metodę p. Proudhona, która jest co najmniej równie ciemna jak «Tableau Économique». W tym celu uczynimy siedem mniej lub więcej ważnych uwag. Jeżeli doktor Proudhon nie będzie z tych naszych uwag zadowolony, to cóż, odegra rolę opata Baudeau i da nam sam «objaśnienie metody ekonomiczno-metafizycznej».

Uwaga pierwsza

«Nie kreślimy tu *historii według porządku czasu*, ale *według następstwa idei. Fazy* albo *kategorie* ekonomiczne *przejawiają się* to równocześnie, to w porządku odwróconym... Niemniej jednak teorie ekonomiczne mają swoje *następstwo logiczne* i swoją *seryjność w umyśle;* pochlebiamy sobie, żeśmy ten właśnie porządek odkryli» (*Proudhon,* t. I, str. 146).

Stanowczo p. Proudhon pragnął widać nastraszyć Francuzów bijąc w nich tymi quasi-heglowskimi frazesami. Z dwoma mężami tedy mamy obecnie do czynienia: naprzód z p. Proudhonem, potem z Heglem.Czym różni się p. Proudhon od innych ekonomistów? I jaką rolę odgrywa Hegel w ekonomii politycznej p. Proudhona?

Ekonomiści przedstawiają burżuazyjne stosunki produkcji, podział pracy, kredyt, pieniądz itd. jako kategorie stałe, niewzruszone, wieczne. Pan Proudhon, który zastaje te kategorie już całkowicie ukształtowane, chce nam wytłumaczyć proces powstawania, rodzenia się tych kategorii, tych zasad, praw, idei, myśli.

Ekonomiści wyjaśniają nam, jak się w danych stosunkach produkuje, lecz czego nam nie tłumaczą, to tego, jak te stosunki powstają, tego ruchu historycznego, co je ze siebie wydał. Pan Proudhon, wziąwszy te stosunki za zasady, kategorie, myśli oderwane, ma tylko wprowadzić *porządek* do tych myśli, które znajduje się ułożone alfabetycznie na końcu każdej rozprawy z ekonomii politycznej. Za materiał służy ekonomistom ruchliwe i czynne życie ludzkie, a p. Proudhonowi — dogmaty ekonomistów. Gdy się wszelako nie bierze pod uwagę rozwoju dziejowego stosunków produkcji, który w kategoriach

tych znajduje tylko swój teoretyczny wyraz, gdy się w kategoriach tych chce widzieć tylko idee, samorzutne myśli, niezależne od realnych stosunków, wtedy siłą rzeczy jest się zmuszonym uznać za źródło tych myśli ruch czystego rozumu. Jakim sposobem rodzi te myśli rozum czysty, wieczny, nieosobowy? Jak postępuje, by je z siebie wydać?

Gdybyśmy posiadali nieustraszoność p. Proudhona w sprawach heglizmu, powiedzielibyśmy: rozum odróżnia się sam w sobie od samego siebie. Co to znaczy? Rozum bezosobowy, nie mając na zewnątrz ani gruntu, na którym by mógł stanąć, ani przedmiotu, któremu by mógł się przeciwstawić, ani podmiotu, z którym mógłby się zestawiać, widzi się zmuszony wywrócić koziołka, stawiając samego siebie, przeciwstawiając się samemu sobie i zestawiając się z sobą samym — postawienie, przeciwstawienie, zestawienie. Mówiąc po grecku: teza, antyteza i synteza. Kto nie zna języka heglowskiego, temu powiemy sakramentalną formułę: twierdzenie [afirmacja], przeczenie [negacja] oraz przeczenie przeczenia [negacja negacji]. Oto, co się nazywa mówić. To z przeproszeniem p. Proudhona nie jest wprawdzie żadna hebrajszczyzna; lecz to język owego czystego rozumu, oderwanego od jednostki. Zamiast zwykłej jednostki z jej zwykłym sposobem mówienia i myślenia, mamy tutaj tylko ów zwykły sposób sam w sobie, bez jednostki.

Czyż można się dziwić, że w ostatecznym oderwaniu, w abstrakcji — bo mamy tutaj abstrakcję, a nie analizę — każda rzecz przedstawia się w postaci kategorii logiki? Czyż podobna się dziwić, że pozostawiając stopniowo na boku wszystko, co stanowi o indywidualności danego domu, abstrahując od materiałów, z których on się składa, od kształtów, którymi się odznacza, dojdziecie do tego, że będziecie mieli tylko pewne ciało; że abstrahując od granic, zarysów tego ciała, wkrótce mieć będziecie tylko przestrzeń; że wreszcie abstrahując od rozmiarów tej przestrzeni skończycie na tym, że będziecie mieli tylko ilość w jej czystej postaci, kategorię logiczną ilości? Abstrahując w ten sposób od wszelkiego podmiotu, od wszystkich rzekomych cech przypadkowych, ożywionych czy nieożywionych, ludzi czy rzeczy, mamy prawo powiedzieć, że w abstrakcji ostatecznej dochodzi się do tego, że jako substancję ma się jedynie kategorie logiki. Tak oto metafizycy, którzy dokonywając tych abstrakcji wy-

obrażają sobie, iż dokonywają analizy, i którzy w miarę tego, jak się coraz więcej odrywają od przedmiotów, wyobrażają sobie, iż coraz więcej w nie wnikają — ci metafizycy mają z kolei słuszność utrzymując, iż tu na ziemi rzeczy są to jedynie wyszycia, dla których kategorie logiki stanowią tło, kanwę. I tym oto różnią się od siebie filozof i chrześcijanin, że chrześcijanin, wbrew logice, zna tylko jedno wcielenie «*Logosu*» [«Słowa»]; filozof zna tych wcieleń ilość nieskończoną. Że zaś wszystko, co istnieje, że wszystko, co żyje na ziemi i pod wodą, z pomocą abstrakcji sprowadzone być może do kategorii logiki i że w ten sposób w końcu cały świat rzeczywisty utonąć może w świecie abstrakcyj, w świecie kategorii logicznych — któż się będzie temu dziwił?

Wszystko, co istnieje, co żyje na ziemi i w wodzie, istnieje i żyje tylko dzięki pewnemu ruchowi. Więc ruch historii wytwarza stosunki społeczne, ruch przemysłowy daje nam produkty przemysłowe itd., itd.

Jak za pomocą abstrakcji przetworzyliśmy wszelką rzecz w kategorię logiczną, tak samo wystarczy, abyśmy abstrahowali od wszystkich odróżniających własności rozmaitych ruchów, a dojdziemy do ruchu w postaci oderwanej, do ruchu czysto formalnego, do czysto logicznej formuły ruchu. Jeżeli substancję wszystkich rzeczy widzi się w kategoriach logicznych, to można sobie wyobrazić, że w formule logicznej ruchu znalazło się *absolutną metodę*, która nie tylko każdą rzecz tłumaczy, ale zawiera w sobie ponadto ruch każdej rzeczy.

O tej właśnie metodzie absolutnej Hegel wyraża się tymi słowy: «Metoda jest to siła absolutna, jedyna, najwyższa, nieskończona, której żadna rzecz nie zdoła się oprzeć, jest to dążność rozumu do odnalezienia i poznania siebie samego w każdej rzeczy» (*Logika*, t. III).

Gdy się sprowadzi każdą rzecz do jakiejś kategorii logicznej, a każdy ruch, każdy akt wytwarzania do metody, to wynika stąd samo przez się, że ogół produktów i produkcji, przedmiotów i ruchu sprowadza się do metafizyki stosowanej. To, co Hegel zrobił dla religii, prawa itd., to p. Proudhon stara się uczynić dla ekonomii politycznej.

Czymże jest tedy owa metoda absolutna? Abstrakcją ruchu. Czym jest abstrakcja ruchu? Ruchem w stanie abstrakcyjnym. Co to jest ruch w stanie abstrakcyjnym? Czysto logiczna formuła ruchu albo

ruch czystego rozumu. Na czym polega ruch czystego rozumu? Na tym, że stawia [zakłada] on samego siebie, przeciwstawia siebie samemu sobie i zestawia z samym sobą, że formułuje się jako teza, antyteza i synteza; albo na tym wreszcie, że on stwierdza siebie, zaprzecza sobie i zaprzecza swemu przeczeniu siebie.

Co czyni rozum, aby stwierdzić siebie, aby się postawić jako pewną określoną kategorię? Jest to już rzeczą samego rozumu i jego obrońców.

Lecz skoro on już raz do tego dojdzie, że postawi siebie samego jako tezę, wtedy ta teza, ta myśl przeciwstawiona samej sobie, rozdziela się na dwie myśli sprzeczne, twierdzenie i przeczenie, *tak i nie*. Walka tych dwóch przeciwnych żywiołów, zawartych w antytezie, tworzy ruch dialektyczny. *Tak* staje się *nie*, *nie* staje się *tak*, *tak* staje się jednocześnie *tak i nie*, *nie* staje się jednocześnie *nie i tak*; przeciwieństwa równoważą się, neutralizują, znoszą. Zlanie się z sobą tych dwóch myśli sprzecznych tworzy myśl nową, która jest ich syntezą. Ta nowa myśl rozszczepia się znowu na dwie myśli sprzeczne, które z kolei zlewają się z sobą w nową syntezę. Z tej pracy rodzenia tworzy się grupa myśli. Ta grupa myśli przechodzi taki sam ruch dialektyczny jak prosta kategoria i ma za antytezę grupę sobie sprzeczną. Z tych dwóch grup myśli rodzi się nowa grupa myśli będąca ich syntezą.

Podobnie jak z ruchu dialektycznego prostych kategoryj rodzi się grupa, tak z ruchu dialektycznego seryj rodzi się cały systemat. Zastosujcie tę metodę do kategoryj ekonomii politycznej, a będziecie mieli logikę i metafizykę ekonomii politycznej albo, innymi słowy, będziecie mieli znane wszystkim kategorie ekonomiczne przełożone na mało znany język, który nadaje im taki pozór, jak gdyby świeżo się one wylęgły w głowie czystym rozumem będącej; do tego stopnia kategorie te zdają się rodzić jedne drugie, zazębiać się z sobą i splatać jedne z drugimi samą pracą ruchu dialektycznego. Niech się czytelnik nie przestrasza tej metafizyki z całym jej rusztowaniem kategoryj, grup, seryj i systematów. Mimo wielkiego trudu, który p. Proudhon sobie zadał, aby się wydostać na wysokość *systematu sprzeczności*, nie zdołał on nigdy wznieść się wyżej niż na dwa pierwsze szczeble prostej tezy i antytezy, a i to wkroczył na nie zaledwie dwa razy, a z tych dwóch razy raz się na wznak przewrócił.

Dotychczas też wykładaliśmy tylko dialektykę Hegla. Zobaczymy później, jak się udało p. Proudhonowi sprowadzić ją do możliwie mizernych rozmiarów. Dla Hegla tedy wszystko, cokolwiek się działo i co się jeszcze dzieje, jest akurat tym, co zachodzi we własnym jego myśleniu. Tak więc filozofia historii jest już tylko historią filozofii, jego własnej filozofii. Nie ma już «historii według porządku czasu», jest tylko «następstwo idei w rozumie». Wyobraża on sobie, iż buduje świat ruchem myśli, gdy on tymczasem tylko przebudowuje systematycznie i układa według absolutnej metody myśli będące w głowach wszystkich.

Uwaga druga

Kategorie ekonomiczne są jedynie wyrażeniami teoretycznymi, abstrakcjami społecznych stosunków produkcji. Pan Proudhon, jak prawdziwy filozof, bierze rzeczy na odwrót i widzi w stosunkach rzeczywistych tylko wcielenia tych zasad, tych kategorii, które drzemały — mówi to nam znowu p. Proudhon-filozof — w łonie «nieosobowego rozumu ludzkości».

Pan Proudhon-ekonomista zrozumiał wybornie, że ludzie wyrabiają sukno, płótno, tkaniny jedwabne w pewnych określonych stosunkach produkcji. Lecz czego nie zrozumiał, to tego, że te określone stosunki społeczne są równie dobrze przez ludzi tworzone, jak płótno, len itp. Stosunki społeczne są ściśle związane z siłami wytwórczymi. Zdobywając nowe siły wytwórcze ludzie zmieniają swój sposób produkcji, a zmieniając swój sposób produkcji, sposób zarabiania na życie, zmieniają wszystkie swoje stosunki społeczne. Żarna dają nam społeczeństwo panów feudalnych, młyn parowy — społeczeństwo kapitalistów przemysłowych.

Ci sami ludzie, którzy układają stosunki społeczne zgodnie ze swą wytwórczością materialną, wytwarzają również zasady, idee, kategorie zgodnie ze swymi stosunkami społecznymi.

Toteż te idee, te kategorie są równie mało wieczne jak i stosunki, których są wyrazem. Stanowią *wytwory historyczne i przemijające.*

Istnieje ciągły ruch wzrostu sił wytwórczych, burzenia stosunków społecznych, tworzenia się idei; nieruchoma jest tylko abstrakcja ruchu — *mors immortalis* [nieśmiertelna śmierć].

Uwaga trzecia

Stosunki produkcji każdego społeczeństwa tworzą jedną całość. Pan Proudhon rozpatruje stosunki ekonomiczne jako tyleż faz społecznych rodzących jedna drugą, wynikających jedna z drugiej jak antyteza z tezy i realizujących w logicznym swym następstwie nieosobowy rozum ludzkości.

Jedyna niedogodność tej metody polega na tym, że przystępując do badania jakiejś jednej z owych faz, p. Proudhon nie może jej wytłumaczyć nie uciekając się w tym celu do wszystkich innych stosunków społecznych — do tych stosunków, których przecież jeszcze przez swój ruch dialektyczny nie wytworzył. Gdy następnie z pomocą czystego rozumu przechodzi do tworzenia innych faz, poczyna on sobie z nimi w ten sposób, jak gdyby to były nowonarodzone dzieci, zapominając, że są w tym samym wieku co i pierwsza.

Tak tedy, aby móc ukonstytuować wartość, będącą według niego podstawą wszelkiego rozwoju ekonomicznego, nie mógł się on obejść bez podziału pracy, konkurencji itd. A tymczasem w *serii*, w *rozumie* p. Proudhona, w *następstwie logicznym* te stosunki jeszcze nie istniały.

Wznosząc z pomocą kategorii ekonomii politycznej gmach systematu ideologicznego, rozprzęga się członki systemu społecznego. Zmienia się różne człony społeczeństwa w tyleż oddzielnych społeczeństw, które jedne po drugich następują. Bo w rzeczy samej jakim sposobem formuła logiczna ruchu, następstwa, czasu mogłaby sama jedna wytłumaczyć organizm społeczeństwa (le corps de la société), gdzie wszystkie stosunki istnieją równocześnie i wzajem się wspierają?

Uwaga czwarta

Zobaczymy obecnie, jakie modyfikacje wprowadza p. Proudhon do dialektyki heglowskiej stosując ją do ekonomii politycznej.

Jego, p. Proudhona, zdaniem, każda kategoria ekonomiczna posiada dwie strony: dobrą i złą. Zapatruje się on na kategorie w taki sposób, jak drobnomieszczanin na wielkie postacie historyczne: *Napoleon* — to wielki człowiek; zrobił dużo dobrego, zrobił też dużo złego.

Strona dobra i strona zła, korzyść i niedogodność, wzięte razem, tworzą według p. Proudhona *sprzeczność* w każdej kategorii ekonomicznej.

Zadanie do rozwiązania: zachować stronę dobrą, a usunąć złą.

Niewolnictwo jest kategorią ekonomiczną jak każda inna. A więc i ono ma również dwie strony. Pozostawmy na boku złą, a pomówmy o pięknej stronie niewolnictwa: rozumie się, że chodzi tu tylko o niewolnictwo w ścisłym znaczeniu wyrazu, niewolnictwo czarnych w Surinamie, w Brazylii, w stanach południowych Ameryki Północnej.

Niewolnictwo takie jest osią przemysłu burżuazyjnego, podobnie jak maszyny, kredyt itd. Bez niewolnictwa nie byłoby bawełny; a bez bawełny nie istniałby nowoczesny przemysł. Niewolnictwo nadało wartość koloniom, kolonie stworzyły handel światowy, a handel światowy — to warunek wielkiego przemysłu. Niewolnictwo zatem jest kategorią ekonomiczną największej wagi.

Bez niewolnictwa Ameryka Północna, kraj najbardziej postępowy, zamieniłaby się w kraj patriarchalny*. Wykreślcie Amerykę Północną z mapy świata, a będziecie mieli anarchię, zupełny upadek handlu i cywilizacji nowoczesnej. Znieście niewolnictwo, a wykreślicie Amerykę z mapy świata.

Dlatego też niewolnictwo, jako że jest ono kategorią ekonomiczną, zaliczało się zawsze do społecznych urządzeń narodów. Narody nowożytne nie potrafiły uczynić nic innego, jak tylko maskować niewolnictwo w swych własnych krajach, a Nowemu Światu narzuciły je w sposób otwarty.

---

* Twierdzenie to było w 1847 r. całkowicie słuszne. Handel światowy Stanów Zjednoczonych sprowadzał się wówczas głównie do przywozu emigrantów i produktów przemysłowych oraz do wywozu bawełny i tytoniu, tj. produktów niewolniczej pracy Południa. Stany Północne produkowały głównie zboże i mięso dla stanów niewolniczych. Zniesienie niewolnictwa stało się możliwe dopiero w tym czasie, kiedy Północ zaczęła produkować zboże i mięso na eksport i stała się prócz tego krajem przemysłowym oraz od kiedy w Indiach, Egipcie, Brazylii itd. powstała silna konkurencja dla amerykańskiego monopolu bawełnianego. A nawet i wtedy zniesienie niewolnictwa pociągnęło za sobą ruinę Stanów Południowych, którym nie udało się zastąpić jawnego niewolnictwa Murzynów przez ukryte niewolnictwo hinduskich i chińskich kulisów. — *Przypis F. Engelsa.*

Co uczyni p. Proudhon, aby ocalić niewolnictwo? Postawi on *zadanie* zachować dobrą stronę tej kategorii ekonomicznej, usunąć zaś złą.

Hegel nie stawia sobie zadań. Zna on jedynie dialektykę. Pan Proudhon z dialektyki heglowskiej wziął tylko jej język. Jego własna metoda dialektyczna polega tylko na dogmatycznym odróżnianiu dobrego od złego.

Weźmy na chwilę samego p. Proudhona jako kategorię. Zbadajmy dobrą i złą jego stronę, jego zalety i usterki.

Jeżeli ma on nad Heglem tę przewagę, iż stawia zadania, których rozwiązanie zastrzega sobie dla dobra ludzkości — to ma też i tę wadę, że okazuje się zupełnie bezpłodny, kiedy chodzi o to, ażeby w porodzie dialektycznym wydać na świat jakąś nową kategorię. Ruch dialektyczny polega właśnie na tym, aby współistniały ze sobą dwie strony sprzeczne, aby walczyły i zlewały się w jedną nową kategorię. Już przez to samo, że się sobie stawia za zadanie usunąć złą stronę, kładzie się kres ruchowi dialektycznemu. To nie kategoria stawia się i przeciwstawia tutaj sama sobie przez sprzeczną swą naturę, ale to p. Proudhon wzrusza się, przejmuje, męczy i szamoce pomiędzy dwiema stronami kategorii.

Wpadłszy w ten sposób w ślepy zaułek, skąd legalnymi środkami wydostać się nie podobna, p. Proudhon robi rozpaczliwy wysiłek i jednym skokiem przenosi się do dziedziny nowej kategorii. I wówczas to przed jego zdziwionymi oczyma odsłania się *seria w rozumie*.

Bierze on pierwszą lepszą kategorię i samowolnie przypisuje jej zdolność usuwania niedogodności kategorii, o której oczyszczenie chodzi. Tak więc podatki, jeżeli można wierzyć p. Proudhonowi, usuwają niedogodności monopolu; bilans handlowy — niedogodności podatków; własność gruntowa — złe strony kredytu.

Biorąc w ten sposób kolejno kategorie ekonomiczne jedną po drugiej i robiąc z jednej z nich *antidotum* przeciwko drugiej, p. Proudhon z pomocą tej mieszaniny sprzeczności komponuje dwa tomy sprzeczności, którym daje też słuszny tytuł «systemat sprzeczności ekonomicznych».

Uwaga piąta

«W rozumie absolutnym wszystkie te idee... są jednako proste i ogólne... W rzeczywistości dochodzimy do nauki tylko z pomocą pewnego *rodzaju rusztowania wzniesionego z naszych myśli.* Lecz prawda sama w sobie nie zależy od tych figur dialektycznych i wolna jest od kombinacyj naszego umysłu» (*Proudhon*, t. II, str. 97).

Oto nagle przy pomocy pewnego rodzaju ruchu zwrotnego, którego sekret jest nam obecnie znany, metafizyka ekonomii politycznej staje się złudzeniem! Nigdy p. Proudhon nie wyrzekł większej prawdy. Jest rzeczą zrozumiałą, że z chwilą gdy proces ruchu dialektycznego sprowadza się do zwyczajnego chwytu przeciwstawienia dobrego złemu, do stawiania zadań, których dążeniem jest usunięcie złego i czynienie z jednej kategorii odtrutki na drugą, kategorie tracą samorzutność; idea już «nie *działa*», nie ma już w sobie życia. Nie stawia już sama siebie i nie rozkłada się na kategorie. Następstwo kategoryj stało się pewnym rodzajem *rusztowania.* Dialektyka nie jest już więcej ruchem rozumu absolutnego. Nie ma już dialektyki, jest co najwyżej czysta moralność.

Kiedy p. Proudhon mówił o *serii w rozumie, o następstwie logicznym kategoryj,* oznajmiał on stanowczo, że nie chce dawać *historii według porządku czasu,* czyli, zdaniem p. Proudhona, tego następstwa historycznego, w którym kategorie *występowały.* Wszystko podówczas działo się dlań w *czystym eterze rozumu.* Wszystko miało z tego eteru wypływać przy pomocy dialektyki. Teraz, gdy chodzi o to, aby dialektykę tę zastosować, rozum mu nie dopisuje. Dialektyka p. Proudhona sprawia zawód dialektyce Hegla i oto p. Proudhon zmuszony jest powiedzieć, że porządek, w którym wykłada kategorie ekonomiczne, nie jest już porządkiem, w którym one rodzą jedne drugie. Ewolucje ekonomiczne nie są już ewolucjami samego rozumu.

Cóż więc daje nam p. Proudhon? Czy historię rzeczywistą, tj. w rozumieniu p. Proudhona kolejność, w której kategorie *wystąpiły* w porządku czasowym? Nie. Czy historię, jak ona w samej idei zachodzi? Jeszcze mniej nawet. A więc ani historię świecką kategoryj, ani ich historię świętą! Jakąż historię daje on nam wreszcie? Historię

swych własnych sprzeczności. Zobaczmyż, jak te sprzeczności kroczą i jak za sobą p. Proudhona ciągną.

Zanim przystąpimy do tego badania, które da nam powód do uczynienia szóstej znamiennej uwagi, mamy do uczynienia przedtem jeszcze jedną, mniej ważną.

Przypuśćmy wraz z p. Proudhonem, iż historia rzeczywista, historia według porządku w czasie, jest historyczną kolejnością, w której występowały idee, kategorie, zasady.

Każda idea miała swój wiek, w którym występowała: zasada autorytetu np. miała wiek XI, zasada indywidualizmu — wiek XVIII. W konsekwencji tedy nie zasada należała do wieku, lecz wiek do zasady. Innymi słowy, to zasada tworzyła historię, nie zaś historia — zasadę. A kiedy następnie, aby ocalić zarówno zasady jak historię, pytamy się siebie, dlaczego dana zasada występowała w XI albo XVIII w. raczej niż w jakimś innym, zmuszeni jesteśmy zbadać szczegółowo, jacy byli ludzie XI w., jacy — XVIII, jakie były w każdym z tych stuleci ich potrzeby, ich siły wytwórcze, ich sposób produkcji, surowce, z których produkowali, wreszcie jakie to były te stosunki człowieka do człowieka, które wynikały z tych wszystkich warunków egzystencji. Zgłębić wszystkie te kwestie — czyż to nie znaczy napisać rzeczywistą, świecką historię ludzi w każdym stuleciu, przedstawić owych ludzi zarazem jako autorów i aktorów własnego ich dramatu? Lecz z chwilą, kiedy przedstawiacie ludzi jako aktorów i autorów ich własnej historii, to okólną drogą przychodzicie do istotnego punktu wyjścia, ponieważ porzuciliście te wieczne zasady, o których mówiliście z początku.

Pan Proudhon nie posunął się nawet wcale tak daleko na tej ścieżce bocznej, którą kroczy ideolog, aby wyjść na wielki gościniec historii.

Uwaga szósta

Pójdźmyż za p. Proudhonem tą ścieżką boczną.

Przypuśćmy, że stosunki ekonomiczne, rozpatrywane jako *niezmienne prawa, zasady wieczne, kategorie idealne*, istniały przed czynnymi, działającymi ludźmi; przypuśćmy prócz tego, że te prawa, te zasady, te kategorie drzemały od zarania wieków «w nieosobowym

rozumie ludzkości». Widzieliśmy już, że te wszystkie niezmienne wieczności nie pozostawiają już miejsca na historię, że jest wtedy co najwyżej historia w idei, czyli historia, która się odbija w ruchu dialektycznym czystego rozumu. Mówiąc, że w ruchu dialektycznym idee już *się nie różnicują*, p. Proudhon niweczy zarówno *cień ruchu* jak *ruch cieni*, z pomocą których można byłoby stworzyć jeszcze bodajby jakiś pozór historii. Zamiast tego przypisuje on historii swą własną bezsilność, zwala winę na wszystko aż do języka francuskiego włącznie. «Nieścisłą jest więc rzeczą mówić — powiada p. Proudhon-filozof — że coś *się dzieje*, że coś *się tworzy:* w cywilizacji jak we wszechświecie wszystko istnieje, wszystko działa jak zawsze, od wieków. *Tak samo rzeczy się mają i w całej ekonomii społecznej*» (t. II, str. 102).

Siła wytwórcza sprzeczności, które *działają* na p. Proudhona i każą mu działać, jest tak wielka, iż chcąc wytłumaczyć historię, zmuszony jest jej zaprzeczyć; że chcąc wytłumaczyć kolejne pojawienie się stosunków społecznych, przeczy, aby coś dziać się mogło; że chcąc wytłumaczyć produkcję z wszystkimi jej fazami, podaje w wątpliwość, aby *coś mogło być wyprodukowane*.

Tak więc dla p. Proudhona nie ma historii, nie ma kolejności idei, a tymczasem jego książka wciąż istnieje i książka ta jest właśnie, jak on się sam wyraża, *historią według kolejności idei*. Jakże znaleźć formułę — bo p. Proudhon jest człowiekiem formuł — która mu pozwala *jednym skokiem* przesadzić wszystkie te sprzeczności?

Aby móc to uczynić, wynalazł on nowy rozum, nie będący ani rozumem bezwzględnym, czystym i dziewiczym, ani rozumem wspólnym ludziom czynnym i działającym w rozmaitych wiekach, ale rozumem zupełnie odrębnym, rozumem społeczeństwa — osoby, podmiotu «*ludzkość*», który pod piórem p. Proudhona występuje czasem również jako *geniusz społeczny*, *rozum powszechny* i w końcu jako *rozum ludzki*. Ten rozum, tyloma nazwami przystrojony, daje się wszelako co chwila poznać jako indywidualny rozum p. Proudhona z jego dobrymi i złymi stronami, jego odtrutkami i jego zadaniami.

«Rozum ludzki nie stwarza prawdy» ukrytej w głębinach absolutnego, wiecznego rozumu. Może on ją tylko odkrywać. Ale prawdy dotąd przez niego odkryte są niezupełne, nie wystarczające, a zatem

i sprzeczne. Kategorie ekonomiczne, które same są także prawdami odkrytymi, odsłoniętymi przez rozum ludzki, przez geniusz społeczny, są wskutek tego również niezupełne i noszą w sobie zarodek sprzeczności. Przed p. Proudhonem geniusz społeczny widział tylko *przeciwstawiające się sobie żywioły*, nie zaś *formułę syntetyczną*, które to obie rzeczy tkwią jednocześnie w *absolutnym rozumie*. A że stosunki ekonomiczne to nic innego jak tylko urzeczywistnienie na ziemi tych prawd niedostatecznych, tych kategorii niezupełnych, tych pojęć z sobą sprzecznych, przeto i te stosunki są sprzeczne same w sobie i dwie posiadają strony, jedną złą, drugą dobrą.

Znaleźć prawdę całkowitą, pojęcie w jego całej pełni, formułę syntetyczną, która by zniosła sprzeczność — oto zadanie geniusza społecznego. I to jest też przyczyną, dlaczego tenże geniusz społeczny, jak się to p. Proudhonowi roi, był popychany od jednej kategorii do drugiej, ale nie zdołał dotąd, mimo całej baterii tych swoich kategorii, wydrzeć Bogu, absolutnemu rozumowi, żadnej formuły syntetycznej.

«Społeczeństwo (geniusz społeczny) ustanawia zrazu pierwszy fakt, wysuwa *hypotezę* ... istną antynomię, której wyniki przeciwstawne sobie rozwijają się w ekonomii społecznej w taki sam sposób, w jaki by można było wysnuć wnioski z tej antynomii w umyśle; tak że ruch przemysłowy, postępując we wszystkim za dedukcją idei, dzieli się na dwa kierunki: jeden — skutków pożytecznych, drugi — następstw niszczycielskich... Aby harmonijnie ukonstytuować tę dwustronną zasadę i antynomię tę usunąć, społeczność sprawia, iż wyłania się z niej *druga*, za którą pójdzie trzecia, i taką oto drogą *iść będzie* geniusz społeczny aż do czasu, gdy wyczerpawszy wszystkie te sprzeczności — przypuszczam, ale nie jest to dowiedzione, iż sprzeczność w ludzkości kres posiada — geniusz ten jednym skokiem powróci do dawnych swych założeń i w *jednej jedynej formule* rozwiąże wszystkie zagadnienia» (t. I, str. 135).

Jak przedtem *antyteza* zmieniła się w *odtrutkę*, tak teraz *teza* staje się *hipotezą*. Ta zmiana terminów nie ma już w sobie nic takiego, co by nas ze strony p. Proudhona zdziwić mogło. Rozum ludzki, który nie jest ani trochę czysty, w ciasnym będąc zamknięty widnokręgu, na każdym kroku napotyka nowe zagadnienia do rozwiązy-

wania. Każda nowa teza, którą odkrywa w absolutnym rozumie i która jest zaprzeczeniem poprzedzającej tezy, staje się dlań syntezą, którą przyjmuje on dosyć naiwnie jako rozwiązanie danego zagadnienia. Tak się ten rozum wciąż szamoce w coraz to nowych sprzecznościach, aż znajdując się wreszcie u kresu sprzeczności spostrzeże, iż te wszystkie tezy i syntezy są to jedynie sprzeczne z sobą hipotezy. W zakłopotaniu «rozum ludzki, geniusz społeczny jednym skokiem powraca do dawnych swych założeń i w jednej jedynej formule rozwiązuje wszystkie swe zagadnienia». Ta jedna jedyna formuła, powiedzmy mimochodem, stanowi prawdziwe odkrycie p. Proudhona. A jest to *wartość ukonstytuowana.*

Hipotezy stawia się tylko w pewnym określonym celu. Cel, który na pierwszym miejscu stawiał sobie przemawiający ustami p. Proudhona geniusz społeczny, polegał na tym, aby usunąć co jest złego w każdej kategorii ekonomicznej, a zachować tylko jej strony dodatnie. Stroną zaś dodatnią, najwyższym dobrem, istotnym celem praktycznym jest dla niego *równość*. A dlaczegoż to geniusz społeczny bierze sobie za cel raczej równość niż nierówność, niż braterstwo, katolicyzm lub jakąś inną zasadę? Dlatego, że «ludzkość urzeczywistniła kolejno tyle oddzielnych hipotez jedynie ze względu na pewną hipotezę najwyższą», którą jest właśnie równość. Innymi słowy dlatego, że równość jest ideałem p. Proudhona. Wyobraża on sobie, iż podział pracy, kredyt, warsztat, wszystkie stosunki ekonomiczne wynalezione zostały tylko dla dobra równości, że jednak koniec końców zawsze przeciwko niej się zwracały. Z tego, że historia i fikcja p. Proudhona na każdym kroku sobie przeczą, p. Proudhon wnioskuje, że jest sprzeczność. Jeżeli sprzeczność jest, to zachodzi ona tylko między jego urojeniem, a rzeczywistymi zdarzeniami.

Odtąd dobrą stroną jakiegoś stosunku ekonomicznego jest ta, która umacnia równość; złą — ta, która równości przeczy i potęguje nierówność. Wszelka nowa kategoria jest hipotezą geniusza społecznego mającą na celu usunięcie nierówności zrodzonej przez poprzednią hipotezę. Krótko mówiąc, równość stanowi *pierwotną intencję, dążenie mistyczne, cel opatrznościowy*, które geniusz społeczny ma stale na oku, obracając się w kręgu sprzeczności ekonomicznych. Toteż *Opatrzność* jest tą lokomotywą, która szybciej porusza cały bagaż

ekonomiczny p. Proudhona niż jego rozum czysty i zwietrzały. Opatrzności też poświęcił p. Proudhon cały jeden rozdział, który następuje po rozdziale o podatkach.

Opatrzność, cel opatrznościowy — to jest to wielkie słowo, którego używa się dzisiaj, aby wyjaśnić bieg historii. W rzeczywistości zaś nic ono nie wyjaśnia. Bo jest to co najwyżej forma retoryczna, jeden z wielu sposobów interpretacji faktów.

Wiadomo, że w Szkocji własność ziemska zyskała na wartości dzięki rozwojowi przemysłu angielskiego. Przemysł ten otworzył nowe rynki zbytu dla wełny. Aby móc produkować wełnę na wielką skalę, trzeba było zmienić pola orne na pastwiska. By zmiany tej dokonać, trzeba było skoncentrować własność ziemską. By skoncentrować własność tę, trzeba było poznosić drobne fermy, wygnać tysiące dzierżawców z rodzinnych pieleszy i zastąpić ich kilkoma pasterzami dozorującymi milionów owiec. Wskutek tych zmian kolejnych własność ziemska w Szkocji osiągnęła ten wynik, że ludzi zastąpiły owce. Powiedzcie teraz, że celem opatrznościowym instytucji własności ziemskiej w Szkocji było to, aby owce wygnały ludzi, a uprawiać będziecie historię opatrznościową.

Owszem, dążenie do równości jest niewątpliwie cechą naszego stulecia. Wszelako twierdzić wobec tego, że wszystkie wieki poprzednie z ich całkowicie różnymi potrzebami, środkami wytwarzania itd. opatrznościowo pracowały nad urzeczywistnieniem równości, znaczy to przede wszystkim podstawiać na miejsce środków i ludzi poprzednich stuleci ludzi oraz środki naszego stulecia, a następnie zapoznawać ten ruch dziejowy, w którym kolejne pokolenia przetwarzały wyniki osiągnięte przez pokolenia poprzedzające. Ekonomiści wiedzą doskonale, że ta sama rzecz, która była dla jednego materiałem obrobionym, dla drugiego jest tylko surowcem do nowej produkcji.

Przypuśćcie, jak to robi p. Proudhon, że geniusz społeczny wytworzył albo raczej zaimprowizował panów feudalnych w opatrznościowym celu przetworzenia *chłopów czynszowych* (les colons) *w odpowiedzialnych i równych pomiędzy sobą pracowników,* a dokonacie podstawienia celów i osób zupełnie godnego tej Opatrzności, która ustanawiała w Szkocji własność ziemską, ażeby sprawić sobie złośliwą przyjemność i kazać owcom wygnać ludzi.

Lecz ponieważ p. Proudhon tak czule interesuje się Opatrznością, odsyłamy go przeto do «Historii ekonomii politycznej» p. de Villeneuve-Bargemont, który równie jak on ugania się za celem opatrznościowym. Ale ten jego cel to już nie równość, to katolicyzm.

Uwaga siódma i ostatnia

Ekonomiści mają szczególny sposób postępowania. Istnieją dla nich tylko dwa rodzaje instytucyj: jedne sztuczne, drugie naturalne. Instytucje feudalne są sztuczne, a burżuazyjne — naturalne. Są oni w tym podobni do teologów, którzy również ustanawiają dwa rodzaje religii. Wszystkie religie z wyjątkiem tej jednej, której oni są wyznawcami, wymyślili ludzie, gdy tymczasem ich własną religię Bóg objawił. (Twierdząc, że panujące obecnie stosunki — stosunki produkcji burżuazyjnej — są naturalne, ekonomiści chcą przez to powiedzieć, że w tych właśnie stosunkach tworzy się bogactwo i rozwijają się siły wytwórcze zgodnie z prawami natury. A więc i same te stosunki są też prawami naturalnymi i nie podlegają wpływowi czasu. Są to prawa wieczne, które powinny zawsze rządzić społeczeństwem. Historia tedy ongi istniała, ale dzisiaj historii już nie ma. Istniała ona, ponieważ istniały instytucje feudalne, a w tych feudalnych instytucjach znajdujemy stosunki produkcji zupełnie odmienne od stosunków w społeczeństwie burżuazyjnym, które to stosunki z woli ekonomistów mają uchodzić za naturalne, a więc wieczne).

Ustrój feudalny również miał swój proletariat — poddaństwo, w którym tkwiły wszystkie zarodki burżuazji. W wytwórczości feudalnej były również dwa przeciwstawne sobie pierwiastki, zwane tak samo *stroną dobrą i stroną złą* feudalizmu, przy czym nie bierze się pod uwagę, że strona zła zawsze w końcu nad dobrą góruje. I to właśnie zła strona, powodując walkę, wywołuje ruch, który historię tworzy. Gdyby w epoce panowania feudalizmu ekonomiści, zachwyceni cnotami rycerskimi, harmonią między prawem a obowiązkami, patriarchalnym życiem miast, rozkwitem przemysłu domowego po wsiach, rozwojem wytwórczości zorganizowanej w korporacje, cechy, bractwa, słowem, oczarowani tym wszystkim, co stanowi piękną stronę feudalizmu, gdyby ekonomiści wzięli sobie za zadanie usunąć

z tego obrazu wszelkie plamy — poddaństwo, przywileje, anarchię — cóż by się wtedy stało? Zniweczono by wszystkie pierwiastki wywołujące walkę i stłumiono by w zarodku rozwój burżuazji. Postawiono by sobie absurdalne zadanie wyeliminowania historii.

Gdy burżuazja wzięła górę, nie było już więcej mowy ani o dobrej, ani o złej stronie feudalizmu. Siły wytwórcze, które dzięki niej rozwinęły się za feudalizmu, przeszły w jej posiadanie. Wszystkie poprzednie formy ekonomiczne i odpowiadające im stosunki cywilno-prawne tudzież ustrój polityczny będący oficjalnym wyrazem dawnego społeczeństwa — zostały obalone.

Tak więc, aby ocenić słusznie wytwórczość feudalną, należy rozpatrywać ją jako sposób wytwórczości oparty na antagonizmie. Należy pokazać, w jaki sposób tworzyło się bogactwo w łonie tego antagonizmu, jak rozwijały się siły wytwórcze równocześnie z walką klas i jak jedna z tych klas, będąca złą stroną społeczności, wciąż wzrastała, aż dojrzały wreszcie warunki materialne jej emancypacji. Czyż to nie dosyć świadczy o tym, że sposób wytwarzania, że stosunki, w których rozwijają się siły wytwórcze, nie są ani trochę wiecznymi prawami, lecz że odpowiadają one pewnemu określonemu rozwojowi ludzi i ich sił wytwórczych oraz że zmiana, która zajdzie w siłach wytwórczych ludzi, sprowadza z konieczności zmianę w ich stosunkach produkcji? Ponieważ chodzi zawsze przede wszystkim o to, by nie być pozbawionym owoców cywilizacji, nabytych sił wytwórczych, należy tedy kruszyć te tradycyjne formy, w których one zostały wytworzone. Natychmiast potem dana klasa rewolucyjna staje się konserwatywną.

Burżuazja zaczyna, mając proletariat, będący sam resztką proletariatu z czasów feudalnych. W ciągu swego rozwoju dziejowego burżuazja rozwija w sobie z konieczności swój charakter antagonistyczny, który początkowo jest mniej lub więcej zamaskowany i istnieje zaledwie w stanie utajonym. W miarę jak burżuazja się rozwija, rozwija się w jej łonie nowy proletariat, proletariat nowoczesny: rozwija się walka pomiędzy klasą proletariatu a klasą burżuazji — walka, którą nim obie strony poczują, zauważą, ocenią, zrozumieją, przyznają się do niej i głośno ją sobie wydadzą — objawia się zrazu w częściowych i chwilowych zatargach, w burzących starciach. Z dru-

giej strony, jeżeli wszyscy członkowie współczesnej burżuazji mają te same interesy, o ile tworzą jedną klasę, która się przeciwstawia innej, to mają oni interesy sprzeczne, antagonistyczne, gdy przeciwstawiają się sobie nawzajem. Ta sprzeczność interesów wynika z warunków ekonomicznych ich życia burżuazyjnego.

Z każdym dniem przeto staje się widoczniejsze, że stosunki produkcji, wśród których porusza się burżuazja, nie mają charakteru jednolitego, charakteru prostego, lecz odznaczają się dwoistym charakterem; że w tych samych stosunkach, w których powstaje bogactwo, powstaje i nędza; że w tych samych stosunkach, w których zachodzi rozwój sił wytwórczych, wytwarza się też i siła ucisku; że te stosunki rodzą *bogactwo burżuazyjne*, tzn. bogactwo klasy burżuazji, jedynie niszcząc nieustannie bogactwo składających się na tę klasę jej poszczególnych członków i tworząc ciągle rosnący proletariat.

Im bardziej wychodzi na jaw ten charakter antagonistyczny, tym bardziej w niezgodzie stają z własną swą teorią naukowi przedstawiciele produkcji burżuazyjnej, ekonomiści; tworzą się rozmaite szkoły.

Mamy ekonomistów *fatalistów*, którzy w swych teoriach równie są obojętni na to, co nazywają oni złymi stronami produkcji burżuazyjnej, jak sama burżuazja jest w praktyce nieczuła na cierpienia pomagających jej zdobywać bogactwa proletariuszy. W tej szkole fatalistycznej są klasycy i są romantycy. Klasycy, jak Adam Smith i Ricardo, są przedstawicielami burżuazji, która walcząc jeszcze z resztkami społeczeństwa feudalnego, pracuje tylko nad tym, ażeby oczyścić stosunki ekonomiczne z plam feudalnych, zwiększyć siły wytwórcze i wlać w przemysł i handel nowe, bujniejsze życie. Biorący udział w tej walce proletariat, pochłonięty gorączkową pracą, doznaje tylko przypadkowych, przemijających cierpień i sam je za takie uważa. Zadanie ekonomistów takich jak Adam Smith i Ricardo, którzy są historykami tej epoki, polega tylko na tym, aby wykazać, jak się zdobywa bogactwo w stosunkach produkcji burżuazyjnej, sformułować stosunki te w postaci praw i kategoryj oraz wykazać, o ile te prawa i te kategorie, gdy chodzi o wytwarzanie bogactw, wyższe są od praw i kategoryj społeczeństwa feudalnego. Nędza w ich oczach to tylko ból towarzyszący wszelkiemu porodowi zarówno w naturze jak w przemyśle.

Romantycy należą do naszej epoki, kiedy burżuazja wprost się przeciwstawia proletariatowi i kiedy nędza równie obficie się pleni jak bogactwo. Ekonomiści pozują wtedy na zblazowanych fatalistów, którzy z wysokości stanowiska swego rzucają wyniosłe spojrzenie pogardy na ludzi-maszyny, którzy bogactwa wytwarzają. Powtarzają oni wszystkie wywody swoich poprzedników, a obojętność, która u tamtych była naiwnością, u nich staje się kokieterią.

Przychodzi następnie *szkoła humanitarna*, która bierze sobie do serca złą stronę dzisiejszych stosunków produkcji. Stara się ona dla uspokojenia własnego sumienia chociaż trochę łagodzić kontrasty rzeczywiste, opłakuje szczerze niedolę proletariatu i rozpasaną konkurencję w łonie burżuazji; doradza robotnikom, aby byli wstrzemięźliwi, pilnie pracowali i mieli mało dzieci; zaleca burżuazji rozwagę i umiar w produkcji. Cała teoria tej szkoły spoczywa na nieskończonych rozróżnieniach pomiędzy teorią a praktyką, pomiędzy zasadami a rezultatami, pomiędzy ideą a zastosowaniem, pomiędzy treścią a formą, pomiędzy istotą i rzeczywistością, pomiędzy prawem i faktem, pomiędzy dobrą a złą stroną.

Szkoła *filantropijna* jest udoskonaloną szkołą humanitarną. Zaprzecza ona konieczności antagonizmu; chce z wszystkich ludzi zrobić kapitalistów, chce urzeczywistnić teorię o tyle, o ile się ona od praktyki różni i antagonizmu nie zawiera. Rozumie się samo przez się, że w teorii łatwo jest abstrahować od sprzeczności, które spotyka się na każdym kroku w rzeczywistym życiu. Taka teoria stawałaby się wówczas wyidealizowaną rzeczywistością. Filantropi pragną tedy zachować kategorie będące wyrazem stosunków burżuazyjnych, ale bez antagonizmu, który stanowi ich istotę i jest od nich nieodłączny. Wyobrażają oni sobie, że walczą na serio z praktyką burżuazyjną, a są jeszcze więcej od innych burżuazyjni.

Podobnie jak *ekonomiści* są naukowymi przedstawicielami klasy burżuazji, tak *socjaliści i komuniści* są teoretykami klasy proletariatu. Dopóki proletariat nie dosyć jeszcze się rozwinął, aby utworzyć klasę, dopóki tedy sama walka proletariatu z burżuazją nie posiada jeszcze charakteru politycznego, a siły wytwórcze w łonie samej burżuazji nie dość są jeszcze rozwinięte, by można było dostrzec warunki materialne nieodzowne do wyzwolenia proletariatu i do stworzenia

nowego społeczeństwa, dopóty teoretycy ci są tylko utopistami, którzy na użytek klas uciśnionych wymyślają, aby im dopomóc, różne systematy i starają się stworzyć naukę odradzającą. Lecz w miarę jak historia idzie naprzód i wraz z nią walka proletariatu wyraźniej się zarysowuje, nie potrzebują już oni więcej szukać nauki tej u siebie w głowie, lecz tylko zdać sobie sprawę z tego, co się w ich oczach dzieje, i stać się organem tego. Dopóki poszukują oni owej nauki i tylko systematy tworzą, dopóki są w zaraniu walki, dopóty widzą w nędzy jedynie nędzę, a nie dostrzegają w niej strony rewolucyjnej, wywrotowej, która zburzy stare społeczeństwo. Potem nauka wytworzona przez ruch historyczny i łącząca się z nim z całą świadomością rzeczy przestaje być doktrynerska, a staje się rewolucyjna.

Wróćmy do p. Proudhona.

Każdy stosunek ekonomiczny ma stronę dobrą i stronę złą, oto jedyny punkt, w którym pan Proudhon nie zadaje sam sobie kłamu. Stronę dobrą, jak sądzi, podkreślają ekonomiści — stronę złą oskarżają socjaliści. Od ekonomistów bierze konieczność wiecznych stosunków, od socjalistów — złudę dostrzegania w nędzy tylko nędzy (zamiast dostrzegania w niej strony rewolucyjnej, burzącej, która obali stare społeczeństwo). Zgadza się z jednymi i z drugimi, przy czym próbuje oprzeć się na autorytecie nauki. Nauka sprowadza się u niego do karłowatych wymiarów formuły naukowej: jest on człowiekiem goniącym za formułami. Wmawiając sobie w ten sposób, że dokonał krytyki zarówno ekonomii politycznej jak komunizmu — pan Proudhon stoi głęboko poniżej jednego i drugiego. Poniżej ekonomistów dlatego, że jako filozof mający pod ręką magiczną formułę czuje się zwolniony od wdawania się w szczegóły czysto ekonomiczne; poniżej socjalistów dlatego, że nie posiada ani dość odwagi, ani dość rozumu, aby — bodaj spekulatywnie — wznieść się nad burżuazyjny horyzont myślowy.

Chce być syntezą, a jest tylko złożonym błędem.

Jako mąż nauki chce unosić się nad bourgeois i nad proletariuszami, a jest tylko drobnomieszczaninem, ustawicznie miotanym tam i z powrotem między kapitałem a pracą, między ekonomią polityczną a komunizmem.

§ 2

PODZIAŁ PRACY A MASZYNY

Podział pracy, zdaniem p. Proudhona, rozpoczyna serię *ewolucji ekonomicznych*.

Dobra strona podziału pracy

«Rozpatrywany w swej istocie, podział pracy jest sposobem urzeczywistnienia *równości* warunków tudzież zdolności umysłowych» (t. I, str. 93).

Zła strona podziału pracy

«Podział pracy stał się dla nas źródłem nędzy» (t. I, str. 99).

Wariant:

«*Praca, dzieląc się według właściwego jej* prawa, będącego pierwszym warunkiem jej wydajności, dochodzi do tego, że przeczy swemu celowi i niszczy samą siebie» (t. I, str. 94).

Zadanie do rozwiązania

Znaleźć «nowy układ, który usuwa szkodliwe strony podziału, zachowując jego pożyteczne skutki» (t. I, str. 97).

Według p. Proudhona podział pracy jest wiecznym prawem, kategorią prostą i oderwaną. Toteż abstrakcja, idea, słowo musi mu wystarczyć do wytłumaczenia podziału pracy w różnych epokach dziejów. Kasty, cechy, manufaktura, wielki przemysł muszą znaleźć wytłumaczenie dla się w tym jednym słowie: *dzielić*. Zbadajcie najpierw dobrze sens słowa «dzielić», a nie będziecie potrzebowali badać tych licznych wpływów, które nadają podziałowi pracy w każdej epoce jego charakter określony.

Nie ulega wątpliwości, że sprowadzać rzeczy do kategoryj p. Proudhona byłoby to zanadto je upraszczać. Historia nie postępuje w sposób tak kategoryczny. W Niemczech potrzeba było całych trzech stuleci, aby wprowadzić pierwszy podział pracy na wielką skalę, a mianowicie oddzielić miasta od wsi. W miarę tego jak ulegał zmia-

nie ten jeden jedyny stosunek wsi i miasta, zmieniało się zarazem całe społeczeństwo. Biorąc pod uwagę tylko tę jedną stronę podziału pracy będziemy mieli tutaj republiki starożytne, tam feudalizm chrześcijański; starożytną Anglię z jej baronami-ziemianami albo współczesną Anglię z jej władcami bawełny *(cotton-lords)*. W XIV i XV wieku, gdy nie było jeszcze kolonii, gdy Ameryka dla Europy jeszcze nie istniała, a Azja tylko za pośrednictwem Konstantynopola, gdy Morze Śródziemne stanowiło ośrodek działalności handlowej, podział pracy miał zupełnie inną postać, zupełnie inaczej się przedstawił niż w XVII wieku, gdy Hiszpanie, Portugalczycy, Holendrzy, Anglicy, Francuzi pozakładali kolonie we wszystkich częściach świata. Rozległość rynku i jego fizjonomia, wygląd, nadają podziałowi pracy w różnych epokach cechy charakterystyczne, które z trudnością dałoby się wyprowadzić z samego tylko tego słowa «dzielić», z idei, z kategorii «podziału».

«Wszyscy ekonomiści, powiada p. Proudhon, poczynając od Adama Smitha wskazywali *korzyści i niedogodności* prawa podziału pracy, ale o wiele większy nacisk kładli na pierwsze niż na drugie, ponieważ to lepiej odpowiadało ich optymizmowi, i przy tym żaden z nich nigdy nie zadał sobie pytania, czym też mogą być ujemne strony jakiegoś prawa... Jakim to sposobem przeprowadzona ściśle w swoich konsekwencjach ta sama zasada daje diametralnie przeciwne wyniki? Ani jeden ekonomista, ani przed Smithem, ani po nim, nawet nie zauważył, że jest tu zadanie, które rozwiązać należy. Say posuwa się do tego, iż uznaje, że w podziale pracy ta sama przyczyna, która tworzy dobro, i zło też sprowadza» (t. I, str. 95, 96).

A. Smith idzie dalej niż myśli p. Proudhon. Widział on doskonale, że «w rzeczywistości różnica przyrodzonych uzdolnień między osobnikami jest o wiele mniejsza, niż przypuszczamy. Te tak rozmaite zdolności, którymi zdają się odznaczać ludzie różnych zawodów doszedłszy do wieku dojrzałego, są nie tyle *przyczyną* co *skutkiem* podziału pracy». W zasadzie tragarz mniej się od filozofa różni niż kundel od charta. Przepaść pomiędzy nimi wytworzył właśnie podział pracy. Wszystko to nie przeszkadza p. Proudhonowi utrzymywać w innym miejscu, że Adam Smith nawet nie podejrzewał, jakie szkodliwe następstwa pociąga za sobą podział pracy, ani twierdzić

iż to J. B. Say *pierwszy* poznał, «że w podziale pracy ta sama przyczyna, która wytwarza dobro, rodzi zło».

Lecz posłuchajmy Lemonteya: Suum cuique*.

«Pan J. B. Say uczynił mi ten zaszczyt, że w swym wybornym dziele o ekonomii politycznej przyjął zasadę, którą ja *wyjaśniłem* w fragmencie o wpływie moralnym podziału pracy. Nieco lekkomyślny tytuł** mojej książki nie pozwolił mu zapewne powołać się na mnie. Tylko temu mogę przypisać milczenie pisarza zbyt bogatego we własne zasoby, aby się nie miał przyznać do tak drobnej pożyczki» (*Lemontey*, «Oeuvres Complètes» [«Dzieła wszystkie»] t. I, str. 245, Paryż 1840).

Oddajmy mu sprawiedliwość: Lemontey dosadnie przedstawił złe skutki podziału pracy w jego dzisiejszej postaci i p. Proudhon nic tutaj nie znalazł do dodania. Lecz ponieważ jużeśmy z winy p. Proudhona wdali się w tę sprawę pierwszeństwa, to powiedzmy jeszcze mimochodem, że na długo przed p. Lemonteyem a siedemnaście lat przed Adamem Smithem, uczniem A. Fergusona, ten ostatni właśnie jasno wyłożył tę kwestię w rozdziale, który traktuje specjalnie o podziale pracy.

«Można by nawet wątpić, czy uzdolnienie ogólne narodu wzrasta proporcjonalnie do postępu techniki. W wielu gałęziach techniki... cel osiąga się całkowicie bez żadnej pomocy rozumu i uczucia, a ignorancja jest matką przemysłu tak dobrze jak i matką zabobonów. Myśl i wyobraźnia narażone są na to, że błądzą, ale przyzwyczajenie do poruszania nogą albo ręką nie zależy ani od myśli, ani od wyobraźni. Można by więc powiedzieć, że w rękodzielnictwie doskonałość polega na tym, aby umieć się obchodzić bez umysłu, tak aby warsztat bez udziału głowy mógł być uważany za maszynę, której częściami są ludzie... Dowódca może być nader biegły w sztuce wojskowej, podczas gdy cała zasługa żołnierza ogranicza się do wykonywania pewnych ruchów rąk i nóg. Jeden wygrał może to, co drugi stracił... W okresie, w którym wszystko jest rozdzielone,

* Każdemu, co mu się należy. — *Red.*

** Lemontey ma tu na myśli swoją książkę «Raison, Folie, Chacun son Mot; Petit Cours de Morale Mis à la Portèe des Vieux Enfants». («Roszqdek, szaleństwo, każdemu, co mu się należy; mały kurs moralności dla starych dzieci».) 1801 r. — *Red.*

sztuka myślenia może sama przez się stanowić odrębne rzemiosło» (*Ferguson*, «Essai sur l'Histoire de la Société Civile», Paryż 1783).

Kończąc ten przegląd literatury sprawy, stanowczo zaprzeczamy, aby «*wszyscy* ekonomiści kładli znacznie większy nacisk na korzyści niż na szkodliwe strony podziału pracy». Wystarczy wymienić Sismondiego.

Tak więc, co się tyczy *korzyści* z podziału pracy, p. Proudhon nic innego nie miał do zrobienia, jak tylko dokonać mniej lub więcej pompatycznej parafrazy powszechnie znanych ogólników.

Zobaczymy teraz, w jaki sposób wyprowadza on z podziału pracy — rozpatrywanego jako prawo ogólne, jako kategoria, jako myśl — *złe* strony, jakie się z nim łączą. Czym się to dzieje, że ta kategoria, to prawo pociąga za sobą nierówny rozkład pracy ze szkodą równościowego systemu p. Proudhona?

«W tę uroczystą chwilę podziału pracy burzliwy wiatr zrywa się nad ludzkością. Postęp nie dokonywa się dla wszystkich w sposób równy i jednakowy; ... zaczyna od tego, że opanowuje małą liczbę uprzywilejowanych... I właśnie to, że postęp daje pierwszeństwo jednym osobom przed drugimi, kazało tak długo wierzyć w przyrodzoną i opatrznościową nierówność warunków, zrodziło kasty i ukształtowało hierarchicznie wszystkie społeczeństwa» (*Proudhon*, t. I, str. 97).

Podział pracy wytworzył kasty. Ponieważ zaś kasty stanowią złą stronę podziału pracy, a więc to podział pracy wytworzył złe strony. *Quod erat demonstrandum* [czego należało dowieść]. Czy chcemy pójść dalej i czy spytamy, co doprowadziło podział pracy do utworzenia kast, ustrojów hierarchicznych i przywilejów? Pan Proudhon powie wam na to: postęp. A co stworzyło postęp? Ograniczenie. Ograniczeniem nazywa p. Proudhon to, że postęp oddaje pewnym osobom pierwszeństwo.

Po filozofii przychodzi historia. Nie jest to już ani historia opisowa, ani historia dialektyczna, jest to historia porównawcza. Pan Proudhon przeprowadza porównanie pomiędzy robotnikiem drukarskim dzisiejszym a średniowiecznym; pomiędzy robotnikiem z olbrzymich odlewni Creusota a kowalem wiejskim; pomiędzy literatem naszych czasów a wieków średnich — i przechyla szalę wagi na stronę

tych, którzy mniej lub więcej należą do takiego podziału pracy, jaki wytworzyły albo przekazały wieki średnie. Przeciwstawia on podział pracy jednej epoki historycznej podziałowi pracy innej epoki. Czy to miał wykazać p. Proudhon? Nie. Miał on pokazać złe strony podziału pracy w ogóle, podziału pracy jako kategorii. A zresztą po co zatrzymywać się specjalnie nad tą częścią pracy p. Proudhona, kiedy nieco później zobaczymy, że on sam formalnie odwołuje wszystkie te rzekome dowodzenia?

«Po *zdeprawowaniu duszy* — ciągnie dalej p. Proudhon — pierwszym następstwem pracy rozczłonkowanej jest przedłużenie dnia roboczego, który wzrasta w stosunku odwrotnym do sumy wkładanej w pracę inteligencji... Ale ponieważ dzień roboczy nie może trwać dłużej nad szesnaście do osiemnastu godzin, to z chwilą gdy nie można już będzie brać kompensaty pod postacią czasu, będzie się to sobie odbijać na cenie i płaca robocza spadnie... Jest rzeczą pewną, i tylko to wypada nam tutaj zaznaczyć, że *sumienie powszechne* nie jedną miarą mierzy pracę majstra oraz wyrobnika. Zachodzi *więc* konieczność obniżenia zapłaty za dniówkę, tak że pracownik, już dotknięty w duszy przez poniżającą czynność, nie może nie zostać poszkodowany i na ciele przez szczupłość wynagrodzenia» [t. I, 97, 98].

Nie będziemy się tu zatrzymywać nad wartością logiczną tych sylogizmów, które Kant by nazwał paralogizmami chybiającymi celu.

Oto ich istota:

Podział pracy sprowadza robotnika do wykonywania czynności poniżającej; tej czynności poniżającej odpowiada dusza zdeprawowana; zdeprawowaniu duszy odpowiada coraz to większa obniżka płacy roboczej. I ażeby dowieść, że ta obniżka płacy jest odpowiednia dla duszy zdeprawowanej, p. Proudhon dla uspokojenia sumienia twierdzi, że to sumienie powszechne tego żąda. Czy i dusza p. Proudhona zalicza się do sumienia powszechnego?

Maszyny są dla p. Proudhona «logiczną antytezą podziału pracy», a na dowód tej dialektyki swojej rozpoczyna on od tego, że z maszyn robi *warsztat*.

Przyjąwszy jako założenie warsztat współczesny (fabrykę) w tym celu, aby z podziału pracy wyprowadzić nędzę, p. Proudhon bierze

za założenie zrodzoną z podziału pracy nędzę, aby dojść do fabryki i aby ją móc przedstawić jako dialektyczne tej nędzy zaprzeczenie. Uderzywszy robotnika moralnie przez *poniżającą czynność* i fizycznie przez szczupłość płacy; uczyniwszy go *zależnym od majstra* i obniżywszy jego pracę do poziomu mechanicznych *czynności wyrobnika* — p. Proudhon zwala znów winę na fabrykę i maszyny, że *poniżają* one robotnika «dając mu *pana*», i dopełnia miary jego poniżenia każąc mu «spaść ze stopnia rzemieślnika na poziom *wyrobnika*». Piękna dialektyka! I gdyby choć na niej się zatrzymał; ale nie, potrzeba mu jeszcze nowej historii podziału pracy, już nie po to, aby z niej sprzeczności wyprowadzić, lecz aby przebudować fabrykę na swój sposób. Pragnąc ten cel osiągnąć, musi zapomnieć o wszystkim, co przed chwilą powiedział o podziale pracy.

Praca organizuje się i dzieli rozmaicie, stosownie do narzędzi, którymi rozporządza. Młynek ręczny zakłada inny podział pracy niż młyn parowy. Stanowi to więc obrazę dla historii, gdy się chce rozpoczynać od podziału pracy w ogóle, ażeby dojść następnie do pewnego swoistego narzędzia produkcji, do maszyn.

Maszyny są równie mało kategorią ekonomiczną jak wół, który pług ciągnie. Maszyny są tylko siłą wytwórczą. Fabryka nowoczesna, oparta na użyciu maszyn, jest społecznym stosunkiem produkcji, kategorią ekonomiczną.

Zobaczmy teraz, jak się te rzeczy mają w błyskotliwej wyobraźni p. Proudhona.

«W społeczeństwie nieustanne pojawianie się maszyn jest antytezą, odwrotną formułą pracy: jest to *protest* geniusza przemysłowego przeciwko pracy *rozczłonkowanej* i dla ludzi *zabójczej*. W rzeczy samej, cóż to jest maszyna? Jest to pewien *sposób łączenia różnych części pracy*, które podział pracy porozłączał. Każdą maszynę da się określić jako zespolenie wielu czynności. ... A więc przez maszynę nastąpi *restytucja robotnika*... Maszyny, występując w ekonomii politycznej jako sprzeczne z podziałem pracy, reprezentują syntezę, która w umyśle ludzkim przeciwstawia się analizie... Podział jedynie porozłączał różne części pracy, pozostawiając każdemu swobodę oddawania się tej specjalności, która mu najbardziej dogadzała: fabryka grupuje robotników odpowiednio do stosunku każdej

części do całości... wprowadza do pracy zasadę autorytetu... Lecz to nie wszystko jeszcze: *maszyna* albo *fabryka*, zdegradowawszy robotnika przez danie mu pana, dopełnia miary jego poniżenia, zmuszając go, aby ze stopnia rzemieślnika spadł do poziomu wyrobnika... Okres, który obecnie przeżywamy, okres maszyn, odznacza się pewną charakterystyczną właściwością, mianowicie *pracą najemną*... Praca najemna jest późniejszej daty od podziału pracy i wymiany».

Tu pewna prosta uwaga pod adresem p. Proudhona. Rozłączenie rozmaitych części pracy, pozwalające każdemu na oddawanie się najbardziej dogadzającej mu specjalności, rozłączenie, które istnieje, zdaniem p. Proudhona, od początku świata, istnieje wyłącznie w przemyśle nowoczesnym pod rządami konkurencji.

Pan Proudhon daje nam następnie więcej niż «interesującą genealogię», aby wykazać, jak to fabryka powstała z podziału pracy, a praca najemna z fabryki.

1) Zakłada on człowieka, który «zauważył, że dzieląc produkcję na jej różne części i dając każdą z nich do wykonania odrębnemu robotnikowi», zwiększyłoby się siły wytwórcze.

2) «Idąc za nicią przewodnią tej idei», człowiek ów «mówi sobie, że tworząc stałą grupę robotników dobranych do specjalnego przedmiotu, który on sobie za *cel* stawia, osiągnie regularniejszą produkcję» itd.

3) Człowiek ten czyni *propozycję* innym, aby im dać pojąć swą ideę i jej wątek.

4) Człowiek ten na początku przemysłu *jak równy z równymi* pertraktuje ze swymi *towarzyszami*, którzy stają się potem jego *robotnikami*.

5) «Istotnie jest rzeczą widoczną, że ta pierwotna równość musiała prędko zniknąć wobec uprzywilejowanego położenia pana i zależności robotnika najemnego».

Oto jest jeszcze jedna próbka *historycznej i opisowej metody* p. Proudhona.

Zbadajmy teraz z punktu widzenia historycznego i ekonomicznego, czy istotnie fabryka lub maszyna wprowadziła *zasadę autorytetu* do społeczeństwa później, niż pojawił się podział pracy; czy z jednej strony, zrehabilitowała ona robotnika, poddając go, z drugiej —

autorytetowi, oraz czy maszyna przywraca jedność podzielonej pracy, czy jest *syntezą* pracy w przeciwstawieniu do jej *analizy*.

Społeczeństwo jako całość ma to wspólne z wewnętrznym ustrojem fabryki, że posiada ono również swój podział pracy. Gdyby wziąć za wzór podział pracy w fabryce współczesnej, aby go zastosować do całego społeczeństwa, to społeczeństwem najlepiej zorganizowanym do wytwarzania bogactw byłoby niewątpliwie to, na którego czele stałby tylko jeden przedsiębiorca rozdzielający pracę między rozmaitych członków spólnoty według z góry ustanowionego porządku. Ale tak wcale nie jest. Podczas gdy w fabryce współczesnej podział pracy jest szczegółowo uregulowany władzą przedsiębiorcy, społeczeństwo współczesne nie zna innej reguły, innego autorytetu rozdzielającego pracę jak tylko wolna konkurencja.

W ustroju patriarchalnym, w ustroju kastowym, w ustroju feudalnym i korporacyjnym istniał podział pracy w całym społeczeństwie według pewnych stałych prawideł. Czy prawidła te ustalił jakiś prawodawca? Nie. Zrodziły się one początkowo pod wpływem warunków wytwórczości materialnej i dopiero znacznie później nabrały znaczenia praw. W ten to sposób te rozmaite formy podziału pracy stały się tylomaż podstawami ustroju społecznego. Co się tyczy podziału pracy w warsztacie, to był on bardzo mało rozwinięty we wszystkich owych formach społeczeństwa.

Można to nawet przyjąć jako prawidło ogólne, że im mniej władza kieruje podziałem pracy wewnątrz społeczeństwa, tym bardziej rozwija się podział pracy wewnątrz warsztatu i tym bardziej zależy on tutaj od jednej osoby. Tak tedy odnośnie do podziału pracy władza w warsztacie i władza w społeczeństwie pozostają do siebie w *stosunku odwrotnym*.

A teraz zobaczmy, czym jest taki warsztat, w którym zajęcia są bardzo rozdzielone, zadanie każdego robotnika sprowadza się do czynności bardzo prostych, a grupuje prace i kieruje nimi władza, kapitał. Jak taki warsztat-fabryka powstała? Ażeby na to pytanie odpowiedzieć, musielibyśmy zbadać, w jaki sposób rozwinęła się manufaktura w ścisłym znaczeniu tego słowa. Mam tu na myśli ten przemysł, który nie jest jeszcze nowoczesnym przemysłem z jego maszynami, ale który już nie jest ani przemysłem rzemieślni-

ków średniowiecznych, ani przemysłem domowym. Nie będziemy zapuszczali się w szczegóły, zaznaczymy tylko kilka punktów główniejszych, aby pokazać, że za pomocą formuł historii się tworzyć nie da.

Jednym z najniezbędniejszych warunków powstania manufaktury było nagromadzenie kapitałów, ułatwione przez odkrycie Ameryki i przywóz jej szlachetnych metali.

Udowodniono już w sposób wystarczający, że zwiększenie środków wymiany pociągnęło za sobą, z jednej strony, spadek płacy roboczej i renty gruntowej, a z drugiej — wzrost zysków w przemyśle. Innymi słowy: o ile upadły klasy właścicieli ziemskich i robotników — panów feudalnych i ludu, o tyle podniosła się klasa kapitalistów, burżuazja.

Były i inne jeszcze okoliczności, które przyczyniły się jednocześnie do rozwoju manufaktur: powiększenie ilości towarów będących w obiegu, skoro tylko handel morską drogą koło Przylądka Dobrej Nadziei przeniknął do Indyj wschodnich, następnie system kolonialny i rozwój handlu morskiego.

Jest jeszcze jeden punkt niedostatecznie dotąd oceniony w historii manufaktury, a mianowicie rozpuszczenie licznych świt panów feudalnych; podrzędniejsi członkowie tych świt zostali włóczęgami, zanim wstąpili do warsztatów. Prawie powszechne włóczęgostwo poprzedziło utworzenie warsztatów, które w XV i XVI wieku zaczęły przekształcać się w fabryki. Potężną podporę znalazł warsztat również w tych licznych chłopach, których nieustannie wypędzano ze wsi wskutek przekształcania pól w łąki; a że przy tym dzięki postępom w rolnictwie uprawa roli też zaczęła wymagać mniej rąk roboczych, chłopi przeto przez całe stulecia napływali do miast.

Wzrost rynku, nagromadzenie kapitałów, zmiany zaszłe w położeniu społecznym klas, cała masa ludzi pozbawionych źródeł dochodu — oto są warunki historyczne powstania manufaktury. To nie polubowne umowy pomiędzy równymi zawierane — jak utrzymuje p. Proudhon — skupiły ludzi po warsztatach. I nawet nie z łona dawnych korporacji wzięła manufaktura swój początek. Na czele nowoczesnego warsztatu stanął kupiec, nie zaś dawny mistrz cechowy. Prawie wszędzie toczyła się zacięta walka między manufakturą a rzemiosłem.

Nagromadzenie i koncentracja narzędzi i robotników poprzedziły rozwój podziału pracy wewnątrz warsztatu. Manufaktura znacznie bardziej polegała na tym, że skupiono wielu robotników i wiele rzemiosł w jednym miejscu, w jednym pomieszczeniu pod komendą jednego kapitału, niż na rozłożeniu pracy na jej składowe części i stosowaniu do każdej bardzo prostej czynności specjalnych robotników.

Pożyteczność warsztatu-fabryki polegała znacznie mniej na podziale pracy we właściwym znaczeniu wyrazu niż na tej okoliczności, iż pracowano na większą skalę, że oszczędzano sobie wielu zbytecznych wydatków itd. W końcu XVI i na początku XVII wieku manufaktura holenderska zaledwie znała podział pracy.

Rozwój podziału pracy z góry zakłada skupienie robotników w jednym warsztacie. Ani w XVI, ani w XVII wieku nie ma ani jednego przykładu, ażeby różne gałęzie tego samego rzemiosła uprawiane były do tego stopnia oddzielnie, iż wystarczyłoby połączyć je z sobą w jednym miejscu, a otrzymałoby się gotowy warsztat-fabrykę. Ale kiedy już raz nastąpiło takie połączenie ludzi i narzędzi, to podział pracy w tej postaci, w jakiej istniał w korporacjach cechowych, odbijał się z konieczności na wewnętrznym ustroju warsztatu.

Dla p. Proudhona, który gdy nawet widzi rzeczy, to widzi je na opak, podział pracy w sensie Adama Smitha poprzedza warsztat fabryczny, który jest przecież warunkiem istnienia tego podziału.

Maszyny we właściwym znaczeniu tego słowa datują się od końca XVIII wieku. Nie ma nic bardziej niedorzecznego jak widzieć w maszynach *antytezę* podziału pracy, *syntezę* przywracającą jedność pracy rozdrobnionej.

Maszyna jest połączeniem narzędzi pracy, lecz bynajmniej nie kombinacją robót dla samego robotnika. «Kiedy przez podział pracy każda oddzielna czynność sprowadzona została do użycia jednego prostego narzędzia, to połączenie tych wszystkich narzędzi wprawiane w ruch za pomocą jednego motoru stanowi — maszynę» (*Babbage*, «Traité sur l'Économie des Machines» etc. [«Rozprawa o ekonomii maszyn» itd.] Paryż 1833). Narzędzia proste, nagromadzenie narzędzi, narzędzia złożone, wprawianie w ruch narzędzia złożonego przez jeden motor ręczny, przez człowieka, wprawianie tych narzędzi w ruch przez siły przyrody, maszyna, system maszyn mających jeden motor,

system maszyn mających motor automatyczny — oto dzieje rozwoju maszyny.

Koncentracja narzędzi produkcji i podział pracy tak samo nie dadzą się od siebie oddzielić jak w ustroju politycznym centralizacja władz publicznych i podział interesów prywatnych. Anglia z jej koncentracją ziemi, tego narzędzia pracy rolniczej, ma też podział pracy rolniczej i stosuje maszyny do uprawy ziemi. Francja, która ma podział narzędzi i gruntów, system drobnych działek, nie posiada na ogół ani podziału pracy rolniczej, ani nie stosuje w rolnictwie maszyn.

Dla p. Proudhona koncentracja narzędzi pracy jest zaprzeczeniem podziału pracy. W rzeczywistości jednak my znów widzimy coś wprost przeciwnego. W miarę jak się rozwija koncentracja narzędzi, rozwija się też podział pracy i odwrotnie. Oto, co sprawia, że po każdym większym wynalazku w mechanice następuje większy podział pracy, a każdy wzrost podziału pracy sprowadza z kolei nowe wynalazki w mechanice.

Nie potrzebujemy przypominać, że wielki postęp w podziale pracy rozpoczął się w Anglii po wynalezieniu maszyn. Tkacze i przędzarze byli to przeważnie tacy sami chłopi, jakich dotychczas spotyka się jeszcze w krajach zacofanych. Wynalezienie maszyn dokonało ostatecznego oddzielenia manufaktury od przemysłu rolnego. Tkacz i przędzarz, złączeni przedtem w jednej rodzinie, zostali rozłączeni przez maszynę. Dzięki maszynie przędzarz może mieszkać w Anglii w tym samym czasie, gdy tkacz przebywa w Indiach wschodnich. Przed wynalezieniem maszyn przemysł każdego kraju posługiwał się przeważnie surowcami pochodzenia miejscowego: w Anglii była to wełna, w Niemczech len, we Francji len oraz jedwab, w Indiach wschodnich i Lewancie bawełna itd. Dzięki zastosowaniu maszyn oraz pary podział pracy zdołał przybrać takie rozmiary, że wielki przemysł, oderwany od gruntu narodowego, zależy wyłącznie od rynku światowego, wymiany międzynarodowej i międzynarodowego podziału pracy. Maszyna wywiera wreszcie taki wpływ na podział pracy, że gdy przy wyrabianiu czegoś znajdzie się sposób zastosowania częściowego narzędzi mechanicznych, fabrykacja dzieli się natychmiast na dwa niezależne od siebie działy.

Czy potrzeba mówić *o celu opatrznościowym* i filantropijnym, który p. Proudhon wykrywa w wynalezieniu i pierwotnym zastosowaniu maszyn?

Kiedy w Anglii rynek się tak rozwinął, że praca ręczna nie mogła już wystarczać, zaczęto odczuwać potrzebę maszyn. Pomyślano wówczas o zastosowaniu wiadomości z mechaniki, która w XVIII wieku była już nauką całkowicie rozwiniętą.

Pierwsze wystąpienia warsztatu-fabryki pracującej przy pomocy maszyn nie miały w sobie absolutnie nic filantropijnego. Dzieci zapędzano do roboty batem i frymarczono nimi, robiono o nie umowy z sierocińcami. Zniesiono wszystkie ustawy o terminowaniu robotników, ponieważ — że użyjemy języka p. Proudhona — nie potrzebowano już więcej robotników *syntetycznych*. Wreszcie od roku 1825 prawie wszystkie nowe wynalazki były rezultatem kolizji pomiędzy robotnikiem a przedsiębiorcą usiłującym za wszelką cenę obniżyć wartość fachowego wykształcenia robotnika. Po każdym cokolwiek ważniejszym strajku pojawia się nowa maszyna. Robotnik do tego stopnia nie dostrzegał w zastosowaniu maszyn żadnej rehabilitacji, żadnej, jak mówi p. Proudhon, *restytucji swojej osobowości*, że w XVIII wieku przez długi czas opierał się nadchodzącemu panowaniu siły automatycznej.

«Wyatt — mówi dr Ure — wynalazł palce przędzalniane (trzy rzędy żłobowanych walców) na długo przed Arkwrightem... Główna trudność polegała nie tyle na wynalezieniu mechanizmu automatycznego... Trudność polegała przede wszystkim na dyscyplinie potrzebnej, by zmusić ludzi do zrzeczenia się przyzwyczajeń nieregularności w pracy i utożsamić ich z niezmienną regularnością wielkiej, automatycznie działającej maszyny. Ale wynalezienie i wprowadzenie w życie kodeksu dyscypliny, przystosowanego do potrzeb i szybkosci systemu automatycznego — oto przedsięwzięcie godne Herkulesa, oto szlachetne dzieło Arkwrighta».

Słowem, przez wprowadzenie maszyn podział pracy wewnątrz społeczeństwa wzmógł się, zadanie robotnika w warsztacie uprościło się, kapitał się skoncentrował, człowiek jeszcze się bardziej rozdrobnił.

Pan Proudhon, kiedy chce się stać ekonomistą i na chwilę odłożyć na bok «rozwój szeregu idei w rozumie», idzie wtedy zaczerpnąć

erudycji z A. Smitha, autora z czasów, gdy warsztat automatyczny dopiero powstawał. W rzeczy samej jakaż zachodzi różnica pomiędzy tym podziałem pracy, który istniał w czasach Adama Smitha, a tym, który widzimy w obecnej fabryce automatycznej? Aby różnicę tę w pełni zrozumieć, wystarczy zacytować kilka ustępów z «Philosophie des Manufactures» [«Filozofii manufaktur»] dra Ure.

«Kiedy A. Smith pisał swe nieśmiertelne dzieło o podstawach ekonomii politycznej, system automatyczny w przemyśle był zaledwie znany. Podział pracy słusznie uchodził w jego oczach za wielką zasadę doskonalenia się manufaktury. Wykazał on, że w fabryce szpilek robotnik, doskonaląc się przez praktykę w wykonywaniu wciąż tej samej czynności, staje się sprawniejszy i tańszy. Widział, że w każdej gałęzi manufaktury zgodnie z tą zasadą pewne czynności, np. krajanie miedzianego drutu na równe części, wykonuje się z łatwością; że inne, np. robienie i przymocowywanie łepków od szpilek, są stosunkowo trudniejsze; stąd przeto wywnioskował, iż do każdej z tych czynności można dostosować robotnika, którego płaca odpowiadać będzie jego zręczności. To właśnie *dostosowywanie* stanowi istotę podziału pracy. Ale co mogło służyć za pożyteczny przykład w czasach doktora Smitha, dziś może tylko w błąd wprowadzać publiczność co do rzeczywistej zasady manufaktury. W rzeczy samej bowiem rozdzielanie albo raczej dostosowywanie robót do rozmaitych zdolności indywidualnych nie wchodzi ani trochę do planu czynności fabryki automatycznej; przeciwnie, wszędzie, gdzie jakaś czynność wymaga dużej zręczności oraz pewnej ręki, odbiera się ją zbyt zręcznemu a często skłonnemu do przeróżnych nieregularności robotnikowi, aby ją powierzyć mechanizmowi specjalnemu, którego automatyczne działanie jest tak dobrze wyregulowane, że nawet dziecko może mieć nad nim dozór.

«Zasadą systemu automatycznego jest więc zastępowanie pracy ręcznej pracą mechaniczną i rozczłonkowywanie procesu produkcji na jego składniki zasadnicze zamiast dokonywania podziału pracy między rzemieślników. W systemie pracy ręcznej płaca robocza była zazwyczaj najkosztowniejszym składnikiem każdego produktu; w systemie automatycznym utalentowani rzemieślnicy są stopniowo zastępowani przez prostych nadzorców maszyn.

«Natura ludzka jest tak niedoskonała, że im zręczniejszy jest robotnik, tym staje się samowolniejszy i trudniej daje sobą powodować, a stąd tym mniej się nadaje do systemu mechanicznego, którego bieg ogólny bardzo ucierpieć może od jego kapryśnych wybryków. Główne zadanie współczesnego fabrykanta polega więc na tym, aby kombinując naukę z kapitałem sprowadzać czynności swych robotników do wykazywania przez nich czujności i zręczności — zalet, które szybko doskonali się w młodych latach, *gdy się zajmować wyłącznie jakąś jedną rzeczą.*

«Przy systemie stopniowania pracy trzeba terminować kilka lat, zanim oko i ręka staną się dość zręczne, aby wykonywać pewne arcydzieła mechaniczne, ale przy systemie, który rozczłonkowuje proces wytwarzania na jego składniki zasadnicze i każe wszystkie te części składowe wytwarzać maszynie automatycznej, można je też powierzać do wykonania człowiekowi ze zwykłymi zdolnościami, poddawszy go tylko uprzednio krótkiej próbie; a w razie naglącej potrzeby można tego człowieka przerzucać nawet od jednej maszyny do drugiej, zgodnie z wolą dyrektora zakładu. Zmiany tego rodzaju znajdują się w jawnej sprzeczności ze starą rutyną, która dzieli pracę i każe jednemu robotnikowi wyrabiać łepki od szpilek, a drugiemu zaostrzać ich końce — praca, której nudna jednostajność przytępia robotników... Ale przy zasadzie *zrównywania*, czyli przy systemie automatycznym zdolności robotnika obracane są tylko na pracę przyjemną itd. Ponieważ zajęciem jego jest tylko czuwanie nad funkcjonowaniem dobrze wyregulowanego mechanizmu, może się on tego nauczyć w krótkim czasie; a gdy go przenoszą od jednej maszyny do drugiej, ma rozmaitość w pracy i rozwija w sobie umysł zastanawiając się nad ogólnymi kombinacjami wynikającymi z jego własnej pracy i z prac jego towarzyszy. A więc to tłumienie zdolności, ta ciasnota myśli, to krępowanie rozwoju fizycznego, które nie bez racji przypisywano podziałowi pracy, w zwykłych okolicznościach nie mogą zachodzić przy systemie *równego rozdzielania robót.*

«Stałym celem i dążeniem każdego udoskonalenia mechanicznego jest w istocie to, aby się całkowicie obchodzić bez pracy ludzkiej lub cenę jej obniżać zastępując pracę robotnika dorosłego pracą kobiet i dzieci, albo pracę rzemieślników wykwalifikowanych pracą pro-

stackich wyrobników... Ta tendencja do używania już tylko dzieci o bystrych oczach i giętkich palcach zamiast robotników mających długie doświadczenie dowodzi, że scholastyczny dogmat podziału pracy według różnych stopni zręczności został nareszcie odrzucony przez naszych oświeconych fabrykantów» (*André Ure*, «Philosophie des Manufactures ou Économie Industrielle» [«Filozofia manufaktur albo ekonomia przemysłowa»] t. I, rozdz. 1).

Cechą charakterystyczną podziału pracy wewnątrz nowoczesnego społeczeństwa jest to, że wytwarza on specjalności, fachowców, a wraz z tym i fachowe otępienie.

«Podziw nas ogarnia — powiada Lemontey — gdy widzimy, że u starożytnych ta sama osoba bywa jednocześnie wybitnym filozofem, poetą, mówcą, historykiem, kapłanem, administratorem, dowódcą wojskowym. Lęk nas zdejmuje na widok tak szerokiej działalności. Dziś każdy odgradza sobie swój kawałek terenu i zamyka się w nim. Nie wiem, czy przez to rozkawałkowanie pole się powiększa, wiem natomiast z pewnością, że człowiek maleje».

Cechą charakterystyczną podziału pracy w fabryce mechanicznej jest to, że praca traci tutaj charakter specjalności. Lecz z chwilą gdy specjalizacja przestaje się rozwijać, daje się czuć potrzeba uniwersalności, dążenie do rozwoju ogólnego jednostki. Fabryka automatyczna usuwa specjalizację oraz fachowe otępienie.

Nie zrozumiawszy nawet tej jedynej rewolucyjnej strony fabryki automatycznej p. Proudhon robi krok wstecz i proponuje robotnikowi, aby wyrabiał nie tylko dwunastą część szpilki, ale kolejno wszystkie dwanaście jej części. Robotnik doszedłby w ten sposób do nauki i świadomości szpilki. Oto, czym jest praca syntetyczna p. Proudhona. Nikt nie zaprzeczy, że zrobić jeden ruch naprzód a drugi wstecz, jest to też wykonać pewien ruch syntetyczny.

Koniec końców p. Proudhon nie wychodzi poza ideał drobnomieszczanina. I aby wcielić ten ideał w życie, nie przychodzi mu na myśl nic lepszego, jak przywrócić nas do stanu średniowiecznego czeladnika lub co najwyżej majstra-rzemieślnika. Mówi on gdzieś w swej książce, że wystarczy raz w życiu wykonać arcydzieło, raz jeden w życiu poczuć się człowiekiem. Czyż nie jest to, i co do formy, i co do treści, ów majstersztyk, którego wymagały cechy w średniowieczu?

§ 3

KONKURENCJA I MONOPOL

Dobra strona konkurencji

«Konkurencja ma dla pracy równie istotne znaczenie jak podział... Jest ona konieczna do *wprowadzenia równości*».

Zła strona konkurencji

«Zasada jest zaprzeczeniem samej siebie. Najpewniejszym jej skutkiem jest zguba tych, których za sobą pociąga».

Myśl ogólna

«Zarówno *niedogodności*, które są jej następstwem, jak i dobro, które ona sprowadza, i jedne, i drugie... logicznie wypływają z zasady».

Zadanie do rozwiązania

«Znaleźć zasadę *uzgodnienia*, która powinna wypływać z prawa wyższego od samej wolności».

Wariant:

«Nie chodzi tu zatem o zniesienie konkurencji — rzecz równie niemożliwa jak zniesienie wolności; chodzi o znalezienie równowagi, powiedziałbym chętnie: *policji* tej konkurencji» — (t. I, str. 223).

Pan Proudhon zaczyna od obrony wiecznej konieczności konkurencji przeciwko tym, którzy chcą zastąpić ją *współzawodnictwem**.

Nie ma «współzawodnictwa bezcelowego», a ponieważ «przedmiot wszelkiej namiętności jest nieodzownie analogiczny do namiętności, którą odczuwa kochanek do kobiety, skąpiec do złota, człowiek ambitny do władzy, poeta do wieńca, więc przedmiotem współzawodnictwa przemysłowego jest z konieczności *zysk*. Współzawodnictwo nie jest niczym innym jak samą konkurencją».

Konkurencja jest współzawodnictwem mającym na celu zysk. Czy współzawodnictwo przemysłowe musi być koniecznie współzawodnictwem mającym zysk na celu, czyli konkurencją? Pan Proudhon dowodzi tego tylko tym, że tak twierdzi. Widzieliśmy bowiem, że

* Tzn. przeciw fourierystom. — *Przypis F. Engelsa.*

dla niego twierdzić znaczy to dowodzić, tak samo jak przypuszczać jest to przeczyć.

Skoro *przedmiotem* bezpośrednim dla kochanka jest kobieta, to bezpośrednim przedmiotem współzawodnictwa przemysłowego jest produkt, nie zaś zysk.

Konkurencja nie jest współzawodnictwem przemysłowym, ale współzawodnictwem handlowym. W naszych czasach współzawodnictwo przemysłowe istnieje tylko w celach handlowych. Są nawet takie fazy w życiu ekonomicznym narodów nowoczesnych, kiedy wszystkich ogarnia jakiś szał ubiegania się za zyskiem bez produkowania. Ten obłęd spekulacji, powracający okresowo, odsłania prawdziwy charakter konkurencji, która stara się uniknąć konieczności współzawodnictwa przemysłowego.

Gdybyście byli powiedzieli rzemieślnikowi z XIV wieku, że zniesione zostaną wszystkie przywileje i cała feudalna organizacja przemysłu, aby wprowadzić na ich miejsce współzawodnictwo przemysłowe zwane konkurencją, byłby wam odpowiedział, że przywileje różnych korporacji, cechów, bractw, stanowią zorganizowaną konkurencję. Pan Proudhon nielepiej powiada utrzymując, że «współzawodnictwo nie jest niczym innym jak samą konkurencją».

«Wydajcie zarządzenie, że od 1 stycznia 1847 r. wszyscy będą mieli zapewnioną pracę i zapłatę, a natychmiast w przemyśle po gorączkowym natężeniu przyjdzie ogromny zastój».

Zamiast założenia, twierdzenia i przeczenia mamy teraz rozporządzenie, które p. Proudhon wydaje umyślnie, ażeby dowieść konieczności konkurencji, jej wiekuistości jako kategorii itd.

Jeśli się sobie wyobraża, że wystarczą rozporządzenia, by wyjść poza konkurencję, nie wyjdzie się z niej nigdy. A gdy się dochodzi aż do tego, że proponuje się zniesienie konkurencji zachowując płacę roboczą, to proponuje się wprowadzenie dekretem królewskim niedorzeczności. Ale narody nie rozwijają się na rozkaz królewski. Wprzód niż wydadzą takie rozporządzenia, muszą one przynajmniej odmienić z gruntu swoje warunki istnienia przemysłowego i politycznego, a więc cały swój sposób bytu.

Pan Proudhon odpowie ze swą niezmąconą pewnością siebie, że jest to hipoteza «przemiany naszej natury bez precedensów histo-

rycznych» i że miałby on prawo «*wyłączyć* nas z dyskusji» na mocy nie wiemy jakiego rozporządzenia.

Pan Proudhon nie wie, że cała historia jest jedną nieustanną przemianą natury ludzkiej.

«Trzymajmy się faktów. Rewolucję francuską zrobiono o tyleż dla zyskania wolności przemysłowej, co i politycznej, a jakkolwiek Francja w 1789 r. nie przewidziała wszystkich następstw zasady, której wcielenia w życie się domagała, głośno to jednak oznajmijmy, że się nie omyliła ani w swych pragnieniach, ani w swych oczekiwaniach. Ktokolwiek usiłowałby temu zaprzeczyć, straciłby w mych oczach prawo do krytykowania: nie będę nigdy dysputował z przeciwnikiem, który by przypuścił zasadniczo możność samorzutnej omyłki ze strony dwudziestu pięciu milionów ludzi... Dlaczego więc, gdyby konkurencja nie była *zasadą* ekonomii społecznej, *wyrokiem przeznaczenia, potrzebą duszy ludzkiej*, dlaczego zamiast *znosić* cechy, bractwa, korporacje, nie pomyślano raczej o ich *naprawie*?»

Ponieważ tedy Francuzi w XVIII wieku znieśli cechy, bractwa i korporacje zamiast je przekształcić, to Francuzi w XIX wieku powinni zamiast znosić — przekształcić konkurencję. A że konkurencja powstała we Francji w XVIII wieku jako wynik potrzeb historycznych, konkurencja ta nie powinna być zniweczona w XIX wieku z powodu innych potrzeb historycznych. Pan Proudhon nie rozumie, że ustanowienie konkurencji wiązało się ściśle z rzeczywistym rozwojem ludzi XVIII wieku, i stąd czyni z konkurencji potrzebę *duszy ludzkiej, in partibus infidelium**. Cóż by on zrobił z «wielkiego Colberta» dla XVII wieku?

Po rewolucji przychodzi obecny stan rzeczy. Pan Proudhon i stąd również bierze pewne fakty, ażeby dowieść, że konkurencja jest wieczna, wykazując, iż wszystkie gałęzie przemysłu, w których — jak np. w rolnictwie — kategoria ta jeszcze nie dość się rozwinęła, znajdują się w stanie niższym, zacofanym.

---

* Wyrażenia łacińskiego «in partibus infidelium» używa się mówiąc o biskupie, którego tytuł jest czysto honorowy i nie daje żadnych praw rzeczywistych, gdyż diecezja takiego biskupa znajduje się w kraju zajętym przez niewiernych. Ironicznie — jak właśnie tu u Marksa — wyrażenie to stosuje się do wszystkiego w ogóle, co jest iluzoryczne tylko i pozorne. — *Red.*

Mówić, że są gałęzie przemysłu, które się jeszcze nie znalazły na wysokości konkurencji, a że inne są niżej poziomu produkcji burżuazyjnej, jest to czcza gadanina, która bynajmniej nie dowodzi wieczności konkurencji.

Całą logikę p. Proudhona da się streścić w następujący sposób: konkurencja jest to stosunek społeczny, w którym my dzisiaj rozwijamy nasze siły wytwórcze. Twierdzenia tego nie rozwija on wprawdzie logicznie, lecz mu nadaje kształty, i to często kształty dość pocieszne, twierdząc, że konkurencja jest współzawodnictwem przemysłowym, swobodą na dzisiejszy sposób, odpowiedzialnością w pracy, konstytuowaniem wartości, warunkiem zapanowania równości, zasadą ekonomii społecznej, wyrokiem przeznaczenia, nieodzowną potrzebą duszy ludzkiej, natchnieniem wiecznej sprawiedliwości, wolnością w podziale, podziałem w wolności, kategorią ekonomiczną.

«*Konkurencja i asocjacja* opierają się jedna na drugiej. Dalekie od tego, aby jedna drugą wyłączać miały, *nie* są one nawet *rozbieżne*. Kto mówi «konkurencja» zakłada już pewien *wspólny cel*. Konkurencja nie jest więc *egoizmem*, ale najopłakańszy błąd socjalizmu to stanowi, że widział on w niej czynnik burzący społeczność».

Kto mówi: «konkurencja», ten mówi: «wspólny cel»; to zaś dowodzi, z jednej strony, że konkurencja jest asocjacją, a z drugiej — że konkurencja nie jest egoizmem. A gdy kto mówi: «*egoizm*», to czyż nie mówi: «wspólny cel»? Każdy egoizm działa w społeczeństwie i po przez społeczeństwo, zakłada więc społeczeństwo, tzn. zakłada wspólne cele, wspólne potrzeby, wspólne środki produkcji itd., itd.... Czy to przypadkiem nie dlatego konkurencja i asocjacja, o których mówią socjaliści, nie są ze sobą nawet rozbieżne?

Socjaliści bardzo to dobrze wiedzą, że społeczeństwo obecne oparte jest na konkurencji. Jakżeż mogliby oni zarzucać konkurencji, że burzy społeczeństwo dzisiejsze, które oni sami zburzyć pragną? I jakżeżby mogli zarzucać konkurencji, że burzy ona przyszłe społeczeństwo, w którym widzą oni, przeciwnie, zniesienie konkurencji?

Pan Proudhon mówi nieco dalej, że konkurencja jest *przeciwsta-*

wieniem monopolu, że więc skutkiem tego nie może być *przeciwstawieniem asocjacji.*

Feudalizm od swego zarania był przeciwny monarchii patriarchalnej; ale nie przeciwstawiał się on konkurencji, która wtedy nie istniała jeszcze. Czy z tego wynika, że konkurencja nie przeciwstawia się feudalizmowi?

Społeczeństwo, asocjacja — to w rzeczy samej nazwy, które dać można wszystkim społeczeństwom, społeczeństwu feudalnemu równie dobrze jak burżuazyjnemu będącemu asocjacją opartą na konkurencji. Jakżeż więc mogą być tacy socjaliści, którzy by wierzyli, że samym tym słowem *asocjacja* mogą znieść konkurencję? I jakimż sposobem sam p. Proudhon może chcieć bronić konkurencji przeciw socjalizmowi określając konkurencję samym tylko słowem *asocjacja?*

Wszystko, cośmy powyżej powiedzieli, stanowi piękną stronę konkurencji, takiej jak ją p. Proudhon rozumie. Przejdźmy teraz do strony brzydkiej, tzn. do strony ujemnej konkurencji, do niedogodności, z którymi jest ona związana, do tego, co ma ona w sobie destrukcyjnego, burzącego, do jej szkodliwych właściwości.

Obraz kreślony przez p. Proudhona ma w sobie coś ponurego.

Konkurencja rodzi nędzę, podżega do wojny domowej, «zmienia strefy przyrodzone», miesza z sobą narody, zakłóca spokój rodzin, znieprawia sumienie publiczne, «obala pojęcia słuszności i sprawiedliwości», moralności oraz, co gorsza, niszczy uczciwy i wolny handel, a w zamian nie daje nawet *wartości syntetycznej,* ceny stałej i uczciwej. Rozczarowuje ona wszystkich, nawet ekonomistów. Dochodzi do tego, że niszczy sama siebie.

Po wszystkim, co p. Proudhon powiada o niej złego, czy może być czynnik bardziej destrukcyjny, wprowadzający większe rozprzężenie do stosunków społeczeństwa burżuazyjnego, szkodliwszy dla zasad i złudzeń p. Proudhona niż konkurencja?

Zauważmy, że konkurencja staje się coraz bardziej niszcząca dla *stosunków burżuazyjnych*, w miarę tego jak pobudza do gorączkowego tworzenia nowych sił wytwórczych, tj. warunków materialnych nowego społeczeństwa. Zła strona konkurencji miałaby, przynajmniej pod tym względem, i coś dobrego w sobie.

«Rozpatrywana od strony swego pochodzenia, konkurencja jako pozycja albo faza ekonomiczna jest koniecznym wynikiem... teorii zmniejszania kosztów produkcji» (I, 235).

Dla p. Proudhona krążenie krwi musi być wynikiem teorii Harveya.

«*Monopol* jest nieuniknionym kresem konkurencji, która go rodzi nieustannym zaprzeczaniem samej siebie. Ten rodowód monopolu jest już jego usprawiedliwieniem... Monopol jest naturalnym przeciwstawieniem konkurencji... lecz skoro konkurencja jest konieczna, to zawiera ona w sobie ideę monopolu, ponieważ monopol jest niejako siedliskiem każdej z konkurujących ze sobą jednostek».

Cieszymy się wraz z p. Proudhonem, że choć raz przynajmniej może on dobrze zastosować swą formułę tezy i antytezy. Wszystkim jest wiadomo, że monopol współczesny zrodzony został przez samą konkurencję.

Co się tyczy treści, to p. Proudhon jest zwolennikiem obrazów poetyckich. Konkurencja tworzyła «z każdego pododdziału pracy rodzaj państwa suwerennego, w którym każdy osobnik występował w całej swej sile i niezawisłości». Monopol jest «*siedliskiem* każdej konkurującej osobistości». «Państwo suwerenne» jest co najmniej tyleż warte co «siedlisko».

Pan Proudhon mówi tylko o monopolu nowoczesnym, zrodzonym przez konkurencję. Ale my wszyscy wiemy, że konkurencję zrodził monopol feudalny. Pierwotnie tedy konkurencja była przeciwieństwem monopolu, nie zaś monopol przeciwieństwem konkurencji. A więc monopol nowoczesny nie jest prostą antytezą; przeciwnie, jest to prawdziwa synteza.

Teza: Monopol feudalny poprzedzający konkurencję.

Antyteza: Konkurencja.

Synteza: Monopol nowoczesny, który jest zaprzeczeniem monopolu feudalnego, o ile zakłada panowanie konkurencji, i który jest zaprzeczeniem konkurencji, o ile jest monopolem.

Tak więc monopol nowoczesny, monopol burżuazyjny, jest monopolem syntetycznym, zaprzeczeniem zaprzeczenia, jednością przeciwieństw. Jest to monopol w stanie czystym, normalnym, racjonalnym. Pan Proudhon staje w sprzeczności z własną filozofią, gdy czyni

z monopolu burżuazyjnego monopol w stanie surowym, *pierwotnym*, sprzecznym, spazmatycznym. Pan Rossi, którego p. Proudhon w kwestii monopolu przytacza kilkakrotnie, zdaje się, że lepiej zrozumiał charakter syntetyczny monopolu burżuazyjnego. W swym «Cours d'Économie Politique» [«Kursie ekonomii politycznej»] odróżnia on monopole sztuczne od monopoli naturalnych. Monopole feudalne — mówi — są sztuczne, tj. samowolne; monopole burżuazyjne są naturalne, tj. racjonalne.

Pan Proudhon tak rozumuje: monopol jest dobrą rzeczą, ponieważ jest to pewna kategoria ekonomiczna, emanacja «nieosobowego rozumu Ludzkości». Konkurencja jest też dobrą rzeczą, ponieważ i ona również jest kategorią ekonomiczną. Ale co nie jest dobre, to konkretna forma monopolu tudzież konkurencji. A co jest jeszcze gorsze, to to, że konkurencja i monopol wzajem się pożerają. Co robić ? Poszukiwać syntezy tych dwóch wiecznych myśli, wydrzeć ją z łona Boga, gdzie spoczywa ona od niepamiętnych czasów.

W życiu praktycznym znajdujemy nie tylko konkurencję, monopol i ich antagonizm, lecz również ich syntezę, będącą nie formułą, lecz ruchem. Monopol wytwarza konkurencję, konkurencja wytwarza monopol. Monopoliści konkurują ze sobą, konkurenci stają się monopolistami. Jeśli monopoliści ograniczają konkurencję pomiędzy sobą przez częściowe zrzeszanie się, konkurencja wzrasta między robotnikami; a im więcej wzrasta masa proletariuszy w stosunku do monopolistów danego narodu, tym zacieklejsza staje się konkurencja pomiędzy monopolistami różnych narodów. Synteza polega tu na tym, że monopol może się utrzymywać tylko przechodząc nieustannie przez walkę konkurencyjną.

Ażeby dialektycznie uzasadnić przejście do *podatków*, które następują po *monopolu*, p. Proudhon mówi nam *o geniuszu społecznym*, który, *przeszedłszy nieustraszenie swą drogę zygzakami*, «idąc krokiem pewnym, *nie żałując niczego* i nie zatrzymując się, gdy *doszedł do zakrętu ku monopolowi*, rzuca wstecz poza siebie spojrzenie *melancholijne* i po głębokim namyśle opodatkowuje wszystkie przedmioty produkcji i tworzy całą organizację administracyjną w tym celu, ażeby *wszystkie stanowiska zostały oddane proletariatowi i opłacane przez ludzi monopolu*».

Cóż rzec o tym geniuszu, co będąc na czczo spaceruje zygzakami? I co powiedzieć o tej przechadzce, która rzekomo nie ma innego celu jak niszczyć burżuazję podatkami, kiedy te podatki służą właśnie do tego, ażeby dostarczać burżuazji środków do utrzymania się w charakterze klasy panującej?

Ażeby dać chociaż niejakie pojęcie o sposobie, w jaki p. Proudhon traktuje szczegóły ekonomiczne, wystarczy powiedzieć, że jego zdaniem *podatek konsumpcyjny* został wprowadzony w interesach równości oraz aby przyjść z pomocą proletariatowi.

Podatek konsumpcyjny rozwinął się na dobre dopiero od czasu zwycięstwa burżuazji. W rękach kapitału przemysłowego, czyli bogactwa umiarkowanego i oszczędnego, które utrzymuje się, odtwarza i powiększa przez bezpośredni wyzysk pracy, podatek konsumpcyjny był środkiem lekkomyślnego, wesołego i rozrzutnego wyzyskiwania bogactwa wielkich panów zajmujących się tylko spożywaniem. Jakub Stewart bardzo dobrze przedstawił ten pierwotny cel podatku konsumpcyjnego w swych «Recherches des Principes de l'Économie Politique» [«Badaniach nad zasadami ekonomii politycznej»], które ogłosił na lat dziesięć przed A. Smithem.

«W prawdziwej monarchii — powiada — panujący zdają się z zazdrością niejako patrzeć na wzrost bogactw i dlatego nakładają podatki na tych, którzy się bogacą — są to podatki na produkcję. Przy rządzie konstytucyjnym podatki spadają głównie na tych, którzy biednieją — są to podatki na konsumpcję. Tak więc panujący nakładają podatki na przemysł... na przykład podatek pogłówny i majątkowy są proporcjonalne do przypuszczalnej zamożności tych, którzy je płacą. Każdy jest opodatkowany stosunkowo do zysku, który przypuszczalnie posiada. Rządy konstytucyjne nakładają zazwyczaj podatki na spożycie. Każdy jest opodatkowany stosunkowo do swoich wydatków».

Co do *następstwa logicznego* — w głowie p. Proudhona — podatków, bilansu handlowego, kredytu, zauważymy tylko, że burzuazja angielska, doszedłszy pod Wilhelmem Orańskim do władzy politycznej, stworzyła natychmiast nowy system podatkowy, kredyt publiczny i system ceł ochronnych, gdy tylko miała możność swobodnego rozwoju warunków swojej egzystencji.

Przegląd ten wystarczy, aby dać czytelnikowi właściwe pojęcie o elukubracjach p. Proudhona na temat policji czy podatków, bilansu handlowego, kredytu, komunizmu i zaludnienia. Nie wierzymy, aby nawet najłagodniejsza krytyka mogła poważnie rozpatrywać te rozdziały.

§ 4

WŁASNOŚĆ ALBO RENTA

W każdej epoce historycznej własność rozwijała się różnie i w szeregu najzupełniej odmiennych stosunków społecznych. A przeto określić własność burżuazyjną nie jest to nic innego jak przedstawić wszystkie stosunki społeczne produkcji burżuazyjnej.

Chcieć dać definicję własności jako stosunku niezależnego, jako odrębnej kategorii, oderwanej i wiecznej idei, znaczy to tylko oddawać się złudzeniom metafizycznym lub prawniczym.

Mówiąc na pozór o własności w ogóle p. Proudhon zajmuje się jedynie *własnością ziemską, rentą gruntową.*

«Pochodzenie renty jak i własności jest, że się tak wyrazimy, pozaekonomiczne: kryje się w rozważaniach psychologicznych i moralnych, mających ledwie bardzo oddalony związek z wytwarzaniem bogactw» (t. II, str. 266).

Tak tedy p. Proudhon uznaje się za niezdolnego do zrozumienia pochodzenia ekonomicznego renty i własności. Przyznaje, iż ta niezdolność zmusza go do uciekania się do rozważań natury psychologicznej i moralnej, które, mając zaledwie bardzo oddalony związek z wytwarzaniem bogactw, mają jednakże bardzo bliski związek z ciasnotą jego poglądów historycznych. Pan Proudhon utrzymuje, że pochodzenie własności ma w sobie coś *mistycznego i tajemniczego.* Otóż gdy się widzi tajemnicę w pochodzeniu własności, tj. gdy się przekształca w tajemnicę stosunek samej produkcji do podziału narzędzi produkcji, to czy to nie znaczy, mówiąc językiem p. Proudhona, że zrzeka się wszelkiej pretensji do nauki ekonomicznej?

Pan Proudhon «*ogranicza się* do przypomnienia, że w siódmej epoce ewolucji ekonomicznej — w epoce *kredytu* — gdy fikcja wy-

parła rzeczywistość, a działalności ludzkiej groziło niebezpieczeństwo zagubienia się w pustce, stało się rzeczą konieczną *silniej związać człowieka z naturą;* i otóż renta była ceną tej nowej umowy» (t. II, str. 265).

*Człowiek z czterdziestoma dukatami** przeczuł, że zjawi się p. Proudhon: «Za przeproszeniem, panie Stwórco — każdy jest panem w swoim świecie; lecz nigdy nie zmusi mnie Pan do tego, abym wierzył, że świat, w którym my żyjemy, jest ze szkła». W Pańskim świecie, gdzie kredyt był środkiem do *zagubienia się w pustce*, bardzo to możliwe, iż własność stała się potrzebna, aby *związać człowieka z naturą*. W świecie produkcji rzeczywistej, gdzie własność ziemska zawsze poprzedza kredyt, *horror vacui*** p. Proudhona nie mógł istnieć.

Skoro się już przyjmuje istnienie renty, jakiekolwiek zresztą byłoby jej pochodzenie, staje się ona przedmiotem dyskusji i umowy pomiędzy dzierżawcą a właścicielem ziemskim. Jakiż jest ostateczny wynik tej dyskusji albo, innymi słowy, jaka jest przeciętna wysokość renty? Oto, co mówi p. Proudhon:

«Teoria Ricarda odpowiada na to pytanie. W początkach życia społecznego, gdy człowiek, istota na tej ziemi nowa, miał przed sobą tylko niezmierzone lasy i ogromną przestrzeń, przemysł zaś dopiero zaczynał się rodzić, renta równała się zeru. Ziemia, jeszcze nie obrobiona, była rzeczą użyteczną, ale nie była wartością wymienną; była wspólna, lecz nie społeczna. Z czasem wskutek rozmnożenia się rodzin i postępów rolnictwa nauczono się cenić ziemię. Praca nadała glebie wartość i stąd powstała renta. Pole tym większą miało wartość, im więcej rodziło plonów przy tej samej ilości pracy; toteż dążeniem właścicieli było zawsze przywłaszczanie sobie całości plonów wyjąwszy płacę roboczą farmera, tzn. koszty produkcji. W ten sposób własność idzie w ślad za pracą, aby zagarnąć z produktu to wszystko, co przenosi koszty rzeczywiste. Podczas gdy właściciel spełnia w stosunku do poddanego chłopa jakiś mistyczny obowiązek i jest wobec niego przedstawicielem społeczeństwa, poddany w zamiarach Opatrzności jest tylko odpowiedzialnym pracownikiem, obowiązanym

* Postać z opowiadania Woltera pod tym tytułem. — *Red.*

** Lęk przed próżnią. — *Red.*

zdawać społeczeństwu sprawę z wszystkiego, co zbierze ponad należną mu z prawa płacę roboczą... Z istoty więc swojej i przeznaczenia renta stanowi tylko narzędzie rozdawczej sprawiedliwości, jeden z tysiąca środków, którymi posługuje się geniusz ekonomiczny, aby osiągnąć równość. Jest to olbrzymi kadaster, sporządzany z przeciwnych punktów widzenia przez właścicieli i dzierżawców, bez możliwości kolizji, w celach wyższych; jego ostatecznym wynikiem powinno być zrównanie rolników i przemysłowców pod względem władania ziemią... Potrzeba było całej tej magii własności, ażeby wydrzeć poddanemu chłopu nadwyżkę produktów, której nie mógł on nie uważać za swą własność, a siebie za jej wyłącznego twórcę. Renta albo, lepiej powiedziawszy, własność przełamała egoizm rolniczy i wytworzyła solidarność, której żadna moc, żaden podział ziemi nie mógł zrodzić... Dzisiaj, gdy własność wywarła swój wpływ moralny, pozostaje jeszcze dokonać podziału renty».

Cały ten potok gromkich słów sprowadza się zrazu do następującej rzeczy: Ricardo powiada, że nadwyżka ceny produktów rolnych nad kosztami ich produkcji łącznie z zyskiem i zwykłym procentem od kapitału jest miarą renty. Pan Proudhon lepiej robi. Każe on wtrącać się do sprawy jak deus ex machina* właścicielowi, który wydziera poddanemu całą nadwyżkę produktów ponad kosztami produkcji. Tą interwencją właściciela posługuje się on, aby wytłumaczyć własność, a interwencją rentiera, aby wytłumaczyć rentę. Odpowiada na pytanie stawiając to samo pytanie i jeszcze je zwiększając o jedną sylabę.

Zauważmy jeszcze, że określając rentę przez różnicę urodzajności ziemi p. Proudhon przypisuje jej nowe pochodzenie, ponieważ ziemia, zanim była oceniana według rozmaitych stopni urodzajności, «nie była», jego zdaniem, «wartością wymienną, ale była wspólna». A gdzież się więc podziała ta fikcja renty, która się zrodziła z *konieczności* zwrócenia *ziemi* człowieka *mającego zagubić się w nieskończonej pustce?*

* Dosłownie: bóg z maszyny (teatralnej). Wyrażenie oznaczające nagły i niespodziewany udział jakiejś osoby (w starożytności bóstwa) lub przypadku w rozwiązaniu sytuacji; określenie zaczerpnięte z dziejów tragedii starogreckiej. — *Red.*

Uwolnijmyż teraz doktrynę Ricarda z tych opatrznościowych, alegorycznych i mistycznych frazesów, w które z takim staraniem spowił ją p. Proudhon.

Renta w sensie Ricarda jest to własność ziemska w stanie burżuazyjnym, tzn. własność feudalna, która podpadła pod warunki produkcji burżuazyjnej.

Widzieliśmy, że według doktryny Ricarda cenę wszystkich przedmiotów określa się ostatecznie przez koszty produkcji włącznie z zyskiem przemysłowym; innymi słowy, przez zużyty czas roboczy. W manufakturze cena produktu wytworzonego najmniejszą ilością pracy reguluje cenę wszystkich innych towarów tego samego rodzaju, zważywszy, że można mnożyć do nieskończoności najtańsze i najwydatniejsze narzędzia produkcji i że wolna konkurencja ustanawia cenę rynkową, czyli jedną wspólną cenę dla wszystkich produktów tego samego rodzaju.

W przemyśle rolnym, przeciwnie, cenę wszystkich produktów tego samego rodzaju reguluje cena produktu wytworzonego największą ilością pracy. Przede wszystkim, nie można tutaj jak w manufakturze mnożyć dowolnie narzędzi produkcji o tym samym stopniu wydajności, czyli gruntów o tym samym stopniu urodzajności. Następnie, w miarę tego jak ludność wzrasta, przechodzi się do uprawiania gruntów gorszego gatunku albo do wkładania w ten sam grunt nowych kapitałów stosunkowo mniej produkcyjnych niż pierwsze. W jednym i drugim przypadku zużywa się większą ilość pracy, aby otrzymać produkt stosunkowo mniejszy. Ponieważ potrzeby ludności stworzyły konieczność tej dodatkowej pracy, produkt gruntów uprawianych większym kosztem musi znaleźć dla się zbyt zupełnie tak samo jak produkt gruntów o tańszej uprawie. Ponieważ konkurencja wyrównuje ceny rynkowe, produkt z lepszego gruntu sprzedawać się będzie po takiej samej cenie jak produkt z gruntu gorszego. Nadwyżka ceny produktów z lepszego gruntu nad kosztami ich produkcji stanowi właśnie rentę. Gdyby można było mieć zawsze do rozporządzenia grunty o tym samym stopniu urodzajności; gdyby można było uciekać się zawsze, jak w manufakturze, do maszyn tańszych i wydajniejszych; albo gdyby następne wkłady kapitału przynosiły tyleż co i pierwsze — wówczas cena produktów rolnych byłaby

określana przez cenę produktów wytworzonych najlepszymi narzędziami produkcji, tak jakżeśmy to widzieli przy cenie produktów manufaktury. Ale z tą chwilą renta by zniknęła.

Aby teoria Ricarda była ogólnie prawdziwa, po temu trzeba jeszcze, ażeby kapitały można było stosować swobodnie do rozmaitych gałęzi przemysłu; ażeby silnie rozwinięta konkurencja między kapitalistami doprowadziła zyski do tego samego poziomu; ażeby farmer był jedynie kapitalistą przemysłowym, domagającym się za włożenie swego kapitału w gorsze grunty zysku równego zyskowi, który by osiągnął włożywszy swój kapitał w jakąkolwiek manufakturę; ażeby uprawa roli prowadzona była systemem wielkoprzemysłowym; wreszcie, ażeby właściciel ziemski miał na widoku wyłącznie dochód pieniężny.

Może się zdarzyć, jak w Irlandii, że renta jeszcze nie istnieje, chociaż system farm doszedł tam do wysokiego stopnia rozwoju. Ponieważ renta jest nadwyżką nie tylko nad płacą roboczą, lecz i nad zyskiem przemysłowym, nie mogłaby ona istnieć tam, gdzie dochód właściciela jest jedynie potrąceniem z płacy roboczej.

Renta przeto nie tylko nie robi z uprawiającego ziemię, z farmera — *prostego robotnika* ani «nie odbiera poddanemu chłopu nadwyżki produktu, której nie może on nie uważać za swą własność», ale właścicielowi ziemskiemu — zamiast niewolnika, poddanego, chłopa-czynszownika, najemnika — przeciwstawia kapitalistę przemysłowego, który eksploatuje ziemię za pomocą własnych robotników najemnych, a właścicielowi ziemskiemu płaci jako dzierżawę tylko nadwyżkę ponad koszty produkcji liczone łącznie z dochodem od kapitału. Długo to trwało, zanim dzierżawcę feudalnego zastąpił kapitalista przemysłowy. W Niemczech np. ta przemiana rozpoczęła się dopiero w ostatnich trzydziestu latach XVIII wieku. I tylko w Anglii ten stosunek między kapitalistą przemysłowym a obywatelem ziemskim rozwinął się w całej pełni.

Dopóki byli jedynie *chłopi-poddani* («colons») p. Proudhona, to renty nie było. Od kiedy zaś jest renta, to dzierżawcy nie są kolonami, tylko robotnicy są kolonami dzierżawców. Obniżenie robotnika rolnego do roli prostego wyrobnika dniówkowego, pracu-

jącego na przemysłowego kapitalistę; pojawienie się kapitalisty-przemysłowca eksploatującego ziemię w taki sam sposób jak wszelką inną fabrykę; przemiana właściciela ziemskiego z drobnego suwerennego władcy w zwykłego lichwiarza — oto są różne stosunki, których wyrazem jest renta.

Renta, jak ją pojmuje Ricardo, jest to patriarchalne rolnictwo przekształcone na przemysł handlowy, zastosowanie kapitału przemysłowego do ziemi, przeniesienie burżuazji miejskiej na wieś. Zamiast *wiązać ściślej człowieka z naturą* renta połączyła tylko rolnictwo z konkurencją. Ustanowiona jako renta, własność ziemska jest sama *rezultatem konkurencji*, ponieważ od tego czasu staje się ona zależna od ceny rynkowej produktów rolnych. Jako renta własność ziemska zostaje uruchomiona i robi się przedmiotem handlu. Renta jest możliwa dopiero od tej chwili, gdy rozwój przemysłu miejskiego i będąca jego wynikiem organizacja społeczna zmuszają właściciela ziemskiego, aby dążył tylko do zysku z handlu, do dochodu pieniężnego ze swych produktów rolnych, i aby wreszcie widział w swej własności ziemskiej wyłącznie maszynę do robienia pieniędzy. Renta tak całkowicie oderwała właściciela ziemskiego od ziemi, od natury, że nie ma on nawet potrzeby znać swych posiadłości, jak to widzimy w Anglii. Co się tyczy farmera, kapitalisty przemysłowego i robotnika rolnego, to nie więcej są oni przywiązani do ziemi, którą uprawiają, jak przedsiębiorca lub robotnik z manufaktury do bawełny albo wełny, którą przerabia; przywiązanie czuje on tylko do ceny produktów, do dochodu pieniężnego. Stąd te jeremiady partii reakcyjnych, które z całego serca wołają o powrót do feudalizmu, do dobrego życia patriarchalnego, do prostoty obyczajów i wielkich cnót przodków. Poddanie ziemi pod prawa rządzące wszystkimi innymi gałęziami przemysłu jest i będzie zawsze przedmiotem żalów ze strony zainteresowanych. Można więc powiedzieć, że renta stała się tą siłą, która pchnęła idyllę na drogę historycznego ruchu.

Ricardo, przyjąwszy produkcję burżuazyjną jako nieodzowny warunek istnienia renty, niemniej jednak stosuje rentę do własności ziemskiej wszystkich epok i wszystkich krajów. Są to błędy wspólne wszystkim ekonomistom, którzy stosunki produkcji burżuazyjnej wyobrażają sobie jako wieczne kategorie.

Od opatrznościowego celu renty, którym jest dla p. Proudhona przekształcenie *poddanego* («kolona») w *odpowiedzialnego robotnika*, przechodzi on następnie do podziału renty według zasady równości.

Renta, jakżeśmy to widzieli, tworzy się wskutek *jednakowej ceny* produktów z gruntów *niejednakowej urodzajności*, tak że hektolitr zboża, który kosztował 10 franków, sprzedaje się za 20 franków, jeżeli koszty produkcji na gruncie niższego gatunku wynoszą 20 franków.

O ile potrzeba zmusza do kupowania wszystkich produktów rolnych dostarczanych na rynek, cena rynkowa określa się według kosztów produkcji produktów najdroższych. To właśnie zrównanie ceny, wypływające z konkurencji, a nie z różnicy urodzajności gruntów, daje właścicielowi lepszego gruntu rentę 10 franków od każdego hektolitra, który sprzeda jego farmer.

Przypuśćmy na chwilę, że cena zboża określa się przez czas pracy potrzebny do jego wyprodukowania, a natychmiast hektolitr zboża z najlepszego gruntu sprzedawać się będzie po 10 franków, podczas gdy za hektolitr zboża z gorszego gruntu płacić się będzie 20 franków. Przypuściwszy to będziemy mieli, że przeciętna cena rynkowa wypadnie 15 franków, podczas gdy według prawa konkurencji wynosi ona 20 franków. Gdyby przeciętna cena wynosiła 15 franków, to nie byłoby żadnego podziału, ani na zasadzie równości, ani innego, ponieważ nie byłoby renty. Renta istnieje tylko przez to właśnie, że hektolitr zboża, który producenta kosztuje 10 franków, sprzedaje się za 20 franków. Pan Proudhon zakłada równość ceny rynkowej przy nierównych kosztach produkcji, ażeby dojść do równościowego podziału produktu nierówności.

Pojmujemy, dlaczego tacy ekonomiści jak Mill*, Cherbuliez, Hilditsch i inni żądali, aby rentę przekazywać państwu i obracać ją na pokrywanie podatków. Jest to otwarty wyraz nienawiści, żywionej przez kapitalistę przemysłowego do właściciela ziemskiego, który wydaje mu się kimś bezużytecznym i zbędnym w całokształcie produkcji burżuazyjnej.

* Mowa o Jamesie Millu, ojcu Johna Stuarta Milla. — *Red.*

Lecz kazać sobie płacić za hektolitr zboża po 20 franków, aby potem urządzać ogólne dzielenie 10 franków pobranych za dużo od spożywców, to wystarcza, aby *geniusz społeczny* szedł dalej *melancholijnie swą drogą w zygzaki i, o pierwszy lepszy róg* uderzywszy głową, nabił sobie guza.

Pod piórem p. Proudhona renta staje się «olbrzymim *kadastrem*, z przeciwnych punktów widzenia sporządzonym przez właścicieli i dzierżawców... w celach wyższych, którego ostatecznym wynikiem powinno być zrównanie rolników i przemysłowców pod względem władania ziemią».

Wszelki kadaster utworzony przez rentę może posiadać wartość praktyczną jedynie w warunkach dzisiejszego społeczeństwa.

Lecz myśmy już dowiedli, że czynsz dzierżawny płacony właścicielowi przez farmera stanowi mniej więcej dokładny wyraz renty tylko w krajach najbardziej rozwiniętych pod względem przemysłu i handlu. A i to zawiera on często w sobie jeszcze i procent od kapitału włożonego w ziemię. Położenie gruntu, sąsiedztwo miast i wiele innych okoliczności wpływa na czynsz dzierżawny i zmienia rentę. Te niezbite racje wystarczyłyby, aby dowieść niedokładności kadastru opartego na rencie.

Z drugiej strony, renta nie mogłaby też służyć za stałą wskazówkę stopnia urodzajności gruntu, ponieważ nowoczesne zastosowanie chemii coraz to zmienia naturę gruntu, a wiadomości z geologii zaczynają właśnie w naszych czasach obalać dawny sposób szacowania względnej urodzajności; dopiero od jakichś lat dwudziestu zaczęto uprawiać rozległe ziemie we wschodnich hrabstwach Anglii, które pozostawiano odłogiem, gdyż nie potrafiono ocenić należycie związku pomiędzy czarnoziemem a składem podglebia.

Tak więc historia nie tylko że wcale nie daje nam w rencie gotowego już kadastru, ale właśnie wyłącznie zmienia i wywraca kadastry już utworzone.

A wreszcie urodzajność nie jest własnością tak od natury daną, jak można by przypuszczać — wiąże się ona ściśle z obecnymi stosunkami społecznymi. Jakaś ziemia może być bardziej urodzajna, gdy na niej siać zboże, a przecież ceny rynkowe mogą skłonić rolnika do zrobienia z niej sztucznej łąki i do uczynienia jej przez to nieurodzajną.

Pan Proudhon wymyślił swój kadaster, który niewart jest nawet zwyczajnego kadastru, tylko po to, aby ucieleśnić w nim *opatrznościowo-wyrównawczy cel* renty.

«Renta — ciągnie dalej p. Proudhon — jest procentem płaconym od kapitału, który nie ginie nigdy: od ziemi. A ponieważ ten kapitał, co się tyczy materii, powiększony być nie może, lecz daje się tylko nieograniczenie ulepszać pod względem używania go, zdarza się przeto, że podczas kiedy procent i zysk z wypożyczania (*mutuum*) skutkiem obfitości kapitałów dąży do ciągłego zmniejszania się, renta dąży do ciągłego wzrostu wskutek doskonalenia się przemysłu, które to doskonalenie się pociąga za sobą ulepszenie uprawy roli... Taka jest w istocie swojej renta» (t. II, str. 265).

Tym razem p. Proudhon widzi w rencie wszystkie oznaki procentu, z tą różnicą, że pochodzi ona od kapitału swoistej natury. Kapitał ten — to ziemia, kapitał wieczny, który «co się tyczy materii, powiększony być nie może, lecz daje się tylko nieograniczenie ulepszać pod względem używania go». W rozwoju cywilizacji procent ma ciągłą tendencję zniżkową, podczas gdy renta ciągle dąży do podniesienia się. Procent spada z powodu obfitości kapitałów; renta wzrasta w miarę ulepszeń w przemyśle, pociągających za sobą coraz to lepsze sposoby wykorzystywania ziemi.

Takie jest w istocie swojej zdanie p. Proudhona.

Zbadajmy najpierw, do jakiego stopnia słuszne jest twierdzenie, iż renta to procent od kapitału.

Dla samego właściciela ziemskiego renta przedstawia procent od kapitału, który zapłacił za ziemię albo który by mógł za nią dostać, gdyby ją sprzedał. Ale kupując lub sprzedając ziemię kupuje on lub sprzedaje tylko rentę. Cena, którą daje nabywając rentę, regulowana jest ogólną stopą procentową i nie ma nic wspólnego z samą naturą renty. Procent od kapitałów umieszczonych w ziemi jest na ogół niższy niż procent od kapitałów umieszczonych w przemyśle lub handlu. Dla kogoś zatem, kto nie odróżnia procentu przynoszonego przez ziemię jej właścicielowi od samej renty, procent od kapitału włożonego w ziemię zmniejsza się jeszcze bardziej niż procent od innych kapitałów. Lecz nie chodzi o cenę kupna czy sprzedaży renty, nie o jej wartość rynkową, nie o rentę skapitalizowaną; chodzi o samą rentę.

Czynsz dzierżawny może zawierać w sobie oprócz właściwej renty jeszcze i procent od kapitału włożonego w ziemię. Wówczas właściciel otrzymuje tę część czynszu dzierżawnego nie jako właściciel, ale jako kapitalista; nie jest to jednakże ta renta właściwa, o której mamy mówić.

Dopóki nie używa się ziemi jako środka produkcji, dopóty ziemia nie jest kapitałem. Ziemię-kapitał można powiększać zupełnie tak samo jak wszystkie inne środki produkcji. Mówiąc językiem p. Proudhona nie dodaje się do niej nic, co się tyczy jej materii, lecz pomnaża się ziemie, które służą jako środek produkcji. Już przez to samo, że się po raz drugi wkłada kapitał w ziemię zamienioną przedtem na środek produkcji, powiększa się tę ziemię-kapitał nic nie dodając do niej jako do ziemi-materii, czyli do jej obszaru. Ziemia-materia p. Proudhona jest to ziemia rozpatrywana w jej granicach. Co do wieczności, którą on jej przypisuje, to owszem, nie mamy nic przeciwko temu, aby posiadała ona tę własność jako materia. Ale ziemia-kapitał nie bardziej jest wieczna niż jakikolwiek inny kapitał.

Złoto i srebro, które przynoszą procent, są tak samo trwałe i wieczne jak ziemia. Jeżeli cena złota i srebra spada, gdy tymczasem cena ziemi wzrasta, nie pochodzi to z pewnością z mniej lub więcej wiecznej natury ziemi.

Ziemia-kapitał jest kapitałem zakładowym, ale zakładowy kapitał równie dobrze się zużywa jak kapitały obrotowe. Ulepszenia gruntu należy ponawiać i podtrzymywać; trwają one tylko przez jakiś czas i pod tym względem zupełnie są podobne do wszelkich innych ulepszeń, którymi się posługujemy, aby zrobić z materii środek produkcji. Gdyby ziemia-kapitał była wieczna, to niektóre kraje wyglądałyby zgoła inaczej niż dzisiaj. Kampanię rzymską, Sycylię, Palestynę, oglądalibyśmy dotychczas w całym blasku dawnego ich rozkwitu.

Możebne są nawet i takie przypadki, żeby ziemia-kapitał zniknęła, a poczynione w niej ulepszenia pozostały w mocy.

Po pierwsze, zdarza się to zawsze wtedy, kiedy właściwa renta znika, zniweczona przez konkurencję nowych urodzajniejszych gruntów; po drugie, ulepszenia, które w pewnej epoce mogły mieć swoją wartość, tracą tę wartość z chwilą, gdy rozwój agronomii czyni je powszechnymi.

Przedstawicielem ziemi-kapitału nie jest właściciel ziemski, ale farmer. Dochód, który daje ziemia jako kapitał, jest to procent i zysk przedsiębiorcy, a nie renta. Są ziemie, które przynoszą ten procent i ten zysk, a renty nie przynoszą wcale.

Streszczając się: ziemia, o ile daje procent, jest ziemią-kapitałem, a jako ziemia-kapitał renty nie daje i własności ziemskiej nie stanowi. Renta wynika ze stosunków społecznych, w których ziemię się uprawia. Nie może ona być rezultatem mniej lub więcej odpornej, mniej lub więcej trwałej natury ziemi. Renta nie z ziemi płynie, renta jest pochodzenia społecznego.

Zdaniem p. Proudhona, «ulepszanie uprawy ziemi» — skutek «udoskonaleń technicznych» — jest przyczyną ciągłego wzrostu renty. Ulepszanie to, przeciwnie, sprowadza okresowe jej spadanie.

Na czym polega w ogóle wszelkie ulepszenie czy to w rolnictwie, czy w przemyśle? Na tym, że tym samym nakładem pracy wytwarza się więcej lub że wytwarza się tyleż albo nawet więcej, mniejszym nakładem pracy. Dzięki takim ulepszeniom farmer nie potrzebuje pracować więcej, aby otrzymać produkt stosunkowo mniejszy; nie potrzebuje uciekać się do gruntów niższego gatunku, a czynione w stosunku do tej samej ziemi jego kolejne wkłady kapitału pozostają jednakowo produkcyjne. A zatem ulepszenia te dalekie są od tego, ażeby — jak to powiada p. Proudhon — przyczyniać się do ciągłego wzrostu renty; przeciwnie, stanowią one czasowe przeszkody, które jej nie pozwalają rosnąć.

Angielscy właściciele ziemscy XVII wieku znali prawdę tę tak dobrze, iż sprzeciwiali się postępom w rolnictwie obawiając się zmniejszenia swych dochodów (Patrz *Petty*, ekonomista angielski z czasów Karola II).

§ 5

STRAJKI I KOALICJE ROBOTNICZE

«Żadna podwyżka płac roboczych nie może mieć innego skutku jak tylko podwyżkę cen zboża, wina itd., czyli ma ten sam skutek, co brak żywności. Czym bowiem jest płaca robocza? Są to koszty

produkcji zboża itd.; jest to całkowita cena wszelkich rzeczy. Idźmy dalej. Płaca robocza jest proporcjonalnością elementów, z których składa się bogactwo i które są codziennie reprodukcyjnie spożywane przez masę robotniczą. Otóż podwoić płacę roboczą ... znaczy to dać każdemu z producentów część większą od jego produktu, co zawiera w sobie sprzeczność; jeśli zaś podwyżka dotyczy tylko małej liczby gałęzi przemysłu, to wywoła ogólne zamieszanie w wymianie, słowem — *drożyznę*... Utrzymuję, że jest rzeczą niemożliwą, aby strajki, po których następuje podwyżka płacy roboczej, nie wywoływały *ogólnej zwyżki cen:* jest to tak pewne jak dwa razy dwa cztery» (*Proudhon*, t. I, str. 110 i 111).

Zaprzeczamy wszystkim tym twierdzeniom — z wyjątkiem tego, że dwa razy dwa jest cztery.

Przede wszystkim, nie istnieje żadna *ogólna zwyżka cen.* Jeżeli cena wszystkich rzeczy podwaja się jednocześnie z płacą roboczą, to nie zachodzi żadna zmiana w cenach, tylko zmiana w słowach.

A następnie, ogólna zwyżka płac roboczych nie może nigdy doprowadzić do mniej lub więcej ogólnego podrożenia towarów. Istotnie, gdyby wszystkie gałęzie przemysłu zatrudniały tę samą liczbę robotników w stosunku do kapitału stałego (narzędzi, którymi się posługują), podwyżka ogólna płacy roboczej sprowadziłaby ogólną zniżkę zysków i cena bieżąca towarów nie uległaby żadnej zmianie.

Ponieważ jednak stosunek pracy ręcznej do stałego kapitału nie jest taki sam w różnych gałęziach przemysłu, więc wszystkie te gałęzie przemysłu, które używają stosunkowo większego kapitału stałego a mniej robotników, prędzej czy później zmuszone będą obniżyć cenę swych towarów. W przeciwnym razie, gdy cena ich towarów nie spadnie, ich zysk podniesie się ponad zwykłą skalę zysków. Maszyny płacy roboczej nie dostają. A zatem ogólna podwyżka płac mniej dotknie te gałęzie przemysłu, które używają w porównaniu do innych więcej maszyn niż robotników. Ale że konkurencja zawsze dąży do zrównania skali zysków, przeto zyski wznoszące się ponad poziom innych mogą być tylko czasowe. W ten tedy sposób, nie biorąc pod uwagę pewnych wahań, powszechna podwyżka płac roboczych sprowadzi nie powszechne podrożenie, jak twierdzi p. Proudhon, ale

częściową zniżkę, tj. obniżenie ceny rynkowej tych towarów, które się wytwarza głównie z pomocą maszyn.

Zwyżka i zniżka zysku i płacy roboczej wyrażają jedynie stosunek, w jakim kapitaliści i robotnicy uczestniczą w produkcie dnia roboczego, lecz na cenę tego produktu w większości przypadków nie wpływają. To zaś, że «strajki, po których następuje podwyżka płacy roboczej, prowadzą do ogólnej zwyżki cen i nawet do drożyzny» — są to idee, które mogą się zrodzić tylko w mózgu zapoznanego poety.

W Anglii strajki były z reguły powodem do wynajdowania i stosowania jakichś nowych maszyn. Maszyny, rzec można, były bronią, której używali kapitaliści do tłumienia buntów ze strony robotników wykwalifikowanych. «Self-acting-mule» [automatyczny warsztat tkacki], ten największy wynalazek nowoczesnego przemysłu, spędził z pola walki zbuntowanych przędzarzy. Gdyby koalicje i strajki miały tylko ten skutek, że z ich powodu występowano przeciw robotnikom z wynalazkami mechanicznymi, to już przez to samo wywierałyby one wielki wpływ na rozwój przemysłu.

«Czytam — ciągnie dalej p. Proudhon — w artykule ogłoszonym przez p. Leona Faucher*... we wrześniu 1845 r., że od pewnego czasu robotnicy angielscy odzwyczaili się od *koalicyj* — jest to bez wątpienia postęp, którego im można tylko powinszować — lecz że tylko to podniesienie się moralności robotników pochodzi głównie z ich wykształcenia ekonomicznego. Na mityngu w Boltonie pewien robotnik przędzarz zawołał, że płaca robocza zależy nie od fabrykantów. W czasach zastoju przemysłowcy są, żeby tak powiedzieć, tylko biczem w rękach konieczności i, czy chcą, czy nie chcą, smagać muszą. Zasadą regulującą jest stosunek podaży do popytu, a fabrykanci tej władzy nie mają... Znakomicie — wykrzykuje p. Proudhon — oto są robotnicy dobrze wytresowani, wzorowi itd., itd. Jeszcze tej biedy Anglii brakło: nie przejdzie ona przez cieśninę» (*Proudhon*, t. I, str. 261 i 262).

Ze wszystkich miast angielskich w Boltonie radykalizm jest naj-

* Proudhon cytuje artykuł Leona Faucher «Les coalitions condamnées par les ouvriers anglais» [«Angielscy robotnicy odrzucają koalicję»], który ukazał się w «Journal des Économistes» [«Gazeta Ekonomistów»], Paryż 1845. — *Red.*

bardziej rozwinięty. Robotnicy w Boltonie znani są jako najzawziętsi rewolucjoniści. Gdy prowadzono w Anglii wielką agitację za zniesieniem ceł na zboże*, fabrykanci angielscy uważali, że nie mogą występować skutecznie przeciw właścicielom ziemskim inaczej, jak tylko wysuwając naprzód robotników. Lecz że pomiędzy interesami robotników a fabrykantów nie mniejsza zachodzi sprzeczność niż między interesami fabrykantów a właścicieli ziemskich, fabrykanci z natury rzeczy musieli ponosić porażki na mityngach robotniczych. Cóż więc fabrykanci robili? Aby ocalić pozory, urządzali mityngi złożone po większej części z majstrów, z niewielkiej liczby oddanych sobie robotników, tudzież z *przyjaciół handlu* w ścisłym znaczeniu tego słowa. Kiedy następnie prawdziwi robotnicy próbowali, np. w Boltonie i Manchesterze, brać w tych mityngach udział, aby zaprotestować przeciw tym sztucznym demonstracjom, nie wpuszczano ich mówiąc, że są to *ticket-meetings*, tzn. takie, na które mają prawo wejścia tylko osoby zaopatrzone w karty wstępu. Tymczasem afisze na murach porozlepiane zapowiadały mityngi publiczne. Dzienniki fabrykantów dawały pompatyczne i szczegółowe sprawozdania z mów wygłaszanych na każdym z tych mityngów. Były to oczywiście mowy majstrów. Dzienniki londyńskie przytaczały je dosłownie. Pan Proudhon ma nieszczęście brać majstrów za zwyczajnych robotników i surowo im zabrania przepływać kanał [La Manche].

Jeżeli w latach 1844 i 1845 strajki mniej się rzucały w oczy niż poprzednio, to dlatego, iż były to pierwsze od roku 1837 pomyślne lata dla przemysłu angielskiego. Niemniej żaden z trade-unions [związków zawodowych] nie został rozwiązany.

Posłuchajmy teraz majstrów z Boltonu. Według nich fabrykanci nie są panami płacy roboczej, ponieważ nie panują nad ceną produktów; a nie panują nad tą ceną, bo nie są panami rynku światowego. Z tej to racji, dawali oni do zrozumienia, nie należy urządzać koalicji, aby wymusić na fabrykantach podwyżkę płac. Pan Proudhon zaś, przeciwnie, zabrania im koalicji z obawy, aby po koalicji nie nastąpiło podwyższenie płac, które by pociągnęło za sobą ogólną drożyznę. Nie potrzebujemy mówić, że na jednym jedynym punkcie

* 1838—1846/9, por. także przypis na str. 189. — *Red.*

panuje serdeczna zgoda pomiędzy majstrami a p. Proudhonem: że mianowicie podwyżka płac jest równoznaczna z podwyżką cen produktów.

Lecz czy obawa drożyzny jest prawdziwą przyczyną urazy p. Proudhona? Nie. Gniewa on się na majstrów z Boltonu po prostu dlatego, że określają oni wartość przez *podaż i popyt*, a wcale się nie troszczą o *wartość ukonstytuowaną*, o wartość, która osiągnęła stan ukonstytuowania się, o konstytuowanie się wartości, łącznie ze *stałą wymienialnością* i wszystkimi innymi *proporcjonalnościami stosunków i stosunkami proporcjonalności*, wspieranymi przez Opatrzność.

«Strajk robotników jest *bezprawiem;* mówi to nie tylko kodeks karny, ale system ekonomiczny, konieczność ustalonego porządku... Można to tolerować, ażeby każdy robotnik indywidualnie posiadał swobodę dowolnego rozporządzania swoją osobą i rękami, ale społeczeństwo nie może pozwolić na to, aby robotnicy z pomocą koalicyj gwałcili monopol» (t. I, str. 235 i 237).

Pan Proudhon chce nam wmówić, że pewien arktykuł kodeksu karnego stanowi konieczny i ogólny rezultat stosunków produkcji burżuazyjnej.

W Anglii koalicje są dozwolone aktem parlamentarnym i to właśnie system ekonomiczny zmusił parlament do wydania tego prawa. W 1825 r., kiedy za ministerstwa Huskissona parlament był zmuszony do zmienienia ustaw, by lepiej je uzgodnić ze stanem rzeczy wynikającym z wolnej konkurencji, musiał on też z konieczności znieść wszystkie te ustawy, które zabraniały koalicji robotniczych. Im więcej rozwijają się przemysł współczesny oraz konkurencja, tym więcej pojawia się czynników, które wywołują i sprzyjają powstawaniu koalicyj, a gdy tylko koalicje stają się faktem ekonomicznym, który z każdym dniem coraz bardziej się utrwala, to nie mogą one nie stać się wkrótce faktem prawnym.

A zatem ów artykuł kodeksu karnego dowodzi co najwyżej tego, że nowoczesny przemysł i konkurencja nie były jeszcze należycie rozwinięte za czasów Zgromadzenia Ustawodawczego* i Cesarstwa**.

* Zgromadzenie Ustawodawcze 1789 r. — *Red.*

** Napoleona I. — *Red.*

Ekonomiści i socjaliści* są ze sobą zgodni pod tym jednym względem, że potępiają *koalicje*. Tylko odmiennie motywują ten wyrok potępiający.

Ekonomiści mówią robotnikom: Nie twórzcie koalicyj. Tworząc koalicje tamujecie prawidłowy przebieg procesu przemysłowego, przeszkadzacie fabrykantom wykonywać obstalunki, wprowadzacie zamęt do handlu i przyśpieszacie wprowadzenie maszyn, które sprawiają, iż część waszej pracy staje się niepotrzebna, i zmuszają was do zgody na jeszcze niższą płacę roboczą. Zresztą daremne są wasze wysiłki — waszą płacę roboczą określać będzie zawsze stosunek popytu do podaży rąk roboczych, a buntowanie się przeciwko wiecznym prawom ekonomii politycznej jest rzeczą równie śmieszną jak niebezpieczną.

Socjaliści mówią robotnikom: «Nie twórzcie koalicyj, bo ostatecznie co na tym zyskacie? Podwyżkę płac roboczych? Ekonomiści wam dowiodą z całą oczywistością, że za tą zwyżką kilku groszy, które moglibyście w razie wygranej na jakiś czas zyskać, przyjdzie w następstwie trwała zniżka płac roboczych. Zręczni rachmistrze dowiodą wam, że potrzebowalibyście całych lat, aby uzyskana podwyżka płac zdołała wam zwrócić to tylko, co wydacie na organizację i utrzymanie koalicyj. My zaś jako socjaliści, my wam powiemy, że niezależnie od tej pieniężnej kwestii pozostaniecie tak samo jak przedtem robotnikami, a wasi szefowie zawsze waszymi szefami. A przeto żadnych koalicyj, żadnej polityki! Bo czyż tworzyć koalicje nie znaczy to politykować?»

Ekonomiści pragną, ażeby robotnicy pozostawali w ramach takiego społeczeństwa, jakie się obecnie wytworzyło i jakim je oni wciągnęli do swoich podręczników i opieczętowali.

Socjaliści pragną, ażeby robotnicy starym społeczeństwem się nie zajmowali, bo w ten sposób tym łatwiej wejść zdołają do tego nowego, które oni im przygotowali z taką troskliwością.

Mimo jednych i drugich, mimo podręczników i utopij, koalicje ani na chwilę nie przestały rozwijać się i wzrastać w siły wraz z rozwojem i wzrostem przemysłu współczesnego. I to do tego stopnia, że

* Tzn. ówcześni socjaliści: fourieryści we Francji i oweniści w Anglii. — *Przypis F. Engelsa.*

dziś rozwój, do jakiego doszła koalicja w jakimś kraju, oznacza dokładnie stopień, jaki ten kraj zajmuje w hierarchii rynku światowego. Anglia, gdzie przemysł osiągnął najwyższy stopień rozwoju, posiada najobszerniejsze i najlepiej zorganizowane koalicje.

W Anglii nie poprzestano na koalicjach cząstkowych, które miały na celu tylko jakiś strajk przejściowy i wraz z nim znikały. Utworzono koalicje stałe, *trade-unions*, reduty robotnicze w walce z przedsiębiorcami. W chwili obecnej wszystkie te *trade-uniony* miejscowe łączą się z sobą w «*National-Association of United Trades*» [«Zrzeszeszenie Narodowe Związków Zawodowych»], którego komitet centralny znajduje się w Londynie i które liczy już 80.000 członków. Urządzanie strajków, koalicyj, *trade-unionów* odbywało się jednocześnie z prowadzeniem walk politycznych przez robotników, którzy tworzą obecnie wielką partię polityczną pod nazwą *czartystów**.

Pierwsze próby *łączenia się* robotników pomiędzy sobą zawsze przybierają właśnie postać koalicyj.

Wielki przemysł skupia w jednym miejscu masę ludzi obcych sobie i nieznanych. Konkurencja sprawia, że mają oni odmienne interesy. Lecz niedopuszczenie do obniżki płacy roboczej — ten wspólny ich interes, przeciwny do interesu fabrykantów — łączy ich w jednej myśli oporu — *w koalicję*. Koalicja ma zatem zawsze cel podwójny: usunąć konkurencję między robotnikami, aby móc robić ogólną konkurencję kapitaliście. Jeżeli pierwszym celem oporu było tylko utrzymanie płac, to w miarę tego jak kapitaliści ze swej strony łączą się na punkcie represyj w stosunku do robotników, koalicje, zrazu odosobnione, tworzą grupy, a w obliczu zawsze zjednoczonego kapitału utrzymanie tego ich zjednoczenia staje się dla nich ważniejsze od utrzymania płac. Jest to do tego stopnia prawdą, iż ekonomiści an-

* *Ruch czartystów w Anglii* objął ogromną większość angielskiej klasy robotniczej i był pierwszym *samodzielnym* ruchem politycznym proletariatu. Nazwa ruchu («czartyści») pochodzi od podanej przez robotników w 1839 r. do parlamentu petycji — «charter» — zawierającej zasadnicze ich żądania: 1. powszechne prawo wyborcze, 2. coroczne wybory do parlamentu, 3. diety dla członków parlamentu, 4. tajne głosowanie przy wyborach do parlamentu, 5. równe okręgi wyborcze, 6. zniesienie cenzusu majątkowego dla posłów. Klasa robotnicza w Anglii w ciągu szeregu lat prowadziła walkę o te żądania za pomocą petycji, strajków, demonstracji i zbrojnych starć z policją. — *Red.*

gielscy są wprost zdumieni widząc, jak robotnicy z poświęceniem oddają znaczną część swej płacy na rzecz tych zrzeszeń swoich, które, zdaniem owych ekonomistów, były pozakładane właśnie tylko dla działania na rzecz tej płacy. W walce tej — istnej wojnie domowej — łączą się i rozwijają wszystkie części składowe bitwy, która przyjdzie. Doszedłszy do tego stopnia rozwoju koalicja przybiera charakter polityczny.

Warunki ekonomiczne zmieniły przede wszystkim masę ludności w robotników. Panowanie kapitału stworzyło dla tej masy jednakie warunki bytu, jednakie interesy. W ten sposób ta masa stanowi już klasę w stosunku do kapitału, lecz jeszcze nie dla samej siebie. W walce, którejśmy tylko kilka faz zaznaczyli, masa ta skupia się i konstytuuje w klasę dla samej siebie. Interesy, których broni, stają się interesami klasowymi. Lecz walka klasy z klasą jest walką polityczną.

W burżuazji powinniśmy odróżniać dwie fazy: fazę, kiedy ukonstytuowała się ona jako klasa w ustroju feudalnym i w czasie monarchii absolutnej, oraz fazę, gdy już ukonstytuowana jako klasa obaliła ona feudalizm i monarchię, ażeby przekształcić dawne społeczeństwo na burżuazyjne. Pierwsza z tych faz była dłuższa i wymagała największych wysiłków. Rozpoczęła się ona również od częściowych koalicji przeciwko panom feudalnym.

Przeprowadzono wiele poszukiwań, aby odtworzyć różne fazy historyczne, przez jakie przeszła burżuazja poczynając od komuny miejskiej aż do ukonstytuowania się jako klasa.

Ale gdy chodzi o zdanie sobie dokładnie sprawy ze strajków, koalicyj i innych form, w których proletariusze dokonywają na naszych oczach swego organizowania się jako klasy, to jednych ogarnia niekłamany lęk, inni zaś okazują *transcendentalną* wzgardę.

Klasa uciskana jest warunkiem istnienia każdego społeczeństwa opierającego się na antagonizmie klas. Wyzwolenie klasy uciśnionej pociąga za sobą nieodzownie utworzenie nowego społeczeństwa. Ażeby klasa uciśniona mogła się wyzwolić, potrzeba po temu, aby siły wytwórcze już osiągnięte oraz istniejące stosunki społeczne nie mogły egzystować obok siebie. Ze wszystkich narzędzi produkcji największą siłą wytwórczą jest sama klasa rewolucyjna. Zorganizowanie

się żywiołów rewolucyjnych w klasę zakłada istnienie wszystkich sił wytwórczych, jakie się mogły zrodzić w łonie dawnego społeczeństwa.

Czy znaczy to, że po upadku dawnego społeczeństwa nastąpi panowanie nowej klasy wyrażające się w nowej władzy politycznej? Nie.

Warunkiem wyzwolenia klasy pracującej jest zniesienie wszelkich klas, tak samo jak warunkiem wyzwolenia stanu trzeciego, burżuazji, było zniesienie wszystkich stanów*.

Klasa pracująca w ciągu swego rozwoju zastąpi dawne społeczeństwo burżuazyjne zrzeszeniem, które usunie klasy i ich antagonizm, a nie będzie też wówczas więcej władzy politycznej w sensie ścisłym, ponieważ taka władza polityczna jest to właśnie oficjalny wyraz antagonizmu klas w burżuazyjnym społeczeństwie.

Tymczasem zaś antagonizm między proletariatem a burżuazją jest to walka klasy przeciw klasie — walka, która, osiągnąwszy najwyższy swój wyraz, staje się całkowitą rewolucją. Czyż można się zresztą dziwić, że społeczeństwo oparte na *przeciwieństwie klas* dochodzi do brutalnej *sprzeczności*, do starcia wręcz jako do ostatecznego rozwiązania?

Nie mówcie, iż ruch społeczny wyłącza ruch polityczny. Nie ma nigdy ruchu politycznego, który by nie był jednocześnie i ruchem społecznym.

Tylko przy takim stanie rzeczy, gdzie nie będzie już więcej klas i antagonizmu klasowego, *ewolucje społeczne* przestaną być *rewolucjami politycznymi*. Aż do owych zaś czasów w przeddzień każdej ogólnej przebudowy społeczeństwa ostatnim słowem nauki społecznej będzie zawsze:

«Walka albo śmierć; krwawy bój lub nicość.
W ten sposób ta sprawa nieodparcie stoi».
(George Sand)

---

* Wyraz «stany» użyty tu został w historycznym znaczeniu stanów w państwie feudalnym, posiadających pewne określone i ograniczone przywileje. Rewolucja burżuazyjna zniosła owe stany wraz z ich przywilejami. Społeczeństwo burżuazyjne zna już tylko *klasy*. Dając więc proletariatowi nazwę «czwartego stanu», jest się w całkowitej sprzeczności z historią. — *Przypis F. Engelsa.*

DODATEK

1. *Z pracy Marksa: «Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej».*
2. *Mowa o zagadnieniu wolnego handlu wygłoszona przez Karola Marksa dnia 9 stycznia 1848 r. w Towarzystwie Demokratycznym w Brukseli.*

DISCOURS

SUR LA QUESTION

DU LIBRE ÉCHANGE,

PRONONCÉ A

L'ASSOCIATION DEMOCRATIQUE

DE BRUXELLES,

Dans la Séance Publique du 9 Janvier 1848.

PAR CHARLES MARX.

Imprimé aux frais de l'Association Démocratique.

Messieurs,

L'abolition des lois cerèales en Angleterre est le plus grand triomphe que le libre echange ait remporté au 19me siècle. Dans tous les pays où les fabricants parlent de libre echange ils ont principalement en vue le libre échange des grains et des matières premières en general. Frapper de droits protecteurs les grains etrangers, c'est infamie, c'est speculer sur la famine des peuple..

Okładka broszury zawierającej tekst przemówienia Karola Marksa o wolnym handlu

Z pracy Marksa:

«PRZYCZYNEK DO KRYTYKI EKONOMII POLITYCZNEJ»*

Teorię o czasie pracy jako bezpośredniej jednostce miary pieniądza najpierwej rozwinął systematycznie John Gray**. W jego projekcie centralny bank narodowy za pośrednictwem swych filij sprawdza, jaki czas pracy potrzebny jest na wyprodukowanie różnych towarów. Wytwórca w zamian za towar otrzymuje oficjalne zaświadczenie o wartości, czyli kwit na taką ilość czasu pracy, jaką jego towar w sobie zawiera***, i te banknoty na 1 tydzień pracy, 1 dzień pracy, 1 godzinę pracy itd. służą zarazem jako przekaz na równowartość

---

* Wydanie JHW Dietz Nachf. Berlin, 1947, str. 83—87. — *Red.*

** *John Gray:* «The Social System. A Treatise on the Principle of Exchange» [«System społeczny. Traktat o zasadzie wymiany»], Edynburg 1831. Por. *tegoż autora:* «Lectures on the Nature and Use of Money» [«Wykłady o istocie i pożytku pieniądza»], Edynburg 1848. Po rewolucji lutowej Gray wysłał do Tymczasowego Rządu francuskiego memoriał pouczający go, że Francja nie potrzebuje «organisation of labour» [organizacji pracy], ale «organisation of exchange» [organizacji wymiany], której plan całkowicie wypracowany zawiera się w wymyślonym przezeń systemie pieniężnym. Zacny John nie podejrzewał nawet, że w 16 lat po ukazaniu się jego «Social System» patent na ten sam wynalazek wykupiony został przez obfitującego w pomysły Proudhona.

*** *Gray:* «The Social System etc.», str. 63. «Pieniądz winien być tylko kwitem, dowodem na to, że jego posiadacz albo przysporzył istniejącemu bogactwu narodowemu (to the national stock of wealth) wartości w pewnej określonej postaci, albo że nabył do tej wartości prawa od kogoś, kto to uczynił».

we wszystkich innych towarach złożonych w składach banku*. Taka jest zasada podstawowa, przeprowadzana starannie w szczegółach i opierająca się we wszystkim na istniejących urządzeniach angielskich. «Przy tym systemie» — mówi Gray — «byłoby w każdym czasie równie łatwo sprzedawać za pieniądze, jak łatwo jest obecnie kupować za pieniądze; produkcja byłaby jednostajnym, nigdy nie ustającym źródłem popytu»**. Metale szlachetne straciłyby swoje «uprzywilejowanie» w stosunku do innych towarów i zajęłyby właściwe dla nich na rynku miejsce obok masła, jajek, sukna i perkalu, a ich wartość nie więcej by nas obchodziła jak wartość diamentów»***. «Czyż mamy utrzymywać naszą fikcyjną miarę wartości, złoto, i nakładać przez to pęta na siły wytwórcze kraju, czy też winniśmy się zwrócić do przyrodzonej miary wartości, do pracy, i wyzwolić siły wytwórcze kraju?»****

Ponieważ czas pracy stanowi immanentną miarę wartości, po cóż tedy obok tej miary jakaś inna miara zewnętrzna? Dlaczego wartość wymienna rozwija się w cenę? Dlaczego wszystkie towary dokonują szacunku swej wartości w jednym wyłącznym towarze, który zmienia się przez to w adekwatny [dorównany] byt wartości wymiennej, w pieniądz? Takie oto było zagadnienie, które Gray miał rozwiązać. Zamiast to uczynić wyobraża on sobie, że towary mogłyby bezpośrednio wchodzić ze sobą w stosunek jako wytwory pracy społecznej. Tymczasem one mogą ustosunkowywać się jeden do drugiego tylko jako to, czym są. Towary są bezpośrednimi wytworami poszczególnych niezależnych prac prywatnych, które przez to właśnie, że się ich wyzbywają w procesie wymiany prywatnej, zmuszone są znajdować dla się stwierdzenie, że są ogólną pracą społeczną: czyli praca na podstawie produkcji towarowej staje się

* «Pozwólmy, aby składano do jakiegoś banku produkty, które zostają przedtem oszacowane w pewnej wartości, i aby je odbierano z powrotem, kiedykolwiek zajdzie potrzeba, przy czym ustalone zostanie w drodze umowy ogólnej, że ten, kto składa jakąkolwiek własność swoją do proponowanego banku narodowego, może otrzymać z tego banku taką samą wartość, cokolwiek ona w sobie zawiera, nie jest zaś zmuszony do odbierania tego samego przedmiotu, który złożył» (*Gray:* «The Social System etc.» str. [67] 68).

** Tamże, str. 16.

*** Tamże, str. 169.

**** *Gray:* «Lectures on Money etc.», str. 182 [183].

pracą społeczną dopiero przez wszechstronne wyzbywanie się prac indywidualnych. Gdy zaś Gray podaje zawarty w towarach czas pracy za *bezpośrednio społeczny*, to przedstawia on go jako pospólny [gemeinschaftliche] czas pracy lub też jako czas pracy bezpośrednio zrzeszonych osobników. W ten sposób istotnie pewien towar specjalny, jak złoto lub srebro, nie mógłby występować wobec innych towarów jako wcielenie pracy ogólnej; wartość wymienna nie stawałaby się ceną, ale i wartość użytkowa nie stawałaby się też wartością wymienną, produkt nie stawałby się towarem, a przeto podstawa produkcji burżuazyjnej byłaby zniesiona. Ale *pogląd Graya* nie jest bynajmniej taki. *Produkty mają być wytwarzane jako towary, lecz nie mają być jako towary wymieniane.* Wykonanie tego pobożnego życzenia Gray przekazuje jakiemuś bankowi narodowemu. Z jednej strony, społeczność pod postacią banku uniezależnia poszczególnych osobników od warunków prywatnej wymiany, z drugiej zaś — każe im wytwarzać w dalszym ciągu na podstawie wymiany prywatnej. Jednakże konsekwencja wewnętrzna popycha Graya ku temu, aby odrzucał jeden po drugim wszelki warunek wytwarzania burżuazyjnego, aczkolwiek pragnie on «zreformować» tylko wynikający z wymiany towarów pieniądz. W ten sposób przekształca on kapitał w kapitał narodowy*, własność ziemską we własność narodową**, a gdy się jego bankowi dobrze przyjrzeć, to się widzi, że on nie tylko jedną ręką przyjmuje towary, a drugą wydaje zaświadczenia o dostarczonej pracy, ale i sam też reguluje produkcję. W ostatniej swej pracy «Lectures on Money», gdzie Gray skrupulatnie stara się przedstawić swój pieniądz pracy jako reformę czysto burżuazyjną, uplątuje się on w jeszcze bardziej rażące nonsensy.

Każdy towar jest bezpośrednio pieniądzem. To była teoria Graya, wyprowadzona z jego niekompletnej i stąd błędnej analizy towaru. «Organiczna» konstrukcja «pieniądza pracy» i «banku narodowego», i «składów towarów» to tylko widzenie senne, gdzie dogmat przedstawia się ułudnie jako rządzące światem prawo. Ten zaś dogmat, że towar jest bezpośrednio pieniądzem, lub że zawarta w towarze odrębna

* «Interesy każdego kraju powinny być prowadzone na podstawie pewnego kapitału narodowego» (*John Gray:* «The Social System etc.», str. 171).

** «Ziemia powinna by przejść na własność narodu» (Tamże, str. 298).

praca prywatnej jednostki bezpośrednio jest pracą społeczną, nie staje się oczywiście prawdą przez to, że jakiś bank w to wierzy i zgodnie z tym prowadzi operacje. Bankructwo objęłoby w tym razie raczej rolę krytyki czynnej. To, co u Graya pozostaje ukryte i dla niego samego stanowi tajemnicę, że mianowicie pieniądz pracy jest ekonomicznie brzmiącym frazesem na wyrażenie tego pobożnego życzenia, że się chce pieniądza pozbyć, a wraz z pieniądzem pozbyć się wartości wymiennej, z wartością wymienną towaru, z towarem zaś burżuazyjnego sposobu produkcji — to wszystko wypowiadają wręcz niektórzy socjaliści angielscy, którzy pisali po części przed Grayem, a po części po nim*. Natomiast p. *Proudhonowi* i jego szkole pozostał zaszczyt głoszenia poważnie, że degradacja *pieniądza* i wniebowzięcie *towaru* są jądrem socjalizmu i sprowadzenia w ten sposób socjalizmu do elementarnego nieporozumienia co do koniecznego związku między towarem a pieniądzem»**.

* Patrz np. *W. Thompson:* «An Inquiry into the Distribution of Wealth etc.» [«Badanie nad podziałem bogactw»], Londyn 1827. *Bray:* «Labour's Wrongs and Labour's Remedy» [«Krzywdy pracy i lekarstwa pracy»], Leeds 1839.

** Za podręcznik tej melodramatycznej teorii pieniądza uważać można pracę *Alfreda Darimon:* «De la Réforme des Banques» [«O reformie banków»], Paryż 1856.

MOWA O ZAGADNIENIU WOLNEGO HANDLU

wygłoszona przez Karola Marksa dnia 9 stycznia 1848 r. w Towarzystwie Demokratycznym w Brukseli

Panowie!

Zniesienie praw zbożowych w Anglii jest największym tryumfem, jaki wolny handel odniósł w XIX wieku. We wszystkich krajach, w których fabrykanci mówią o wolnym handlu, mają oni na względzie głównie wolny handel zbożem lub w ogóle surowcami. «Obkładać cłami ochronnymi zagraniczne zboże jest rzeczą haniebną, znaczy to spekulować głodem ludu».

Tani chleb, wysokie płace, *cheap food, high wages* — oto jedyny cel, na który free-traders [zwolennicy wolnego handlu] w Anglii wydali miliony, a ich zapał ogarnął także ich współbraci ze stałego lądu. W ogóle, jeżeli chce się wolnego handlu, to chce się go po to, ażeby polepszyć położenie klasy pracującej.

Ale rzecz dziwna! lud, któremu za wszelką cenę pragną dostarczyć taniego chleba, jest bardzo niewdzięczny. Tani chleb jest tak samo osławiony w Anglii, jak tani rząd we Francji. Lud widzi w ludziach pełnych poświęcenia, w takim Bowringu, Brighcie itp., swoich największych wrogów i najbezwstydniejszych obłudników.

Każdy wie, że walka między liberałami a demokratami zwie się w Anglii walką pomiędzy free-traders [zwolennikami wolnego handlu] a czartystami.

Przypatrzmy się tylko, w jaki to sposób angielscy zwolennicy wolnego handlu dowiedli ludowi, że ożywieni byli szlachetnymi dla niego uczuciami.

Oto, co mówili oni do robotników fabrycznych:

Cło na zboże jest podatkiem nakładanym na płacę roboczą; podatek ten płacicie wielkim właścicielom ziemskim, tym arystokratom średniowiecznym; jeśli położenie wasze jest opłakane, to winna jest temu drożyzna najniezbędniejszych artykułów żywnościowych.

Robotnicy ze swej strony pytali fabrykantów:

Jak się to dzieje, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat, kiedy nasz przemysł doszedł do największego rozwoju, nasza płaca robocza spadła w znacznie szybszym stosunku, niż podniosła się cena zboża?

Podatek, który jak wy utrzymujecie, my płacimy właścicielom ziemskim, wynosi około 3 pensów tygodniowo od robotnika. A przecież płaca tkacza ręcznego zeszła z 28 szylingów tygodniowo na 5 szylingów w okresie od roku 1815 do 1843; płaca zaś tkacza przy maszynie spadła od 1823 do 1843 r. z 20 szylingów do 8 szylingów na tydzień.

A przez cały ten czas podatek, któryśmy płacili właścicielom ziemskim, nie przekraczał nigdy trzech pensów. Potem zaś, gdy w roku 1834 chleb był bardzo tani, a interesy handlowe szły nader pomyślnie, coście nam wówczas mówili? Że wy jesteście nieszczęśliwi, wynika to stąd, iż za wiele płodzicie dzieci i wasze małżeństwo jest płodniejsze od waszego rzemiosła.

Są to wasze własne słowa, którymiście wtedy do nas przemawiali, i poszliście wydawać nowe ustawy o ubogich i budować nowe domy pracy, owe bastylie dla proletariatu.

Na to fabrykanci odpowiadali:

Macie, panowie robotnicy, słuszność; płacę roboczą określa nie tylko cena zboża, ale jeszcze i konkurencja między ubiegającymi się o pracę rękami roboczymi.

Lecz zważcie dobrze jedną okoliczność: że nasza gleba składa się tylko ze skał i ławic piasku. Wszak nie wyobrażacie sobie chyba, aby można było siać zboże w doniczkach do kwiatków! Gdybyśmy jednakże, zamiast trwonić swój kapitał i pracę na uprawę ziemi zgoła nieurodzajnej, porzucili rolnictwo, a oddali się wyłącznie przemysłowi, wówczas cała Europa zwinęłaby swoje fabryki i Anglia stałaby się jednym wielkim miastem fabrycznym, dla którego reszta Europy byłaby jego prowincją rolniczą.

A kiedy fabrykant przemawia w ten sposób do własnych robotników, to jego znów zagaduje drobny kupiec, tak do niego mówiąc:

Lecz jeżeli zniesiemy ustawy zbożowe, to nasze rolnictwo wprawdzie zrujnujemy, ale nie zmusimy przez to innych krajów, aby zaopatrywały się w towary z naszych fabryk, a zwinęły swoje.

Cóż z tego wyniknie? Ja stracę klientów, których mam teraz na wsi, a handel wewnętrzny utraci swój rynek.

Fabrykant odwraca się tyłem do robotnika i odpowiada sklepikarzowi:

Co do tej sprawy, to już nam to zostaw. Skoro cło na zboże zostanie już zniesione, będziemy mieli zza granicy zboże tańsze. Obniżymy potem płacę roboczą, która jednocześnie pójdzie w górę w innych krajach — tych, skąd sprowadzamy zboże.

A w ten sposób, oprócz zysków, które już ciągniemy, będziemy mieli jeszcze zysk z obniżonych płac roboczych i dzięki całej tej naszej przewadze zmusimy kontynent, by u nas kupował.

Ale teraz wtrącają się do dyskusji dzierżawca i robotnik wiejski:

— A my — wołają — co się z nami stanie?

Czyż mamy wydać wyrok śmierci na rolnictwo, z którego żyjemy? Czyż mamy pozwolić, ażeby nam grunt spod nóg usunięto?

Za całą odpowiedź Anti-corn-law league* zadowoliła się tym, że wyznaczyła nagrody za trzy najlepsze prace o zbawiennym wpływie zniesienia ustaw zbożowych na rolnictwo angielskie.

Nagrody te otrzymali pp. Hope, Morse i Greg**, których rozprawy w tysiącach egzemplarzy rozrzucono po wsiach.

Jeden z tych nagrodzonych usiłuje dowieść, że ani dzierżawca, ani robotnik rolny nie będą stratni wskutek swobodnego przywozu zboża zza granicy, że straci na tym tylko właściciel ziemski.

Angielski dzierżawca — woła ów nagrodzony — nie potrzebuje obawiać się zniesienia ustaw zbożowych, gdyż żaden kraj nie może produkować tak dobrego i taniego zboża jak Anglia.

Gdyby więc nawet cena zboża spadła, nie mogłoby to wam wyjść na szkodę, zniżka ta bowiem dotknęłaby tylko renty, która by się

* Liga przeciwko cłom na zboże (zjednoczenie fabrykantów angielskich do walki o zniesienie praw zbożowych). — *Red.*

** W pierwszym wydaniu stale pisano Gregg. — *Red.*

zmniejszyła, ale bynajmniej nie zysku od kapitału ani też płacy roboczej, które by zostały niezmienione.

Drugi laureat, p. Morse, utrzymuje przeciwnie, że po zniesieniu ustaw zbożowych cena zboża pójdzie w górę. Zadaje on sobie niesłychanie wiele pracy, aby udowodnić, że cła ochronne nie zdołały nigdy zapewnić zbożu cen bardziej korzystnych.

Na poparcie tego twierdzenia swego przytacza fakt, że za każdym razem, gdy przywożono zboże zza granicy, cena zboża w Anglii wydatnie szła w górę, a gdy go przywożono mało, niezmiernie spadała. Laureat zapomina, że nie przywóz zboża był przyczyną jego wysokiej ceny, ale wysokie ceny przyczyną przywozu.

I wprost przeciwnie do swego współnagrodzonego twierdzi, że każda zwyżka w cenach zboża wychodzi na dobre dzierżawcy i robotnikowi, nie zaś właścicielowi.

Trzeci laureat, p. Greg, który jest wielkim fabrykantem i którego książka zwraca się do klasy wielkich dzierżawców, takimi bredniami kwestii tej zbyć nie mógł. Używa on języka bardziej naukowego.

Przyznaje, że ustawy zbożowe tylko dlatego podnoszą rentę, że podwyższają ceny zboża, i że podwyższają ceny zboża tylko dlatego, że zniewalają kapitał brać się do uprawy gorszych gruntów, a to się tłumaczy bardzo prosto.

W miarę jak ludność wzrasta, jeżeli obce zboże nie może dostać się do kraju, okazuje się konieczne przystępować do uprawy gruntów mniej urodzajnych, która to uprawa wymaga większych kosztów, a przeto jej plony są też droższe.

Ponieważ wszystko tak wyprodukowane zboże musi znaleźć nabywców, jego cena z konieczności regulować się będzie według kosztów produktu otrzymanego na gruntach gorszych. Różnica pomiędzy tą ceną a kosztami produkcji na lepszych gruntach stanowi właśnie rentę.

Jeżeli tedy, wskutek zniesienia ustaw zbożowych, cena zboża, a więc i renta spadnie, to stanie się to dlatego, że gorszych gruntów nie będzie się już uprawiało. W ten sposób zniżka renty pociągnie za sobą nieuchronnnie ruinę pewnej części dzierżawców.

Uwagi te były konieczne, aby zrozumieć język p. Grega.

Drobni dzierżawcy — mówi on — którzy nie będą w stanie utrzymać się przy rolnictwie, znajdą przytułek w przemyśle. Co się tyczy wielkich dzierżawców, to ci muszą przy tym zyskać. Bo albo właściciele zmuszeni będą sprzedać im ich grunty nader tanio, albo też zawierane z nimi kontrakty dzierżawne staną się bardzo długoterminowe. To pozwoli im włożyć w ziemię większe kapitały, zastosować na większą skalę maszyny i przez to oszczędzić sobie pracy ręcznej, która zresztą będzie wtedy tańsza wskutek ogólnej zniżki płac roboczych, tego bezpośredniego następstwa zniesienia ceł na zboże.

Doktor Bowring udzielił tym wszystkim argumentom święceń religijnych zawoławszy na pewnym mityngu publicznym: «Jezus Chrystus jest to wolny handel; wolny handel jest to Jezus Chrystus».

Łatwo zrozumieć, że cała ta obłuda nie zdolna była sprawić, aby robotnicy zasmakowali w tanim chlebie.

Zresztą jakże to robotnicy mogli byli zrozumieć tutaj nagłą filantropię fabrykantów — ludzi zajętych właśnie jeszcze zwalczaniem ustawy o dziesięciogodzinnym dniu pracy, która to ustawa miała zredukować dzień pracy robotnika fabrycznego z dwunastu do dziesięciu godzin!

Aby dać wam pojęcie o filantropii owych fabrykantów, przypomnę wam, panowie, regulamin przyjęty we wszystkich tych fabrykach.

Każdy fabrykant ma na swój użytek prywatny istny kodeks karny, wyznaczający kary za wszelkie umyślne i nieumyślne wykroczenia; robotnik płaci na przykład tyle a tyle, jeżeli miał nieszczęście usiąść na krześle, jeżeli szepce, śmieje się, rozmawia, spóźnia się o kilka minut, jeżeli jakaś część maszyny się złamie, jeżeli zrobione przezeń rzeczy nie są wymaganego gatunku itd., itd. Kary bywają zawsze większe, niż wynosi rzeczywiście wyrządzona przez robotnika szkoda. Aby zaś dać robotnikowi jak najwięcej okazji do ściągnięcia na siebie kary, posuwa się naprzód zegar fabryczny, daje się złe surowce, a wymaga się, aby robotnik wyrabiał z nich dobry produkt. Usuwa się majstra nie dosyć zręcznie umiejącego powiększać liczbę wykroczeń.

Widzicie więc, panowie, że to ustawodawstwo domowe stworzone jest w tym celu, ażeby powodować wykroczenia, a do wykroczeń daje się robotnikom okazje po to, aby na nich zarabiać pieniądze. Tak to więc fabrykant używa wszelkich środków, by zmniejszyć nominalną płacę roboczą i ciągnąć zyski nawet z takich wypadków, które niezależne są od woli robotnika.

I oto ci fabrykanci są tymi samymi filantropami, którzy chcieli wmówić w robotników, iż gotowi są ponieść olbrzymie wydatki na polepszenie bytu tychże robotników.

Tak więc, z jednej strony, obcinają oni płacę roboczą za pomocą regulaminów fabrycznych w sposób najbardziej drobnostkowy, a z drugiej strony, ponoszą największe ofiary, aby tę płacę podnieść za pomocą *Anti-corn-law league* [Ligi Antyzbożowej].

Budują kosztowne pałace, gdzie Liga ta ma poniekąd siedzibę urzędową; rozsyłają całą armię misjonarzy do wszystkich miejscowości w Anglii, ażeby głosili religię wolnego handlu; drukują i rozdają darmo całe tysiące broszur, aby wytłumaczyć robotnikom ich własny interes; wydają niesłychane sumy, by pozyskać dla swej sprawy prasę; organizują wielki aparat administracyjny do kierowania ruchem wolnohandlowym i rozwijają całe bogactwo swej wymowy na mityngach publicznych. Na jednym z takich mityngów właśnie pewien robotnik wykrzyknął:

«Gdyby właściciele ziemscy sprzedawali nasze kości, to wy, fabrykanci, pierwsi byście je kupowali, aby je wrzucać do młynów parowych i mąkę z nich wyrabiać».

Robotnicy angielscy wybornie zrozumieli znaczenie walki pomiędzy właścicielami ziemskimi a kapitalistami przemysłowymi. Wiedzą oni dobrze, iż chciano obniżyć cenę na chleb, aby obniżyć płace robocze i zwiększyć zysk przemysłowy o tyle, o ile by spadła renta.

Ricardo, apostoł angielskich zwolenników wolnego handlu, najwybitniejszy ekonomista naszego stulecia, pod tym względem całkowicie zgadza się z robotnikami.

Mówi on w swym słynnym dziele o ekonomii politycznej:

«Gdybyśmy, zamiast produkować zboże u siebie, znaleźli jakiś nowy rynek, gdziebyśmy mogli nabywać je taniej, to w takim razie płaca robocza by spadła, a zyski by się zwiększyły. Potanienie pro-

duktów rolnych obniża płacę nie tylko robotników wiejskich, ale i wszystkich zatrudnionych w przemyśle i handlu».

A nie sądźcie, panowie, aby to było dla robotnika rzeczą zupełnie obojętną dostawać tylko cztery franki, ponieważ zboże jest tańsze, gdy przedtem dostawał pięć franków.

Czyż nie zmniejszyła się jego płaca w *stosunku* do zysku? I czyż nie jest to rzeczą oczywistą, iż jego położenie społeczne w porównaniu z położeniem kapitalisty pogorszyło się? A oprócz tego traci on i faktycznie.

Dopóki bowiem cena na zboże była wprawdzie wyższa, ale wyższa też była i płaca robocza, dopóty niewielka oszczędność na spożywanym przezeń chlebie wystarczała, by mógł pozwolić sobie na inne przyjemności; ale z chwilą gdy chleb, a wskutek tego i płaca robocza będą bardzo tanie, robotnik nie będzie już miał możności prawie nic oszczędzić na chlebie, by co innego nabyć.

Robotnicy angielscy dali do zrozumienia wolnohandlowcom, że nie dadzą się wyprowadzić w pole ich pozorami i kłamstwami, a jeżeli mimo to jednak połączyli się z nimi przeciwko właścicielom ziemskim, to w tym celu, ażeby zniszczyć ostatnie resztki feudalizmu i na przyszłość mieć do czynienia z jednym tylko wrogiem. I robotnicy nie zawiedli się w swych rachubach, albowiem właściciele ziemscy, chcąc się zemścić na fabrykantach, wzięli stronę robotników w sprawie przeprowadzenia ustawy o dziesięciogodzinnym dniu pracy, której to ustawy robotnicy domagali się na próżno od lat trzydziestu, a która została uchwalona natychmiast po zniesieniu ustaw zbożowych.

Kiedy na kongresie ekonomistów doktor Bowring wyciągnął z kieszeni długą listę z wyliczeniem wszystkich sztuk bydła, wszystkich szynek, kurcząt, słoniny itd., itd., sprowadzonych do Anglii w celu spożycia ich, jak on mówił, przez robotników, to zapomniał niestety nadmienić, że właśnie w owej chwili robotnicy z Manchesteru i innych miast fabrycznych wyrzuceni zostali na bruk przez rozpoczynający się kryzys.

Zasadniczo nie wolno nigdy zestawiać w ekonomii politycznej liczb z jednego tylko roku, aby z nich wyprowadzać ogólne prawa. Należy zawsze brać przeciętnie sześć do siedmiu lat — okres, w ciągu

którego przemysł współczesny przechodzi rozmaite fazy pomyślności, nadprodukcji, zastoju, kryzysu i przebiega całkowity nieunikniony cykl swój.

Nie ulega wątpliwości, że gdy cena wszystkich towarów spadnie — a to właśnie jest nieuchronnym skutkiem wolnego handlu — będę mógł za franka kupić znacznie więcej rzeczy niż poprzednio. A frank robotnika wart jest tyle co każdy inny. A przeto wolny handel jest dla robotnika bardzo korzystny. Ma to wszystko tylko tę drobną niedogodność, że robotnik, zanim zamieni swego franka na inne towary, *dokonał już naprzód zamiany swej pracy na kapitał*. Gdyby on przy tej zamianie dostawał zawsze za tę samą pracę omawianego franka, a gdyby cena wszystkich innych towarów spadła, to na tej transakcji robotnik zawsze by zyskiwał. Trudność nie na tym polega, aby dowieść, że gdy cena wszystkich towarów spada, za te same pieniądze dostanę towarów więcej.

Ekonomiści mają zawsze na względzie cenę pracy w tym momencie, gdy ją się zamienia na inne towary. Ale pozostawiają zawsze na uboczu moment, w którym praca dokonywa swej wymiany na kapitał.

Skoro potrzeba będzie mniej wydatków, ażeby wprawić w ruch produkującą towary maszynę, wówczas rzeczy potrzebne do podtrzymania tej maszyny zwanej robotnikiem będą również tańsze. Skoro wszystkie towary tanieją, praca, która jest też towarem, również spadnie w cenie, a jak to zobaczymy później, ta praca-towar spadnie w cenie stosunkowo o wiele bardziej niż inne towary. I robotnik mający w dalszym ciągu zaufanie do argumentacji ekonomistów spostrzeże, iż frank stopniał mu w kieszeni i pozostaje mu nie więcej nad pięć sous*.

Na to ekonomiści wam powiedzą:

«Owszem, przyznajemy, że konkurencja między robotnikami, która z pewnością nie zmniejszy się po wprowadzeniu wolnego handlu, nie omieszka dostosować płacę roboczą do najniższej ceny towarów. Lecz z drugiej strony, niska cena towarów powiększy spożycie: większe spożycie będzie wymagało większej produkcji, która pociągnie

* Ćwierć franka. — *Red.*

za sobą większy popyt na siły robocze, a za tym zwiększonym popytem pójdzie podwyżka płac roboczych.

Cała ta argumentacja sprowadza się do twierdzenia, że wolny handel pomnaża siły wytwórcze. Kiedy przemysł wzrasta, kiedy bogactwo, kiedy siły wytwórcze — kiedy, słowem, kapitał produkcyjny zwiększa popyt na pracę, to cena pracy, a więc płaca robocza również wzrasta. Najkorzystniejszą okolicznością dla robotnika jest wzrost kapitału. Z tym trzeba się zgodzić. Gdy kapitał znajduje się w fazie zastoju, przemysł nie tylko naprzód się nie posuwa, lecz się cofa, a wtedy robotnik pierwszy pada ofiarą tego; zginie on prędzej niż kapitalista. A jakiż los spotka robotnika, gdy kapitał wzrasta, a więc w tym stanie rzeczy, który, jak powiedzieliśmy, jest dla robotnika *najlepszy*? I wtedy jest on również skazany na zagładę. Wzrost kapitału produkcyjnego pociąga za sobą koncentrację kapitałów i skupienie ich w niewielu rękach. Koncentracja kapitałów prowadzi do większego podziału pracy i większego zastosowania maszyn. Większy podział pracy usuwa potrzebę specjalizacji w pracy, a zastępując pracę wykwalifikowaną przez pracę, którą może wykonywać każdy, powiększa konkurencję robotników pomiędzy sobą.

Konkurencja ta tym bardziej się potęguje, że podział pracy sprawia, iż jeden robotnik może pracować za trzech. Maszyny dają ten sam rezultat na znacznie większą skalę. Wzrost kapitału produkcyjnego, zmuszając kapitalistów-przemysłowców do operowania środkami coraz to większymi, rujnuje przemysłowców drobnych i wtrąca ich w szeregi proletariatu. Następnie, ponieważ stopa procentowa obniża się w miarę nagromadzania się kapitałów, drobni rentierzy, nie mogąc już wyżyć ze swych rent, zmuszeni będą chwycić się przemysłu, aby powiększyć z czasem liczbę proletariuszy.

Wreszcie, im bardziej kapitał produkcyjny rośnie, tym bardziej jest on zmuszony do wytwarzania na rynek, którego potrzeb nie zna; im bardziej produkcja wyprzedza spożycie, tym bardziej podaż usiłuje wymusić popyt, co sprawia, że kryzysy stają się tym częstsze i głębsze. A z kolei każdy kryzys przyśpiesza centralizację kapitałów i powiększa kadry proletariatu.

Tak tedy, w miarę jak kapitał produkcyjny wzrasta, konkurencja robotników pomiędzy sobą rośnie w znacznie większym

stopniu. Wynagrodzenie za pracę zmniejsza się dla wszystkich, a brzemię pracy zwiększa się dla niektórych.

W roku 1829 było w Manchesterze 1088 przędzarzy, pracujących w 36 fabrykach. W 1841 r. było ich już tylko 448, a robotnicy ci obsługiwali o 53.353 wrzeciona więcej niż 1088 robotników z 1829 r. Gdyby praca ręczna zwiększyła się proporcjonalnie do siły wytwórczej, liczba robotników powinna była dojść do 1848-u, tak iż ulepszenia techniczne pozbawiły pracy 1100 robotników.

Odpowiedź ekonomistów znamy z góry. Powiadają oni, że ci ludzie pozbawieni pracy znajdą gdzie indziej zatrudnienie. Pan dr Bowring nie omieszkał przytoczyć tego argumentu na kongresie ekonomistów, ale nie omieszkał też obalić sam siebie.

W 1835* r. p. dr Bowring wygłaszał w Izbie Gmin przemówienie w sprawie 50.000 tkaczy londyńskich, którzy od bardzo dawna już giną z głodu nie mogąc znaleźć tego nowego zajęcia, które im zwolennicy wolnego handlu w przyszłości dalszej zapowiadają.

Przytoczymy najbardziej znamienne ustępy z owego przemówienia dra Bowringa.

«Nędza tkaczy ręcznych — mówił — jest nieuniknionym losem wszelkiej pracy, której łatwo się jest nauczyć, a którą w każdej chwili daje się zastąpić tańszymi środkami. Ponieważ w tym przypadku konkurencja między robotnikami jest niesłychanie duża, najdrobniejsze zmniejszenie się popytu wywołuje kryzys. Tkacze ręczni znajdują się niejako na obrzeżach ludzkiego istnienia. Jeszcze jeden krok dalej, a ich egzystencja staje się niemożliwa. Najmniejszy wstrząs wystarcza, by ich ku zgubie popchnąć. Rozwój techniki, który coraz bardziej usuwa pracę ręczną, w okresie przejściowym sprowadza nieuchronnie wiele czasowych cierpień. Dobrobyt narodu okupuje się niejakimi nieszczęściami jednostek. W przemyśle idzie się naprzód tylko kosztem maruderów; a z wszystkich wynalazków właśnie parowy warsztat tkacki najbardziej zaciążył nad losem tkaczy ręcznych. Już w wielu artykułach, które wyrabiano ręcznie, tkacze ponieśli klęskę, a czeka ich ona i przy wytwarzaniu wielu innych rzeczy dotąd robionych ręcznie.

---

* W pierwszym wydaniu wydrukowano błędnie 1833. — *Red.*

«Jestem w posiadaniu — mówi dalej — korespondencji generalnego gubernatora Indyj Przedgangesowych z Kompanią Wschodnio-Indyjską. Korespodencja ta dotyczy tkaczy z okręgu dakkijskiego. Gubernator powiada w swych listach: Przed kilkoma laty Kompania otrzymywała sześć do ośmiu milionów sztuk perkalu wyrabianego na miejscowych krosnach ręcznych; popyt nań stopniowo się zmniejszał i spadł do jakiegoś miliona sztuk. W chwili obecnej popyt ten prawie zupełnie ustał. Co więcej, w roku 1800 Ameryka Północna sprowadziła z Indyj prawie 800.000 sztuk perkalu; w 1830 r. nie sprowadziła ich nawet i 4000. A wreszcie, w 1800 r. załadowano na przewóz do Portugalii milion sztuk perkalu; w 1830 r. Portugalia otrzymała ich nie więcej niż jakieś 20.000.

«Sprawozdania o nędzy tkaczy hinduskich są przerażające. Skąd te ich nieszczęścia powstały? Stąd, że na rynku zjawiły się produkty angielskie, że perkal wyrabiać zaczęto na parowych warsztatach tkackich».

«Wielka liczba tkaczy zginęła z nędzy; reszta przeszła do innych zajęć, zwłaszcza też do prac rolnych. Nie umieć zmienić swojego zajęcia było wyrokiem śmierci. A w chwili obecnej okręg dakkijski jest zalany angielskimi tkaninami i angielską przędzą. Muślin dakkijski, słynny w całym świecie ze swej piękności i trwałości, konkurencji maszyn angielskich również wytrzymać nie zdołał. W całych dziejach przemysłu trudno byłoby znaleźć takie wielkie cierpienia jak te, które musiały znieść z tego powodu całe klasy ludności w Indiach wschodnich».

Mowa p. dra Bowringa jest o tyle znamienniejsza, że przytoczone w niej fakty są ściśle prawdziwe, a frazesy, którymi stara się je maskować, mają charakter obłudy cechującej wszystkie takie przemówienia zwolenników wolnego handlu. Mówi on o robotnikach jako o pewnych środkach produkcji, które należy zastępować środkami produkcji tańszymi. Udaje, że w pracy, o której mówi, widzi pracę zupełnie wyjątkową, a w maszynie, która zdruzgotała tkaczy, zupełnie również wyjątkową maszynę. Zapomina, że nie ma takiej pracy ręcznej, która by nie mogła podzielić lada dzień losu tkactwa.

«W rzeczy samej, stałym celem i dążeniem wszelkich ulepszeń technicznych jest to, aby się całkowicie obchodzić bez ludzi lub by

zmniejszyć ich płacę zastępując dorosłych robotników kobietami i dziećmi albo też pracę robotników wykwalifikowanych pracą zwyczajnych wyrobników. W większej części przędzalni zwanych po angielsku *throstle-mills* (które pracują za pomocą maszyn do czesania przędzy) doglądają wrzecion wyłącznie szesnastoletnie i młodsze dziewczęta. Wprowadzenie automatycznej maszyny tkackiej na miejsce maszyny zwykłej pociągnęło za sobą ten skutek, że większość przędzarzy zwolniono, a zatrzymano dzieci i młodocianych».

Słowa te, wypowiedziane przez najbardziej zapalonego zwolennika wolnego handlu, p. dra Ure, mogą służyć za uzupełnienie wyznań p. dra Bowringa. Pan Bowring mówi o pewnych cierpieniach indywidualnych i jednocześnie powiada, że te cierpienia indywidualne przyprawiają o zgubę całe klasy; mówi o bólach czasowych okresu przejściowego, i jednocześnie, mówiąc to, nie ukrywa, że te bóle przejściowe były dla większości przejściem od życia do śmierci, a dla reszty przejściem z lepszego położenia do gorszego. Jeśli mówi on dalej, iż te nieszczęścia robotników są nieodłącznie związane z postępem przemysłu i konieczne dla dobrobytu narodowego, mówi przez to po prostu, że nieodzownym warunkiem dobrobytu klasy burżuazyjnej jest nieszczęście klasy pracującej.

Cała pociecha, której p. Bowring obficie użycza ginącym robotnikom, i w ogóle cała stworzona przez zwolenników wolnego handlu teoria rekompensaty da się sprowadzić do następujących twierdzeń:

Wy, robotnicy, którzy giniecie tysiącami, nie poddawajcie się rozpaczy. Możecie zupełnie spokojnie umierać. Klasa wasza nie zginie. Będzie ona zawsze dość liczna po temu, ażeby kapitał mógł ją dziesiątkować bez obawy o jej wyginięcie. Zresztą, jakże to chcecie, aby kapitał można było z pożytkiem zużytkować, gdyby się on nie troszczył o zapewnienie sobie zawsze tego materiału do wyzysku — robotników, by ich od nowa wciąż eksploatować?

Ale też po co uważać jeszcze za zagadnienie do rozwiązania ową kwestię wpływu, jaki na położenie klasy robotniczej wywrze wprowadzenie w życie wolnego handlu? Wszystkie prawa, które sformułowali ekonomiści od Quesnaya do Ricarda, opierają się na założeniu, że przeszkody, które krępują jeszcze wolny handel, już

przestały istnieć. Prawa te znajdują dla się potwierdzenie w miarę tego, jak wolny handel wchodzi w życie.

Pierwsze z tych praw głosi, że konkurencja sprowadza cenę każdego towaru do minimalnych kosztów jego wyprodukowania. Tak więc minimum płacy roboczej — to naturalna cena pracy. A co to jest minimum płacy roboczej? Jest to właśnie tyle, ile potrzeba, aby wyprodukować rzeczy nieodzowne do podtrzymania egzystencji robotnika, do dania mu możności wyżywienia się z biedą i jakiego takiego rozmnażania się.

Nie sądźmy, że dlatego robotnik będzie otrzymywał zawsze tylko to minimum płacy, ani nie sądźmy, że to minimum będzie otrzymywał zawsze.

Nie, według tego prawa klasa robotnicza będzie niekiedy szczęśliwsza. Będzie miewała czasem więcej niż owo minimum; ale ta nadwyżka stanowić będzie tylko wyrównanie tego, co będzie ona miewać mniej niż minimum w czasach stagnacji w przemyśle. Znaczy to, że biorąc pewien periodycznie powracający okres czasu w tym kręgu, który przemysł zatacza przechodząc kolejno przez fazy stanu kwitnącego, nadprodukcji, zastoju tudzież kryzysu, podliczywszy wszystko to, co klasa robotnicza miewa więcej lub mniej od owego koniecznego minimum, przekonamy się, że na ogół ani mniej, ani więcej niż to minimum ona nie dostaje, czyli że przechodząc tyle nędzy, tyle nieszczęść i zostawiając tyle trupów na polu bitwy przemysłowej, utrzymuje się ona jednak jako klasa. Więc o czymż tutaj mówić? Klasa trzyma się ciągle, a nawet — co więcej — liczbowo się powiększa.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Postęp w przemyśle dostarcza tańszych środków utrzymania. W ten sposób wódka zastąpiła piwo, bawełna — wełnę i płótno, ziemniaki — chleb.

Skoro się tedy zawsze znajduje sposoby wyżywienia robotników przy pomocy tańszych i lichszych produktów, to minimum płacy wciąż się zmniejsza. Zaczęło się od tego, że za płacę roboczą człowiek pracował, aby żyć, a kończy się na tym, że za tę płacę może on wprawdzie wyżyć, lecz życiem maszyny. Jego istnienie innej wartości nie posiada jak wartość jednej ze zwykłych sił wytwórczych i kapitalista odpowiednio do tego go traktuje.

To prawo o pracy-towarze, prawo o minimalnej płacy roboczej sprawdza się w miarę tego, jak przesłanka ekonomistów: wolny handel staje się aktualną prawdą. Jedno z dwóch przeto: albo trzeba zaprzeć się całej ekonomii politycznej, opartej na przesłance wolnego handlu, albo trzeba się z tym pogodzić, że przy wolnym handlu prawa ekonomiczne bić będą w robotników z całą swą surowością.

Streszczając się: w obecnym stanie społeczeństwa czymże jest wolny handel? Wolnością kapitału. Zdejmcie zeń te nieliczne pęta narodowe, które mu jeszcze oto dzisiaj ruch krępują, a działalności jego zapewnicie tylko całkowitą wolność. Dopóki pozwolicie trwać dzisiejszemu stosunkowi pracy najemnej do kapitału, to choćby wymiana towarów odbywała się w warunkach jak najpomyślniejszych, będzie wciąż klasa, która wyzyskuje, i klasa, która jest wyzyskiwana. Trudno doprawdy zrozumieć pretensję zwolenników wolnego handlu, którzy wyobrażają sobie, że zyskowniejszy użytek zrobiony z kapitału usunie antagonizm między kapitalistami przemysłowymi a pracownikami najemnymi. Będzie wprost przeciwnie: wyniknie z tego tylko jeszcze wyraźniejsze zarysowanie się przeciwieństwa tych dwóch klas.

Przypuśćcie na chwilę, że nie ma już ustaw zbożowych, że nie ma komory celnej ani opłat od towarów na rzecz gminy, że całkowicie znikły wreszcie wszystkie okoliczności poboczne, które robotnik mógł uważać za przyczyny swego nędznego stanu, a wraz z tym zerwiecie tyleż zasłon zakrywających przed nim jego prawdziwego wroga.

Zobaczy on wówczas, że kapitał wyzwolony nie mniej czyni go niewolnikiem niż kapitał przez cła skrępowany.

Panowie, nie dajcie sobie imponować temu abstrakcyjnemu słówku *wolność*. Czyja wolność? To słowo nie oznacza wolności poszczególnych osobników jednych wobec drugich. Oznacza ono wolność dla kapitału, by mógł swobodnie uciskać robotnika.

Po cóż to chcecie jeszcze sankcjonować wolną konkurencję przez tę ideę wolności, kiedy ta idea wolności jest tylko wytworem stanu rzeczy opierającego się na wolnej konkurencji?

Wykazaliśmy, czym to jest to braterstwo, które wolny handel wprowadza pomiędzy różnymi klasami tego samego narodu. Braterstwo, które by wolny handel zaprowadził pomiędzy różnymi na-

rodami na ziemi, nie odznaczałoby się ani trochę większą braterskością. Dać miano braterstwa powszechnego wyzyskowi w jego postaci kosmopolitycznej — ta idea mogła się zrodzić tylko w łonie burżuazji. Wszystkie zjawiska destrukcyjne, które wolna konkurencja wywołuje wewnątrz jednego kraju, występują na rynku światowym w rozmiarach jeszcze potężniejszych. Nie mamy po co rozwodzić się dłużej nad sofizmatami, które wygłaszają na ten temat zwolennicy wolnego handlu, a które są tyleż warte co i argumenty naszych trzech laureatów, pp. Hope'a, Morse'a i Grega.

Powiadają nam na przykład, że wolny handel powoła do życia międzynarodowy podział pracy i wskaże przez to każdemu krajowi produkcję najbardziej odpowiadającą jego przyrodzonym właściwościom.

Myślicie, panowie, może, iż produkcja kawy i cukru jest naturalnym przeznaczeniem Indii zachodnich.

Przed dwoma wiekami przyroda, która o handel się nie troszczy, ani krzewom kawowym, ani trzcinie cukrowej rosnąć tam nie kazała. I nie przejdzie pół wieku, a może tam już nie znajdziecie ani kawy, ani cukru, bo Indie wschodnie produkując je taniej rozpoczęły już zwycięską walkę z owym rzekomo przyrodzonym przeznaczeniem Indii zachodnich.

A te Indie zachodnie ze swymi naturalnymi bogactwami są już dla Anglików takim samym ciężarem jak tkacze dakkijscy, których przeznaczeniem od niepamiętnych czasów również było tkactwo ręczne.

I jednej jeszcze rzeczy nie należy nigdy spuszczać z oczu, że, mianowicie, podobnie jak wszystko stało się monopolem, tak jest też za dni naszych kilka gałęzi przemysłu, które nad wszystkimi innymi panują i zapewniają ludom przeważnie je uprawiającym panowanie na rynku światowym. Tak na przykład bawełna w handlu międzynarodowym ma sama jedna daleko większe znaczenie niż wszelkie inne używane do fabrykacji odzieży surowce razem wzięte. I doprawdy śmieszne się to wydaje, gdy zwolennicy wolnego handlu wskazują na kilka innych specjalności w każdej gałęzi przemysłu, by rzucić je na szalę równowagi przeciwko produktom codziennego użytku wytwarzanym taniej w krajach posiadających dany przemysł najbardziej rozwinięty.

Że zwolennicy wolnego handlu nie mogą zrozumieć, w jaki sposób jeden kraj może się bogacić kosztem drugiego, temu nie mamy się co dziwić, gdyż ci sami panowie nie mogą też pojąć, jak wewnątrz kraju jedna klasa może się bogacić kosztem innej.

Nie sądźcie, panowie, jednak, abyśmy krytykując wolność handlu mieli zamiar bronić systemu ceł ochronnych.

Można zwalczać konstytucjonalizm nie będąc stronnikiem absolutyzmu.

Zresztą system ceł ochronnych jest to tylko środek do stworzenia w kraju wielkiego przemysłu, tj. do uzależnienia tego kraju od rynku światowego; a kiedy się zależy od rynku światowego, to mniej czy więcej, ale się już zależy od wolnego handlu. Prócz tego system ceł ochronnych przyczynia się do rozwinięcia wewnątrz kraju wolnej konkurencji. Dlatego to w krajach, gdzie, jak np. w Niemczech, burżuazja zaczyna zdobywać sobie znaczenie jako klasa, widzimy, że czyni tam ona wielkie wysiłki, aby uzyskać cła ochronne. Są one dla niej orężem przeciwko feudalizmowi oraz rządom absolutnym, środkiem do skupiania swych sił i wprowadzenia w życie wolnego handlu wewnątrz kraju.

Na ogół jednak w naszych czasach system ceł ochronnych jest konserwatywny, podczas gdy system wolnego handlu działa rozkładowo. Rozsadza on dawne narodowości i do najwyższego stopnia zaostrza antagonizm między burżuazją a proletariatem. Słowem, system wolnego handlu przyśpiesza rewolucję socjalną. I tylko w tym sensie rewolucyjnym wypowiadam się, panowie, za wolnym handlem.

SPIS NAZWISK

Anderson, James (1739—1808) — ekonomista szkocki, poprzednik Ricarda w teorii renty. Str. 60.

Annenkow, P. W. (1812—1887) — liberalny pisarz rosyjski, dużo przebywał za granicą, gdzie zaznajomił się z Marksem i korespondował z nim. Str. 25.

Arkwright, sir Richard (1732—1792) — angielski mechanik i fabrykant, wynalazca i konstruktor różnych maszyn przędzalniczych. Str. 149.

Babbage, Charles (1792—1871) — angielski matematyk i mechanik, konstruktor pierwszej maszyny do liczenia; w swej książce o maszynerii «ujmuje wielki przemysł raczej ze stanowiska okresu manufaktur» (Marks). Str. 147.

Bastiat, Frédéric (1801—1850) — francuski wulgarny ekonomista, najpłytszy przedstawiciel apologetycznej ekonomii wulgarnej. Str. 44.

Baudeau, Abbé Nicolas (1730—1792) — polityk i ekonomista francuski, fizjokrata. Str. 119.

Blanqui, Jérôme Adolphe (1798—1854) — francuski ekonomista, brat rewolucjonisty Augusta Blanqui, w szeregu krajów studiował położenie robotników, należy w swych poglądach ekonomicznych do kierunku reprezentowanego przez Saya. Str. 71

Bois-Guillebert, Pierre le Pesant, sieur de (1646—1714) — francuski ekonomista, przeciwnik merkantylizmu, poprzednik fizjokratów. Od niego rozpoczyna się klasyczna ekonomia we Francji. Str. 85, 106.

Bowring, sir John (1792—1872) — ang. polityk, krytyk literacki. Str. 187, 191, 193, 197.

Bray, John Francis (1809—1895) — angielski socjalista utopijny, czartysta; bardzo czynny jako agitator polityczny. Współzałożyciel Związku Robotników z Leeds w sierpniu 1837. Następnie farmer i wydawca dziennika w Ameryce. Str. 9, 15, 88—96.

Bright, John (1811—1889) — angielski fabrykant, polityk, przywódca «Ligi przeciwko cłom zbożowym». Str. 187.

Brissot de Warville (1754—1793) — przywódca żyrondystów w Rewolucji Francuskiej. Str. 40.

Cabet, Étienne (1788—1856) — francuski pisarz i polityk, socjalista utopijny, napisał utopijno-komunistyczną powieść polityczną «Podróż do Ikarii» i zakładał komunistyczne kolonie w Ameryce. Str. 43.

Cherbuliez, Antoine Élisée (1797—1869) — polityk i ekonomista szwajcarski, uczeń Sismondiego. Str. 167.

Colbert, Jean Baptiste (1619—1683) — francuski mąż stanu, najbardziej konsekwentny przedstawiciel merkantylistycznej polityki gospodarczej, zwanej od niego «kolbertyzmem». Str. 101, 155.

Cooper, Thomas (1759—1839) — angielski, później amerykański polityk demokratyczny, chemik, filozof przyrody, ekonomista. Str. 107.

Darimon, Alfred (1819— zm. po 1870) — polityk francuski, zwolennik Proudhona, redaktor różnych dzienników. Str. 186.

Droz, François Xavier Joseph (1773—1850) — francuski filozof, historyk i ekonomista. Str. 71.

Dunoyer, Barthélémy Charles Pierre Joseph (1786—1862) — polityk francuski, publicysta i ekonomista. Str. 43, 80.

Edmonds, Thomas Rowe (1803—1889) — angielski znawca ubezpieczeń społecznych, autor studiów nad statystyką śmiertelności. Str. 9, 87.

Faucher, Léon (1803—1854) — francuski publicysta polityczny i ekonomiczny. Str. 173.

Ferguson, Adam (1723—1816) — szkocki filozof i historyk, zwolennik Hume'a, nauczyciel Adama Smitha. Str. 140, 141.

Feuerbach, Ludwik (1804—1872) — filozof niemiecki. W jednym z głównych zagadnień filozoficznych, że materia nie jest wytworem ducha, lecz że sam duch to tylko produkt materii, jest Feuerbach czystym materialistą, chociaż cofa się przed słowem: materializm. W filozofii religii natomiast i w etyce ujawnia się idealizm Feuerbacha. Bo «nie chce on bynajmniej znieść religii, chce ją udoskonalić». Także jako filozof stanął w połowie drogi między materializmem a idealizmem. Str. 39.

Fourier, François Charles (1772—1837) — francuski socjalista utopijny. Mocną stroną jego pism jest krytyka burżuazyjnego porządku społecznego. «U Fouriera spotykamy się z pełną prawdziwie francuskiej lotności, ale tym niemniej wnikliwą krytyką istniejących stosunków społecznych. Bezlitośnie obnaża on materialną i moralną nędzę burżuazyjnego świata» (Engels). Fourier nakreślił wizję przyszłego harmonijnego żywota społeczności ludzkiej, w której ludzie złączeni są w zespoły pracy (falanstery). Str. 36, 39, 53.

Gray, John (1798—1850) — angielski socjalista utopijny, uczeń Owena, chciał rozwiązać problem socjalny przez «utopię wymiany wynagrodzenia za pracę» (Engels). Str. 13, 15, 19, 22, 183—186.

Greg, William Rathbone (1809—1881) — wielki przemysłowiec angielski, bronił wolnego handlu i zwalczał reformę wyborczą. Str. 189, 190, 201.

Grün, Karl (1813—1887) — pisarz niemiecki, jeden z głównych obrońców «prawdziwego socjalizmu», «który stawiał na miejsce poznania naukowego—beletrystyczny frazes, na miejsce emancypacji proletariatu przez ekonomiczne przekształcenie produkcji — wyzwolenie ludzkości przez «miłość»» (Engels). Str. 40.

Harvey, William (1578—1657) —

angielski lekarz i przyrodnik; odkrył wielkie krążenie krwi. Str. 158.

Hegel, Georg Friedrich Wilhelm (1770—1831) — najwybitniejszy przedstawiciel klasycznej filozofii niemieckiej, obiektywny idealista, genialny odkrywca praw dialektyki, które pierwszy sam świadomie stosował. W systemie heglowskim «po raz pierwszy — i to jest wielka zasługa — przedstawiono cały przyrodniczy, historyczny i duchowy świat jako proces... Hegel uwolnił pojmowanie historii od mistyki natury, uczynił je dialektycznym» (Engels). Co prawda dialektyka u Hegla jest jeszcze idealistyczna. «U niego stoi ona na głowie. Musi się ją odwrócić, ażeby można było w powłoce mistycznej odkryć jej racjonalne jądro» (Marks). Str. 28, 39, 41, 118, 126.

Helvetius, Claude Adrien (1715—1771) — filozof francuski, encyklopedysta. «U Helvetiusa materializm przybiera swój właściwy, francuski charakter. Ujmuje go on od razu w odniesieniu do życia społecznego» (Marks). Str. 43.

Hilditch, Richard (19 stulecie) — adwokat angielski, pisał o problemach podatkowych; rzecznik upaństwowienia renty gruntowej. Str. 167.

Hodgskin, Thomas (1787—1869) — angielski ekonomista antykapitalistyczny, jeden z przedstawicieli proletariackiego stanowiska, przeciwnego klasycznej ekonomii politycznej, nie wychodzi jednak poza ramy teoryj Ricarda, przyjmuje «wszystkie ekonomiczne przesłanki produkcji kapitalistycznej jako wieczne formy i chce tyko wykreślić kapitał — podstawę, a zarazem konieczną konsekwencję» (Marks). Str. 9, 87.

Hope, George (1811—1876) — angielski dzierżawca i agronom. Str. 189, 201.

Lauderdale, James, earl of (1759—1839) — angielski reakcyjny polityk i ekonomista, polemizował z Adamem Smithem, m.in. przeciw jego teorii o podziale pracy. Tłumaczył zysk w sposób apologetyczny. Str. 57, 69, 112—113.

Law, John (1671—1729) — szkocki finansista i ekonomista. Założył w r. 1716 w Paryżu bank akcyjny, przez państwo uprzywilejowany, który emitował pieniądze papierowe o niskim pokryciu metalowym, aby spłacić francuskie długi państwowe. Generalny kontroler finansów. W r. 1720 instytucje jego zbankrutowały. Str. 101.

Lemontey, Pierre Édouard (1762—1826) — francuski ekonomista, przeciwnik jakobinów, uciekł z Francji, gdy jakobini objęli rządy. Str. 140, 152.

Malthus, Thomas Robert (1766—1834) — angielski pastor i ekonomista. Jego właściwa zasługa «polega na tym, że kładł główny nacisk na nierówną wymianę między kapitałem a pracą najemną». Ale czynił on to «z jednej strony, aby ukazać nędzę klasy pracującej jako coś koniecznego... a z drugiej, aby zademonstrować kapitalistom, że niezbędny jest utuczony kler kościelny i państwowy» (Marks). Malthus ogłosił osławione prawo (obalone przez fakty), że ludność rośnie szybciej (w postępie geometrycznym), aniżeli środki egzystencji (których produkcja jakoby

rośnie tylko w postępie arytmetycznym), i zalecał proletariatowi ograniczenie urodzin jako środek zbawczy przeciwko nędzy kapitalistycznej. Str. 39.

Mill, James (1773—1836) — angielski historyk, filozof i ekonomista, przedstawił pierwszy «teorię Ricarda w systematycznym układzie». W swych wysiłkach usunięcia sprzeczności tej teorii za pomocą odpowiedniej interpretacji, uwikłał się sam w sprzecznościach i próbami usunięcia ich równocześnie ujawnia rozpoczynający się rozkład teorii, którą dogmatycznie reprezentuje» (Marks). Str. 167.

Mill, John Stuart (1806—1873) — syn Jamesa, filozof angielski i ekonomista, zwolennik wolnego handlu i epigon ekonomii klasycznej, na którym zakończył się upadek szkoły Ricarda. Szukał on kompromisu między jej naukami a socjalistycznymi żądaniami proletariatu. Str. 106.

Morse, Arthur (19 wiek) — Anglik, działacz «Ligi przeciw cłom zbożowym». Napisał także (1855) rzecz o wychowaniu. Str. 189, 201.

Owen, Robert (1771—1851) — angielski socjalista utopijny, były fabrykant, doszedł przez doświadczenie praktyczne do swej komunistycznej nauki, która jednak odrzucała wszelkie użycie gwałtu. Za przyznawanie się do komunizmu wyklęty przez burżuazję, próbował urzeczywistnić swój z wielką znajomością rzeczy opracowany plan przez zakładanie kolonij komunistycznych w Ameryce. Skoro próby te zawiodły, «zwrócił się wprost do klasy robotniczej i działał w jej środowisku jeszcze przez lat 30. Wszystkie ruchy społeczne, wszelki prawdziwy postęp, jaki dokonał się w Anglii na rzecz robotników, wiąże się z imieniem Owena» (Engels). Str. 176.

Petty, sir William (1623—1687) — angielski ekonomista i statystyk, «twórca nowoczesnej ekonomii politycznej, jeden z najgenialniejszych i najoryginalniejszych badaczy ekonomicznych» (Marks). Str. 171.

Quesnay, François (1694—1774) — francuski lekarz i ekonomista, twórca doktryny fizjokratycznej. W swym słynnym «tableau économique» (tablica ekonomiczna) przedstawił proces reprodukcji kapitału społecznego w jego całości. To «w pierwszym trzydziestoleciu wieku 18, w okresie ząbkowania ekonomii politycznej... był bezsprzecznie najgenialniejszy pomysł, którym dotychczas ekonomia polityczna — zgrzeszyła» (Marks). Str. 118.

Ricardo, David (1772—1823) — angielski bankier i ekonomista, ostatni wielki przedstawiciel ekonomii klasycznej, w którym osiągnęła ona swój punkt szczytowy. Wyszedł on od określenia wartości za pomocą czasu pracy, nie zrozumiał jednak historycznego charakteru kapitalistycznej metody produkcji i pojmował ją jako wieczną. Str. 8—13, 21, 42, 55, 57, 65—70, 74, 82—83, 84, 87, 104, 105, 112, 118, 135, 162—166, 192.

Rodbertus-Jagetzow, Karl (1805—1875) — niemiecki ekonomista i polityk. Jego teoria renty gruntowej odzwierciedla jego własne społeczne stanowisko, jako właściciela ziem-

skiego. Rodbertus «przeczuwa różnicę wartości dodatkowej i jej form specjalnych . . ., ale chybia celu, ponieważ z góry zależy mu na interpretacji określonego zjawiska, a nie na wykryciu ogólnego prawa» (Marks). W teorii dochodu społecznego «powtarza Rodbertus na ogół teorię Adama Smitha wraz z jego zasadniczym błędem (rozłożeniem wartości na płacę roboczą i wartość dodatkową») (Lenin). Str. 8—11, 13—22.

Rossi, Pellegrino Luigi (1787—1848) —włoski wulgarny ekonomista, prawnik i polityk. Str. 71, 159.

Rousseau, Jean Jacques (1712—1778) — francuski pisarz, najwybitniejszy przedstawiciel rewolucyjnego drobnomieszczaństwa przed Wielką Rewolucją Francuską. Sam tkwiący w ideach Oświecenia, zwracał się jednak równocześnie przeciwko ich jednostronnemu, rozumowemu nastawieniu. Opiewał naturalny stan pierwotnej równości i twierdził, że rozwój cywilizacji doprowadza do najwyższego spotęgowania nierówności w monarchii absolutnej. Uzasadnił prawo ludu do wypędzania despotów przemocą. Jego pisma pedagogiczne i polityczne wywarły wielki wpływ na współczesnych. Radykalny odłam Rewolucji widział w nim swego teoretycznego poprzednika. Str. 45, 46.

Sadler, Michael Thomas (1780—1835) — angielski reformator społeczny, członek Izby Gmin, przeciwnik Malthusa i wolnego handlu. Str. 108.

Saint-Simon, Claude Henri comte de (1760—1825) — francuski socjalista utopijny. «Jeden z wielkich utopistów (Saint-Simon, Fourier, Owen), którzy występowali jako przedstawiciele interesów proletariatu . . . miał genialną rozległość spojrzenia, dzięki której prawie wszystkie nie ściśle ekonomiczne myśli późniejszych socjalistów są w zalążku przez niego reprezentowane» (Engels). Str. 39.

Sand, George — właściwie Dupin, Aurore — (1804—1876) — francuska powieściopisarka, napisała wiele powieści natury przeważnie idealistycznej. Od 1838 r. do 1845 r. była w kontakcie ze zwolennikami St.-Simona, co powieściom jej z tego okresu nadało zabarwienie socjalno-humanitarne. Str. 179.

Say, Jean Baptiste (1767—1832) — wulgarny ekonomista francuski. Str. 58, 65, 76, 104, 139, 140.

Schweitzer, Johann Baptist von (1833—1875) — frankfurcki adwokat, wpierw narodowy liberał, od początku lat sześćdziesiątych zwolennik Lassalle'a, po jego śmierci przywódca «Powszechnego Niemieckiego Związku Robotników». W r. 1865 założył w Berlinie centralny organ lassalczyków «Sozialdemokrat», subsydiowany przez Bismarcka. Schweitzer chciał z partii politycznej, która musi kierować ruchem klasowym proletariatu, uczynić sektę i opierał się zjednoczeniu niemieckiego ruchu robotniczego. Był rzecznikiem polityki Bismarcka, dążącej do zjednoczenia Niemiec pod kierownictwem pruskich junkrów, był «królewsko-pruskim socjaldemokratą» (Marks). Str. 7.

Senior, William Nassau (1790—1864) — angielski wulgarny ekonomista. Str. 106.

Sismondi, Jean Charles Simon de (1773—1842) — szwajcarski ekonomista i historyk, krytykował klasyczną ekonomię ze stanowiska ekonomicznej romantyki. «We wszystkich punktach różni się on od klasyków tym, że wskazuje na sprzeczności kapitalizmu. To jest jedna strona. Z drugiej strony, w żadnym wypadku nie może (a także i nie chce) kontynuować analizy klasyków i dlatego ogranicza się do sentymentalnej krytyki kapitalizmu ze stanowiska drobnomieszczańskiego» (Lenin). Str. 57, 84, 86, 141.

Smith, Adam (1723—1790) — angielski ekonomista i filozof-moralista. W nim ekonomia klasyczna osiągnęła swą rozwiniętą formę. Marks nazywa go ekonomistą okresu manufaktury. Wielkie znaczenie miały jego teorie podziału pracy, pracy produkcyjnej i wartości dodatkowej. Według jego nauki prawdziwym bogactwem narodów nie jest pieniądz, lecz pożyteczna praca, stwarzająca wartości wymienne. Według Smitha wartość dodatkową stwarza także praca przemysłowa, a nie — jak u fizjokratów — tylko rolnicza. «W sprzecznościach Smitha jest ważne to, że zawarte są w nich problemy, których on wprawdzie nie rozwiązuje, ale je przez to stawia, że jest sam z sobą w sprzeczności» (Marks). Głównym błędem jego teorii reprodukcji, wykrytym przez Marksa, jest przeoczenie kapitału stałego, rozłożenie wartości towaru na płacę roboczą i na wartość dodatkową. Str. 29, 55, 65, 67, 75, 135, 139, 140, 147, 149, 160.

Stewart, sir James D. (1712—1780) — angielski ekonomista, którego nauka według Marksa «jest racjonalnym wyrazem merkantylizmu». Stewart wywodził zysk z nadwyżki ceny nad wartością. Str. 160.

Storch, Heinrich Friedrich von (1766—1835) — niemiecko-rosyjski ekonomista, polemizował z A. Smithem. Str. 61.

Thiers, Louis Adolphe (1797—1877) — francuski mąż stanu i historyk, bezwzględny przedstawiciel interesów klasowych burżuazji, kat Komuny Paryskiej. «Mistrz nikczemnostek natury państwowej, wirtuoz krzywoprzysięstwa i zdrady», «konsekwentny tylko w swej żądzy bogactwa i w swej nienawiści do tych, którzy je wytwarzają» (Marks). Str. 44.

Thompson, William (około 1785—1833) — irlandzki ziemianin i ekonomista, zwolennik Owena, najwybitniejszy naukowy przedstawiciel komunizmu Owena. Str. 9, 87.

Tooke, Thomas (1774—1858) — ekonomista angielski, autor «Historii cen». «Ostatni angielski ekonomista o jakiejś wartości» (Marks). Str. 106.

Ure, Andrew (1778—1857) — chemik, angielski ekonomista polityczny, obrońca kapitału i wielkiego przemysłu. Str. 149—152.

Villeneuve-Bargemont, Jean Paul Alban vicomte de (1784—1850) — francuski polityk i ekonomista. Str. 133.

Voltaire, François Marie Arouet de (1694—1778) — francuski pisarz, główny przedstawiciel oświecenia, duchowy pionier rewolucyjnej burżuazji. Jego rola historyczna polega na jego pismach krytycznych i satyrach, w których gwałtownie

atakował rząd feudalno-arystokratyczny, obyczaje swego czasu i zwłaszcza kościół katolicki: zdobył tym wielki wpływ na rozwój rewolucji we Francji a także za granicą. Był mocno prześladowany z powodu swoich pism. Str. 46, 101.

Wagner, Adolph (1835—1917) — niemiecki ekonomista burżuazyjny. Założyciel reakcyjnej Partii Chrześcijańsko-Socjalnej (1878), współzałożyciel Stowarzyszenia Socjalnej Polityki, zwolennik bismarkowskiej polityki społecznej i finansowej. Str. 14.

Weitling, Wilhelm (1808—1871) — pierwszy niemiecki pisarz socjalistyczny pochodzący z warstwy robotniczej, z zawodu krawiec. Członek «Związku Sprawiedliwych», na polecenie którego napisał broszurę «Ludzkość, jaka jest i jaka ma być» (1838). Główne jego dzieło «Gwarancje harmonii i wolności», «niezwykły i błyskotliwy debiut niemieckich robotników» (Marks) — ukazało się w 1842 r. Weitling zajmuje stanowisko między utopijnym a naukowym socjalizmem. Próbował on teorie utopistów przystosować do rewolucyjnej walki klasy robotniczej, jednak bardzo mocno tkwił w poglądach drobnomieszczańskich. Str. 8.

Wyatt, John (1700—1766) — angielski wynalazca maszyny tkackiej. Str. 149.

SPIS RZECZY

Str.

Od redakcji 5
Przedmowa F. Engelsa do pierwszego wydania niemieckiego 7
Listy Marksa do P. Annenkowa i redakcji pisma «Sozialdemokrat»:
Marks do Annenkowa 25
Marks do redakcji pisma «Sozialdemokrat» 38

NĘDZA FILOZOFII

Przedmowa Karola Marksa 49

ROZDZIAŁ PIERWSZY. ODKRYCIE NAUKOWE

§ 1. Przeciwieństwo między wartością użytkową a wartością wymienną 53
§ 2. Wartość ukonstytuowana, czyli wartość syntetyczna 64
§ 3. Zastosowanie prawa proporcjonalności wartości
a) Pieniądz 97
b) Nadwyżka pracy 106

ROZDZIAŁ DRUGI. METAFIZYKA EKONOMII POLITYCZNEJ

§ 1. Metoda 118
§ 2. Podział pracy a maszyny 138
§ 3. Konkurencja i monopol 153
§ 4. Własność albo renta 161
§ 5. Strajki i koalicje robotnicze 171

DODATEK:

1. Z pracy Marksa: «Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej» . 183
2. Mowa o zagadnieniu wolnego handlu wygłoszona przez Karola Marksa dnia 9 stycznia 1848 r. w Towarzystwie Demokratycznym w Brukseli 187

Spis nazwisk 203

ILUSTRACJE

1. Okładka pierwszego wydania «Nędzy filozofii» 51
2. Tytułowa strona pierwszego *polskiego* wydania «Nędzy filozofii» 52
3. Okładka broszury zawierającej tekst przemówienia Karola Marksa o wolnym handlu 182

BIBLIOTEKA KPZR

B 12

3304

5235/2